

# P.S. I LIKE YOU

KASIE WEST



Feeria  
2015

Pogodna, pełna wdzięku i ciepła historia o przyjaźni i miłości,  
i o tym, że nigdy nie warto nikogo sądzić po pozorach.

P.S.



I



LIKE

YOU

KASIE WEST

PRZEKŁAD:  
JAROSŁAW IRZYKOWSKI

Feeria  
young

## **Spis treści**

Dedykacja Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5  
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11  
Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział  
17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22  
Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział  
28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33  
Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział  
39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział 44  
Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział 49  
PODZIĘKOWANIA O AUTORCE

Tytuł oryginału: P.S. I Like You

Przekład: Jarosław Irzykowski  
Opieka redakcyjna: Maria Zalasa  
Redakcja: Grzegorz Krzymianowski  
Korekta: Ewa Różycka  
Projekt okładki: Yaffa Jaskoll

Zdjęcia na okładce: Michael Frost © 2016 Scholastic Inc.

Copyright © 2016 by Kasie West  
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-638-2  
Wydanie I, Łódź 2017

**Wydawnictwo JK**  
ul. Krokusowa 3  
92-101 Łódź  
tel. 42 676 49 69  
[www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

*Znowu i zawsze, Jaredowi*

## Rozdział 1

*Uderzenie pioruna. Atak rekina. Wygrana na loterii.*

Nie. Przekreśliłam wszystkie te słowa. Zbyt stereotypowe.

Postukałam długopisem w usta.

*Rzadkie. Co jest rzadkie? Kupa.* – Uśmiechnęłam się w duchu.

W piosence brzmiałoby to zabójczo.

Poskreślałam jeszcze trochę długopisem, zamazując słowa tak, że stały się nieczytelne, ale w końcu dopisałam jeszcze jedno. *Miłość*. W moim świecie była to prawdziwa rzadkość. Przynajmniej w jej romantycznej wersji.

Lauren Jeffries, dziewczyna siedząca obok mnie, chrząknęła. Dopiero wtedy zauważyłam, jaka cisza panuje w klasie, jak bardzo odpłynęłam znów w swój własny kosmos, odcinając się od otaczającego mnie świata. Przez ostatnie kilka lat nauczyłam się żyć ze spuszczoną głową i wiedziałam, jak sobie teraz poradzić z niepożądanym zainteresowaniem. Przykryłam książką do chemii zeszyt pełen tekstów piosenek oraz moich szkiców i powoli podniosłam głowę.

Spojrzenie pana Ortegi było skupione na mnie.

– Witamy znów na lekcji, Lily.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Niewątpliwie pisałaś teraz odpowiedź – zauważył.

– Niewątpliwie. – Sztuka polegała na tym, żeby grać niewzruszoną, jakbym nie miała uczuć.

Pan Ortega, zgodnie z moimi oczekiwaniami, odpuścił mi i przeszedł do objaśniania tematu przewidzianego na przyszły tydzień i wskazywania, co będziemy musieli przeczytać, żeby się do niego przygotować. Skoro tak szybko dał mi spokój, pomyślałam, że po lekcji wymknę się niezauważona, ale jak tylko zabrzmiał dzwonek, zawołał mnie do siebie.

– Panno Abbott? Proszę poświęcić mi minutę.

Szukałam w głowie dobrego powodu, który pozwoliłby mi wyjść z resztą klasy.

– Jesteś mi winna chociaż tę jedną minutę, biorąc pod uwagę, że co

najmniej pięćdziesięciu pięciu wcześniejszych zdecydowanie mi nie poświęciłaś.

Ostatni uczniowie opuścili klasę, a ja podeszłam kilka kroków bliżej.

– Bardzo przepraszam, panie Ortega – zaczęłam tłumaczyć.

– Chemia i ja niezbyt do siebie pasujemy.

Westchnął.

– To działa w obie strony, a ty nie wypełniasz swoich obowiązków.

– Wiem. Postaram się poprawić.

– Owszem, będziesz musiała. Jeżeli jeszcze raz zobaczę twój zeszyt, trafi w moje ręce.

Zduśłam w sobie jęk. Jak miałabym wytrzymać codzienne pięćdziesiąt pięć minut tortur bez żadnej odskoczni?

– Muszę przecież robić notatki. Notatki z chemii. – Co prawda, nawet nie pamiętałam, kiedy ostatnio zdarzyło mi się sporządzić jakąś notatkę z chemii, nie mówiąc już o liczbie mnogiej.

– Wystarczy oddzielna kartka, którą pokażesz mi pod koniec każdej lekcji.

Przycisnęłam do piersi swój ukochany zielono-fioletowy zeszyt. Miałam w nim setki pomysłów na piosenki i próbki tekstów, niedokończone wersy, bazgroły i szkice. To właśnie trzymało mnie przy życiu.

– To okrutna i szczególna kara.

Zaśmiał się.

– Płacą mi za to, żebym pomagał ci zaliczyć mój przedmiot. Nie masz innego wyboru.

Mogłabym podsunąć mu całą listę innych możliwości.

– Sądzę, że doszliśmy do porozumienia.

Nie nazwałabym tego porozumieniem. To oznaczałoby, że oboje mieliśmy w tej sprawie coś do powiedzenia. Lepszym określeniem byłoby: zarządzenie, dekret... edykt.

– Chcesz coś jeszcze powiedzieć? – zapytał pan Ortega.

– Słucham? Och. Nie, wszystko jasne. Do zobaczenia jutro.

– Bez zeszytu! – zawołał za mną.

Odczekałam, aż drzwi się za mną zamkną, po czym znów wyjęłam

tamten zeszyt i zapisałam na rogu strony słowo „edykt”. Dobrze było. Niezbyt ograne. Gdy pisałam, walnęłam kogoś ramieniem tak, że o mało się nie wyłożyłam.

– Uważaj, Magnes – powiedział koleś z ostatniej klasy, którego ledwie kojarzyłam.

Dwa lata, a ludzie jeszcze nie darowali sobie tej ksywki. Nie zareagowałam, ale gdy mnie mijał, wyobraziłam sobie, że rzucam mu w plecy długopisem jak strzałką.

– Wyglądasz, jakbyś miała ochotę kogoś udusić – stwierdziła Isabel Gonzales, moja najlepsza przyjaciółka, równając krok z moim.

– Czemu ludzie wciąż pamiętają tę durną fraszkę, którą ułożył Cade? – mruknęłam. Niesforny kosmyk moich ciemnokasztanowych włosów wymknął się z uwięzi spinek i nasunął mi na twarz. Upchnęłam go za uchem. – Nawet się zbyt nie rymowała.

– Fraszki nie muszą być do rymu.

– Wiem. Nie mówię o jego talencie fraszkopisarskim. Mówię tylko, że całe to towarzystwo nie powinno już jej pamiętać. A jednak. I to po dwóch latach, choć nie było w niej nic chwytliwego.

– Tak mi przykro – powiedziała Isabel, biorąc mnie pod rękę. Pokręciłam głową.

– Nie musisz za niego przeproszać. Już przecież z nim nie chodzisz. Poza tym nie chcę, żebyś mi współczuła.

– A jednak współczuję. To głupie i dziecinne. Myślę, że ludzie powtarzają to z przyzwyczajenia, nie zastanawiając się w ogóle, co mówią.

Nie byłam pewna, czy się z nią zgadzam, ale wolałam zmienić temat.

– Pan Ortega nie życzy sobie mojego zeszytu na swoich lekcjach. Isabel się roześmiała.

– Ooo, więc jak przeżyjesz bez tak ważnego organu?

– Sama nie wiem. I to akurat na chemii. Jak można oczekiwać, że ktoś będzie na niej uważał?

– Ja lubię chemię.

– Powiem inaczej: jak można oczekiwać, że ktoś normalny będzie na niej uważał?



– Uważasz, że jesteś normalna?

Pochyliłam głowę, uznając jej wygraną.

Gdy doszliśmy do rozwidlenia ścieżki tuż za budynkiem B, zatrzymałyśmy się. Krajobraz po obu stronach ścieżki, ukazujący różowawe skały, był dziś szczególnie spowity pyłem. Przesunęłam stopą w czerwonym sneakersie kilka kamyków na drodze.

Wiedziałam, że takie ukształtowanie terenu sprzyja ochronie zasobów wodnych, ale z bliska te arizońskie pejzaże wydawały mi się mało inspirujące. Żeby znaleźć w tym plenerze natchnienie, musiałam przypatrywać się mu z pewnej odległości, a to przypomniało mi, że warto podnieść wzrok. Chociaż beżowe budynki i tłumy uczniów wyglądały niewiele lepiej niż te skały.

– To jak, na obiad dzisiaj podróba meksykańskiego żarcia?

– zapytałam Isabel, gdy mijaly nas Lauren, Sasha i ich psiapsiółki.

Isabel zagryzła wargę, na jej twarzy odmalowało się zmartwienie.

– Gabriel umówił się dziś ze mną poza kampusem z okazji naszej drugiej miesięcznicy. Pasuje? Bo mogę to odwołać.

– Racja. Wasza druga miesięcznica. To dzisiaj? Zapomniałam zabrać z domu prezent.

Isabel przewróciła oczami.

– Co dla mnie masz? Chałupniczej roboty książkę o tym, dlaczego nie wolno ufać facetom?

Położyłam dłoń na piersi i westchnęłam.

– To absolutnie nie w moim stylu. Mój tytuł brzmi: *Skąd wiadomo, że z niego samolubna świnią*. Ale mniejsza o to.

Wybuchnęła śmiechem.

– Ale w związku z Gabrielem nigdy nie dałabym ci takiej książki – dodałam, szturchając Isabel. – Naprawdę go lubię. Wiesz o tym, prawda?

– Gabriel okazał się słodki i dobrze traktował Isabel. Inspiracją dla tych wymyślonych książek był jej poprzedni chłopak – Cade Jennings, autor wspomnianej już fraszki o Magnesie.

Uświadomiłam sobie, że Isabel wpatruje się we mnie, nadal zaniepokojona.

– Oczywiście, że możesz wybrać się na obiad z Gabrielem

– zapewniłam ją. – Mną się nie przejmuj. Bawcie się dobrze.

– Możesz iść z nami, jeśli...

Korciło mnie, żeby pozwolić jej dokończyć to zdanie. Zaakceptowałam jej zaproszenie tylko po to, żeby było zabawnie; zlitowałam się jednak nad nią i jej przerwałam.

– Nie. Nie wybiorę się na obiad z okazji waszej drugiej miesięcznicy. Wybacz. Mam do napisania książkę... *Drugie miesięcznice jako początek wieczności*. Rozdział pierwszy. Po sześćdziesięciu dniach dowiesz się, że to coś poważnego, gdy wyrwie cię ze szkolnego znoju i zabierze do Taco Bell.

– Nie wybieramy się do Taco Bell.

– Ooo, dopiero pierwszy rozdział, a już nie za dobrze to dla ciebie wygląda.

Ciemne oczy Isabel rozblęły.

– Żartuj, ile chcesz, a ja uważam, że to romantyczne.

Chwyciłam ją za rękę i ścisnęłam.

– Wiem. To urocze.

– Zawsze możesz zostać tutaj. – Machnęła ręką w kierunku stołówki. – I dołączysz do Lauren i Sashy?

Wzruszyłam ramionami. Ten pomysł mnie nie kręcił. Na chemii siedziałam obok Lauren i czasem rozmawiałyśmy. Kiedyś zapytała mnie, co mamy zadane, innym razem zażądała, żebym zsunęła mój plecak z jej segregatora. A z Sashą nawet tyle nie pogadałyśmy.

Przyjrzałam się sobie. Dziś byłam ubrana w za dużą męską koszulę, którą wyszukałam w sklepie z używaną odzieżą. Przycięłam rękawy tak, żeby przypominała kimono, i przewiązałam w talii brązowym wintażowym paskiem. Na nogach miałam ściachane czerwone sneakersy do kostek. Wyglądałam raczej dziwnie niż modnie i wyróżniałabym się w otoczeniu Lauren, gdzie wszystkie dziewczyny idealnie do siebie pasowały za sprawą obcisłych dżinsów i koszulek na ramiączkach.

Ruchem głowy pokazałam Isabel mój zeszyt.

– Wszystko gra. Będę miała okazję popracować nad nową piosenką. Wiesz, że w domu nie mogę liczyć na chwilę samotności.

Isabel przytaknęła. Wtedy kątem oka zobaczyłam jego. I zamarłam.

Lucas Dunham. Siedział na ławce, otoczony innymi chłopakami

z ostatniej klasy, w bluzie z kapturem zapiętej po szyję, ze słuchawkami wetkniętymi w uszy, zapatrzony w dal. Jakby był jednocześnie obecny i nieobecny. Rozumiałam to uczucie.

Isabel powędrowała wzrokiem za moim spojrzeniem i westchnęła.

– Wiesz, powinnaś go zagadnąć.

Roześmiałam się, czując, że palą mnie policzki.

– Pamiętasz przecież, jak to było, kiedy próbowałam ostatnim razem.

– Nerwy cię zjadły i tyle.

– Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. W ogóle. On, jego obłędna fryzura i hipsterskie ciuchy do reszty mnie wystraszyły – dokończyłam szeptem.

Patrząc na niego, Isabel przekrzywiła głowę, jakby nie zgadzała się z moją oceną jego wyglądu.

– Po prostu brak ci doświadczenia. Zaczynaj od kogoś, o kim nie marzysz od dwóch lat.

– Wcale nie marzę o Lucasie...

Zawiesiłam głos, bo popatrzyła na mnie wymownie. Miała rację. Marzyłam o nim. Lucas był najprawdopodobniej najbardziej niesamowitym chłopakiem... Choć właściwie go nie znałam, ale chyba właśnie to czyniło tego faceta jeszcze bardziej niezwykłym. Był o rok starszy ode mnie. Włosy miał ciemne i długie, a chodził zawsze w T-shirtach jakichś kapel lub starych szkolnych koszulkach polo – ten kontrast sprawiał, że nie potrafiłam w jakikolwiek sposób go sklasyfikować.

– Wybierzesz się ze mną i Gabrielem w następny piątek na podwójną randkę! – oznajmiła nagle Isabel. – Znajdę ci partnera.

– Odpada.

– Daj spokój. Minęło sporo czasu, odkąd byłaś na randce.

– To dlatego, że jestem niezgrabna i dziwaczka, więc nieszczęśnik, który by się ze mną umówił, nie miałby z tego żadnej frajdy.

– Nieprawda.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– Musisz po prostu wyskoczyć z kimś więcej niż raz... czy dwa... a się przekonasz, jaka jesteś fajna – zaprzeczyła Isabel, regulując paski

swojej torby. – Nie widzę, żebyś była niezgrabą.

– Przy tobie też jestem totalną niezgrabą, ale ty się nie palisz, żeby zacząć mnie całować, więc to tolerujesz.

Isabel się zaśmiała i pokręciła głową.

– Nie dlatego to toleruję. Wytrzymuję to, bo cię lubię. Musimy tylko znaleźć chłopaka, przy którym będziesz mogła być sobą.

Położyłam dłoń na sercu.

– I oto w ów gorący jesienny dzień Isabel rozpoczęła niewiarygodną wędrówkę w poszukiwaniu adoratora dla swojej najlepszej przyjaciółki. Wędrówka ta trwać mogła po kres jej żywota. Stać się miała próbą jej determinacji i wiary. Wiodła ją na skraj obłędu i...

– Skończ już – przerwała mi Isabel, trącając mnie ramieniem w bark. – Właśnie tego rodzaju podejście czyni sprawę niemożliwą.

– To właśnie staram się ci powiedzieć.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. Zobaczysz. Właściwy facet dla ciebie jest na wyciągnięcie ręki.

Westchnęłam, a moje spojrzenie znów zbłądziło w stronę Lucasa.

– Iz, nic mi nie trzeba, powaga. Nigdy więcej ustawianych randek.

– Dobra, nigdy więcej. Ale otwieraj się na ludzi, bo może ci umknąć coś, co masz przed nosem.

Rozpostarłam ręce.

– Czyż istnieje ktoś bardziej otwarty ode mnie?

Isabel popatrzyła na mnie sceptycznie. Już nabrała powietrza, żeby mi odpowiedzieć, kiedy z drugiej strony trawnika dobiegł nas donośny głos.

– Tu jest! Szczęśliwej miesięcznicy!

Policzki Isabel pokraśniały i odwróciła się w stronę Gabriela.

Biegiem pokonał resztę dzielącej ich odległości i podniósł ją w uścisku.

Wyglądali razem oszałamiająco, oboje ciemnowłosi, ciemnoocy

i o oliwkowej karnacji. Dziwnie było widzieć Gabriela u nas w szkole.

Chodził do liceum na drugim końcu miasta i kojarzył mi się ze spotkaniami po lekcjach i weekendowymi imprezami.

– Hej, Lily – zwrócił się do mnie, gdy już postawił Isabel. – Idziesz z nami? – Jego zaproszenie wyglądało na szczere. Był z niego naprawdę

fajny gość.

– Taki czad? Słyszałam, że stawiasz, no to powiedziałam:  
„Wchodzę w to”.

Isabel się śmiała.

– Świetnie – powiedział Gabriel.

– To był żart, Gabe – wyjaśniła Isabel.

– Aha.

– Tak. Mój przypadek nie wymaga specjalnej troski. – Choć  
zaczynałam już myśleć, że według nich tak jest.

– Nie, pewnie, że nie. Po prostu źle się czuję z tym, że wcześniej  
cię nie uprzedziłam – przyznała Isabel.

Gabriel kiwnął głową.

– To była niespodzianka.

– Jeśli będziecie mnie dalej tak hołubić, ucieknie wam czas na  
jedzenie. Lećcie już. Bawcie się dobrze. I... hmm... gratulacje.

Niedawno czytałam książkę o tym, że druga miesięcznica to początek  
wieczności.

– Serio? Ekstra – powiedział Gabe.

Isabel tylko przewróciła oczami i walnęła mnie w ramię.

– Trzymaj się.

Zostałam na ścieżce sama, przyglądając się rozgadany  
i roześmianym grupkom ludzi wokół mnie. Obawy Isabel były  
nieuzasadnione. Sama ze sobą czułam się dobrze. Czasem nawet to  
wolałam.

## Rozdział 2

Siedziałam na schodach przed szkołą, rysując w zeszyt trzymanym na kolanach. Uzupełniałam szkic spódniczki o kilka kwiatków, potem pomalowałam rajstopy zieloną kredką. Słuchawki pulsowały, słuchałam ukochanej piosenki jednej z moich ulubionych kapel, Blackout. Wokalistka, Lyssa Primm, była moją idolką, zarówno pod względem stylu, jak i muzyki – genialna tekściarka, budząca szal ustami o barwie wiśni, wintażowymi sukienkami i gitarą, z którą się nie rozstawała.

„Rozchyl więdące płatki i światło wpuść” – zagrało mi w uszach. Jedną nogą przytupywałam sobie do taktu. Chciałabym się nauczyć grać tę piosenkę na mojej gitarze. Miałam nadzieję, że uda mi się jeszcze poćwiczyć.

Warkot minivana był na tyle głośny, że zagłuszył muzykę, i nie musiałam nawet podnosić głowy, żeby wiedzieć, że przyjechała moja mama. Zamknęłam zeszyt, wepchnęłam go do plecaka, wyjęłam z uszu słuchawki i wstałam. Na tylnym siedzeniu zobaczyłam moich młodszych braci. Widocznie mama wcześniej odebrała ich ze szkoły.

Otworzyłam drzwi od strony pasażera i powietrze wokół wypełnił stary kawałek One Direction, a ja odkryłam, że moje miejsce zajął maminy organizer na koraliki.

– Możesz wskoczyć do tyłu? – zapytała mama. – Po drodze do domu muszę dostarczyć klientce naszyjnik.

Wcisnęła guzik i odsunęły się boczne drzwi, ukazując obu moich młodszych braci, walczących o figurkę jakiegoś superbohatera. Na ziemię stoczył się plastikowy kubek. Rozejrzałam się, żeby zobaczyć, jak bardzo powinnam się wstydzić. Parking nie był już raczej zatłoczony. Nieliczni uczniowie pakowali się do swoich samochodów lub pokrzykiwali coś do znajomych. Na mnie chyba nikt nie zwracał uwagi.

– Przepraszam, że się spóźniłam – dodała mama.

– Żaden problem. – Zamknęłam przednie drzwi, zgarnęłam kubek z asfaltu i poklepałam braciszka po plecach. – Posuń się, Stworze Dwa.

Strzepnęłam z siedzenia okruchy serowych krakersików i usiadłam.

– Myślałam, że przyjedzie po mnie Ashley – powiedziałam do mamy.

Moja starsza siostra, Ashley, lat dziewiętnaście, dysponowała własnym samochodem, pracowała i studiowała. Ale że wciąż jeszcze mieszkała z nami (okradając mnie z szansy na mój własny pokój), miała wobec rodziny zobowiązania. Jak choćby przywożenie mnie ze szkoły.

– Dziś do późna pracuje w sklepiku na kampusie – przypominała mi mama. – Hej, czyżbyś narzekała, że przyjeżdża po ciebie twoja super-spoko-mama? – zażartowała, śledząc mnie w lusterku wstecznym. Roześmiałam się.

– Czy super-spoko-mamy używają słowa „spoko”?

– Odlotowa? Bombowa? Niesamowita? – W samym środku tej wyliczanki odwróciła się do mojego brata i powiedziała: – Wyatt, masz dziesięć lat, zostaw figurkę Jonahowi.

– A Jonah ma siedem! Tylko trzy mniej ode mnie. Dlaczego wszystko mu się należy?

Jonah strzelił mnie łokciem w brzuch, próbując zwinąć mi figurkę Iron Mana.

– Teraz jest mój – oświadczyłam, wywołując okrzyk oburzenia obu moich braci, bo zabrałam im zabawkę i wrzuciłam do bagażnika.

Mama westchnęła.

– Nie wiem, jak to miało pomóc.

– Mojemu żołądkowi bardzo się to spodobało.

Obaj bracia przestali skowyczeć i zachichotali, dowodząc skuteczności mojego stwierdzenia. Potarmosiłam im czupryny.

– Jak było w szkole, Stwory?

Mama wdepnęła hamulec, bo czarna beemwucha zajęchała jej drogę. Wystawiłam rękę, żeby uchronić Jonaha przed walnięciem głową w oparcie przed nim. Z zamkniętymi oczami wiedziałabym, kto to taki. Zatem z łatwością rozpoznałam jego oświetlone słońcem falujące blond włosy. Cade miał wygląd chłopaka z sąsiedztwa – był wysoki, szeroko uśmiechnięty, miał brązowe oczy jak u szczeniaka – brakowało mu tylko adekwatnej osobowości.

– Ktoś tu nie nauczył się bezpiecznie jeździć – mruknęła mama, gdy Cade już się oddalał. Żałowałam, że nie użyła klaksonu.

– Wielu rzeczy jeszcze się nie nauczył. – *W tym układania rymowanych fraszek.*

– Znasz go?

– To Cade Jennings. Choć znany raczej jako Dżolo Jennings. – To przynajmniej było chwytnie. Aliteracja. Natomiast Magnes... Lily? Jakim cudem ktoś to jeszcze pamiętał?

– Tak go nazywają? – spytała mama. – Niezbyt to miłe.

– Nie nazywają – wymamrotałam. Ale powinni. Bo brzmiało to nieźle.

– Cade... – Mama zmrużyła oczy, zastanawiając się.

– Isabel z nim chodziła. W pierwszej klasie. – Dopóki nie pokłóciłam się z Cade'em tak strasznie, że moja najlepsza przyjaciółka musiała się opowiedzieć po którejś ze stron. Utrzymywała potem, że zerwali ze sobą nie z mojego powodu, ale przypuszczałam, że jednak tak. Po części miałam poczucie winy, po części zaś uważałam, że oszczędziłam jej wielu rozczarowań.

– Tak mi się wydawało, że znam skądś to imię – stwierdziła mama, skręcając w prawo. – Był kiedyś u nas w domu?

– Nie, nie był. – I bardzo dobrze. Cade bez wątpienia czepiałby się mnie z powodu naszej nieustannie zagraconej chaty. Ze względu na czwórkę dzieciaków, katastrofa była w nim stanem permanentnym.

Isabel zaciągnęła mnie kiedyś do Cade'a, na jego czternaste urodziny. Kiedy zapukałyśmy i otworzył, było po nim widać, jak przyjął to, że mnie tam przywlokła.

– Co za niespodzianka urodzinowa – rzucił sarkastycznie przez ramię, zmierzając w głąb domu, a my z Isabel poszłyśmy w jego ślady.

– Możesz mi wierzyć, nie miałam ochoty tu przyjść! – zawołałam w odpowiedzi.

Isabel przyspieszyła, żeby dogonić Cade'a, ja natomiast stanęłam jak kołek w wejściu. Wnętrze domu było rozległe i szokująco białe. Nawet meble i wszelkie ozdoby były tam białe. U mnie w domu biel nie uchowałaby się nawet przez sekundę.

Obracałam się powoli, chłonąc wszystko wokół, gdy zza rogu wyjrzała Isabel, pytając:

– Idziesz?



Głosy moich braci sprowadziły mnie z otchłani wspomnień do samochodu i mojej rodziny. Walczyli teraz o paczuszkę m&m'sów.

– Ja znalazłem ją pod siedzeniem. To znaczy, że jest moja  
– stwierdził Wyatt.

Wyciągnęłam zeszyt i wróciłam do szkicowania spódniczki.

– Hej, mammo, możemy kupić czarną nitkę? Skończyła mi się.  
Mama skręciła w główną ulicę.

– Moglibyśmy poczekać do końca tygodnia? Twój tata kończy zlecenie.

Tata projektował meble jako wolny strzelec. Ile akurat trafi mu się roboty, nie sposób było przewidzieć, podobnie jak naszego domowego budżetu. Generalnie wszystko, co dotyczyło mojej rodziny, było nieprzewidywalne.

– Jasne, oczywiście. – Postarałam się nie westchnąć.

\* \* \*

W domu, tuż za drzwiami, przeskoczyłam nad stertą plecaków i poszłam do swojego pokoju.

– Pożyczam laptopa – powiadomiłam wszystkich, którzy mieliby ochotę to usłyszeć, i zgarnęłam komputer z biurka w przedpokoju.

Nikt nie zareagował.

Weszłam do swojego pokoju... no, do pokoju w połowie swojego. W tej czystej połowie. W tej połowie z poprzipinanymi do ścian próbkami tkanin i wzornikami kolorów. Nie w tej z wycinkami z kolorowych magazynów z pomysłami na makijaż i cudnymi celebrytami. Choć od czasu do czasu i ta druga połowa znajdowała moje uznanie.

A jako że Ashley teraz nie było, mogłam swobodnie walnąć się na łóżko i odpalić YouTube. Poszukałam filmu z instruktażem, jak grać tę piosenkę Blackoutu. Nie była zbyt znana, nie miałam więc pewności, czy znajdę kogoś, kto uczyłby grać ją na gitarze. Musiałam przelecieć kilka stron, ale w końcu znalazłam. Postawiłam laptopa na swojej szafce.

Gitarę trzymałam pod łóżkiem, w twardym futerale. I wcale nie przesadzałam. Przy dwóch młodszych braciach to była konieczność. Wyciągnęłam futerał i otworzyłam. Zapracowanie na tę gitarę, moje

dziecię, zajęło mi pół roku. Każdy piątkowy wieczór poświęcałam na pilnowanie bliźniaków sąsiadów, dwulatków. Nigdy nie opiekowałam się trudniejszymi brzdącami. A to rzeczywiście coś, zważywszy na ksywki, jakie nadałam własnym braciom. Ale było warto. Gitara okazała się dokładnie taka, o jakiej marzyłam. Miała idealne brzmienie. A grając na niej, czułam się mniej niezdarnie niż zwykle. Miałam nawet wrażenie, że to coś, do czego jestem powołana. Właśnie to. Wszystko inne zniknęło.

No i zniknęło, ale na krótko. Właśnie zaczęłam układać palce do pierwszego akordu, gdy drzwi do mojego... naszego... pokoju otworzyły się z trzaskiem.

– Lily! – zawołał Jonah, wbiegając i ślizgiem zatrzymując się przede mną. – Patrz! Ząb mi się rusza. – Rozdziawił usta i pchnął językiem prawą górną jedynekę. Nic się nie poruszyło.

– Ekstra, koleżko.

– Okej, pa! – Wybiegł tak szybko, jak wbiegł.

– Zamknij drzwi! – wrzasnęłam za nim, ale albo nie usłyszał, albo nie chciał usłyszeć. Westchnęłam, wstałam i sama je zamknęłam. Potem znów skupiłam się na filmie i swojej gitarze. Dwie minuty później usłyszałam pukanie i pojawiła się mama.

– Twoja kolej opróżnić zmywarkę.

– Mogę to najpierw dokończyć? – zapytałam, ruchem głowy wskazując gitarę.

– Nie zacznę robić kolacji, dopóki zlew nie będzie pusty, a zlew nie będzie pusty, dopóki zmywarka nie będzie pusta.

– Okej, już tam idę. – Zamknęłam oczy i jeszcze raz brzdąknęłam, tak by dźwięki gitary wibrowały mi w rękach. Cudownie się odprężyłam.

– Pospiesz się, Lily! – zawołała mama.

Grrr.

\* \* \*

Następnego ranka, przed szkołą, wpadłam do kuchni, żeby wszamać trochę płatków. Mama już wcześniej zawiozła Jonaha i Wyatta, a teraz składała pranie w pokoju. Moja siostra Ashley wciąż jeszcze się szykowała (co zajmowało jej całe godziny), natomiast tata siedział przy kuchennym stole, czytając gazetę.

Wyjęłam ze spizarki pudło płatków i nasypywałam je do miski, gdy dostrzegłam na blacie coś, co mnie osłabiło do reszty, aż pokręciłam głową. Na beżowym granicie leżały dwa naszyjniki, a pod każdym z nich mała karteczka. Przy wisioru po prawej na papierze widniały dwa znaczki odhaczenia. Przy tym po lewej również dwa.

– Nie – powiedziałam.

Tata nadal czytał gazetę przy kuchennym stole.

– Po prostu zagłosuj. To nic wielkiego.

– Mówicie, że nic wielkiego, a potem robicie z tego wielką sprawę.

Czyją przyjaciółkę tym razem zaciągnąłeś do głosowania?

– Głosowanie jest przywilejem. Tu nikt nikogo nie zaciąga. To wszystko dobra zabawa.

– No to oba są równie ładne. Głosuję na oba.

– Odpada. Musisz wybrać.

– Z ciebie i mamy jest para dziwaków. Skoro wy wyprawiacie takie dziwactwa, nie ma dla nas żadnej nadziei.

Nalałam sobie mleka i usiadłam przy stole. Gazeta nadal leżała przed tatą, jakby wciąż czytał. A przecież próbował uspić mnie fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Udawał, że ta rywalizacja to nic ważnego.

– Wiesz, że mama nie da ci spokoju, dopóki nie zagłosujesz

– powiedział.

– Z pewnością. To mamie na tym zależy. Powiedz mi tylko, który jest twój, a zagłosuję na niego.

– Lil, to byłoby oszustwo.

– Czemu zapoczątkowaliście tę tradycję? Mama nie bierze się do twojej roboty i nie próbuje cię pobić w dziedzinie fikuśnie rzeźbionych mebli.

– Na pewniaka by wygrała – zaśmiał się tata.

Zjadłam trochę płatków. Żeby pchnąć myśli na inne tory, zapytałam:

– Po co wciąż jeszcze kupujemy tę gazetę? Wiesz, że te same historie możesz znaleźć w internecie... już od wczoraj?

– Lubię trzymać słowa w rękach.

Roześmiałam się, zaraz jednak umilkłam, bo na odwrocie strony,

którą tata trzymał przed sobą, zobaczyłam coś, co zmieniło moją opinię o gazetach.

Nagle zapalałam miłością do gazet.

„Konkurs na piosenkę. Wygraj pięć tysięcy dolarów i trzytygodniowy intensywny kurs u wybitnego profesora muzykologii w Instytucie Herbergera. By dowiedzieć się więcej, odwiedź naszą stronę! [www.herbergerinstitute.edu](http://www.herbergerinstitute.edu)”.

– Gotowa do drogi? – spytała Ashley, wchodząc do kuchni. Jeszcze ziewała, ale jak zwykle była idealnie odstawiona, w džinsach rurkach, różowym T-shircie z dekoltem w łódkę i w butach na platformach, z włosami w koński ogon i nienagannym makijażem. Choć byłyśmy do siebie podobne – takie same długie kasztanowe włosy, orzechowe oczy i piegi – totalnie różnił nas styl. W mojej szkole Ashley dobrze pasowałyby do Lauren i Sashy.

– Co takiego? – Patrząc na siostrę, zamrugałam zdezorientowana.

– To znaczy tak. Słuchaj, tato, mogę?

Tata spojrzał na swój talerzyk i leżącego na nim do połowy zjedzonego bajgla, wzruszył ramionami i podsunął mi go.

– Fuj. Nie, tę gazetę.

– Gazetę? Chcesz czytać gazetę?

– Tak.

Podeszła do nas Ashley i porwała z jego talerzyka bajgla.

– Hej, on był dla Lily.

– Nie, nie był! – zawołałam. – Ja chcę gazetę, a nie bajgla.

Mruknął.

– Nie, nawet za drugim razem nie zabrzmiało to wiarygodniej niż za pierwszym.

– Bardzo śmieszne, tato.

– Dostaniesz gazetę, jeśli zagłosujesz.

Przewróciłam oczami, odsunęłam krzesło od stołu i wróciłam przyjrzeć się naszyjnikom. Ten po prawej był ozdobiony piórkami. Mama przechodziła właśnie fazę piórkową. Normalnie uwielbiałam biżuterię mamy, piórka jednak były jak na mój gust zbyt hipisowskie. Innym, jak widać, się podobały. Podniosłam ten po lewej.

– Tu masz swojego zwycięzcę.

Tata wyrzucił w górę pięść.

– Zagłosowała na mój, Emily.

Wyciągnęłam rękę.

Tata wręczył mi gazetę, ucałował w policzek i wyszedł, z całą pewnością szukać mamy.

– Śmieszne, że uważają, iż nie wiemy, który jest czyj – stwierdziła Ashley. – I że wygrana za każdym razem musi być o włos.

– Myślę, że powinniśmy się postarać, żeby mama za każdym razem spektakularnie wygrywała, bo wtedy może skończyliby z tą rywalizacją.

– To dobrze służy dowartościowaniu taty. Jedźmy już do twojej szkoły, mała.

Przycisnęłam gazetę do piersi, tuląc zawarte w niej słowa, i ruszyłam za siostrą. Teraz pozostało mi tylko napisać doskonałą piosenkę i wygrać ten konkurs.

### Rozdział 3

Chemia miała w sobie coś takiego, że odpalała mi w głowie natłok myśli. Możliwe, że powodował to miks nudnego przedmiotu, monotonnie mówiącego nauczyciela i lodowatego krzesła. Zastanawiałam się, czy istnieje wzór chemiczny wyjaśniający, dlaczego za sprawą połączenia tych trzech czynników mózg się rozłązi. Nie, to nietrafione określenie. Mój mózg wcale się nie lenił. Napełniał się. Był mózgiem hiperaktywnym. Mózgiem uniemożliwiającym skupienie się na słowach opuszczających ospale usta pana Ortegi. A może to, co mówił, wędrowało z nieprzeciętnie niską prędkością?

Dzisiaj pośród wszystkich tych normalnych myśli i słów, których nie miałam możliwości zapisywać w zeszycie, kołatała się też piosenka, którą dzień wcześniej uczyłam się grać na gitarze. Ten kawałek mnie dręczył – ukochany, a zarazem znienawidzony. Uwielbiałam go, bo był genialny, taki, że pragnie się napisać coś równie dobrego. Nienawidziłam, gdyż wiedziałam, że cokolwiek stworzę, nie będzie mu dorównywało pod żadnym względem.

A cały czas chodził mi po głowie tamten konkurs.

Jak zamierzałam go wygrać? I jak w ogóle miałabym w nim wystartować?

Mój ołówek zawisł nad kartką – nad tą jedną jedyną, na którą pozwolił mi pan Ortega. Gdybym tak mogła zapisać tekst tamtej piosenki, zniknęłaby z mojej głowy, umożliwiając mi skupienie się na lekcji. Ale ta kartka miała się znaleźć przed panem Ortega dokładnie za czterdzieści pięć minut. *Czterdzieści pięć minut?* Ta lekcja zawsze toczyła się bez końca. O czym on właściwie mówił? O żelazie. Coś na temat właściwości żelaza. Napisałam na kartce słowo „żelazo”.

Potem mój ołówek, jakby wiedziony własnym umysłem, przewędrował na drewnopodobny blat i zapisał tam słowa rozbrzmiewające wciąż w mojej głowie.

„Rozchyl więdnące płatki i światło wpuść”.

Dodałam rysunek słoneczka dotykającego promieniami niektórych słów. Zostały mi jeszcze czterdzieści trzy minuty lekcji.

\* \* \*

Akurat zapisywałam coś w swoim zeszycie, jednocześnie idąc korytarzem – czyli robiłam to, czego mimo wielokrotnego powtarzania nie doprowadziłam jeszcze do perfekcji – kiedy usłyszałam śmiech.

Pomyślałam, że to ja go wywołałam, więc podniosłam wzrok. Nie chodziło jednak o mnie.

Jakiś ciemnowłosy chłopak – możliwe, że pierwszak – stał na środku korytarza, przyciskając książki do piersi. Na czubku jego głowy w idealnej równowadze spoczywał kij do bejsbola. Za chłopakiem stał Cade Jennings z rękoma po obu jego stronach, jakby właśnie wypuścił z nich ten kij.

– Rzuć mi piłkę – polecił swojemu przyjacielowi Mike’owi, stojącemu naprzeciw niego i nieszczęsnego pierwszaka.

Mike zrobił to i teraz Cade starał się wykombinować, jak dosięgnąć kija, by dało się położyć na nim piłkę. Chłopaczek wyglądał na zanedo przerażonego, by się ruszyć.

– Potrzebuję krzesła. Niech ktoś znajdzie mi krzesło – powiedział Cade i ludzie momentalnie pognali spełnić jego życzenie. Kij zaczął się chybotać, potem spadł, potoczył się po podłodze i w końcu zatrzymał pod szafkami.

– Poruszyłeś się, koleś – zganił pierwszaka Cade.

– Spróbuj jeszcze raz! – zawołał ktoś z tłumu gapiów.

Cade błysnął swoim szerokim, idealnie białym uśmiechem. Tym samym, którym często się posługiwał, znając jego moc. Ściągnęłam brwi. Chyba tylko ja byłam na niego odporna.

I choć wolałabym nie zwracać uwagi na siebie, wiedziałam, że chyba powinnam pomóc temu gnębionemu chłopaczkowi.

Nie byłam jednak pewna, co mogłabym zrobić. Bardzo dobrze wiedziałam, jak to jest znaleźć się niechcący w centrum uwagi za sprawą Cade’a Jenningsa...

Wróciłam myślą do lekcji wuefu w pierwszej klasie. Nie należałam do dziewczyn, które uważają, że są we wszystkim beznadziejne. Znałam jednak swoje słabe strony, a wuef był jedną z nich. Sednem problemu zaś była koedukacyjna koszykówka. Dlatego robiłam wtedy, co w mojej

mocy, by w miarę możliwości trzymać się jak najdalej od piłki.

Z jakiegoś powodu, czy jak się później zorientowałam – najprawdopodobniej z czystej złośliwości, piłka cały czas leciała w moją stronę. Rzucana przez moją drużynę i przez przeciwną. I nigdy nie udawało mi się jej złapać. Przypominało to grę w zbijaka, w której byłam jedynym celem. Oberwałam w ramię, plecy, nogę. Wtedy siedzący na trybunach Cade zakrzyknął tak, by wszyscy słyszeli:

– Taką energię ona posiadała, że każda piłka prosto w nią wpada. Jak czarna dziura. Jak magnes. Lily Abbott, znana jako Magnes.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem ze zwiastunów filmowych. Zupełnie, jakby zmieniał mnie w jakąś nieporadną superbohaterkę. Potem małpowiała go już cała sala gimnastyczna, naśladując ten ton i zanosząc się śmiechem.

Śmiali się i śmiali, a ten śmiech na zawsze pozostał mi w uszach, tak jak ksywka Magnes najwyraźniej utkwiała im wszystkim w głowach.

A teraz tu, na korytarzu, znów rozległ się ten sam rodzaj śmiechu wywołanego widokiem najświeższej ofiary Cade’a.

Odchrząknęłam i powiedziałam:

– Patrzcie no, grają w to, kto ma bardziej zakuty łeb. Cade czy jego kij. – Skinęłam głową, próbując wskazać tamtemu chłopakowi, żeby się zmył, dopóki odwracam uwagę jego prześladowcy. Usta

Cade’a rozciągnęły się w jeszcze większym uśmiechu, gdy obcinał mnie wzrokiem, od czubka głowy i włosów – których fale pod jego baczynym okiem wydawały się jeszcze bardziej wariackie niż normalnie – po moje martensy z niepasującymi do siebie sznurowadłami.

– Patrzcie no, oto miernik ubawu. Za dobrze się tu bawimy, Lily?

– Widzę tu tylko jedną osobę mającą ubaw.

Rozejrzał się po korytarzu, na którym było aż gęsto od uczniów.

– Widocznie masz coś z oczami. – Zniżył głos. – Już kumam.

Ciężko tu dostrzec kogoś poza mną, co?

Wygrałby, gdybym dała poznać, jak bardzo się zirytowałam.

– Jestem tu po to, by uchronić przed twoją arogancją kolejną duszyczkę – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

Choć może nikogo tak naprawdę nie ratowałam. Tamten chłopak nawet nie drgnął. Szeroko otworzyłam mu drogę ucieczki, a on wciąż



tam sterczał. A nawet otworzył usta i powiedział:

– A gdybyś tak najpierw położył piłkę na kiju, a dopiero potem kij na mojej głowie?

Cade poklepał go po plecach.

– Niezły pomysł. Gdzie ten kij?

Westchnęłam. Nie było powodu do interwencji. Chłopaczek widocznie lubił być gnębiony. Ruszyłam dalej.

– Następnym razem, Magnes, podejdź do nas wcześniej. Nie chcielibyśmy, żeby znów coś wymknęło się nam z rąk – zawołał Cade, potęgując jeszcze śmiechy.

W piersi wezbrał mi gniew i odwróciłam się gwałtownie.

– Słyszałeś kiedyś o aliteracji? Powinieneś się z nią zapoznać.

– Kijowa była ta kontra. Argument dla wtajemniczonych, który nigdy by do niego nie dotarł, ale tylko taki przyszedł mi do głowy. Towarzystwo wokół niego śmiało się jeszcze głośniejsze. Odwróciłam się i zrobiłam wszystko, by oddalić się z normalną szybkością.

## Rozdział 4

Zamierzam wystartować w konkursie na piosenkę – oznajmiłam.

Ręka Isabel zastygła w bezruchu, gdy sięgała po piżamę. Był piątkowy wieczór, a my siedziałyśmy u niej w domu i zaraz miałyśmy obejrzeć jakiś horror. Z ogłoszeniem moich planów zwlekałam od momentu, kiedy dzień wcześniej przeczytałam o tym konkursie, cały czas to wszystko rozważając. Teraz wypowiedziałam je na głos. To oznaczało, że będę musiała się ich trzymać. I będę się ich trzymać.

– Naprawdę? – W jej głosie czuło się więcej niż tylko odrobinę sceptycyzmu.

Rzuciłam się na jej królewskie łożo i zapatrzyłam w przypięty do sufitu portret Einsteina. Jak zawsze zastanowiło mnie, jak mogła spać, gdy tak na nią patrzył. Mnie zawsze przychodziło to z trudem.

Mimo to uwielbiałam nocować u Isabel. Była jedynaczką, więc jej dom wydawał mi się oazą spokoju. Zawsze jadłyśmy kolację z jej rodzicami – dziś były to przepyszne domowe tamales z ryżem i fasolą – a potem szłyśmy na górę, by urzędować w jej ogromnym pokoju z rozkładaną kanapą, telewizorem i miniaturową lodówką do przechowywania dietetycznej coli i lodów.

– Uważasz, że nie dam rady? – zapytałam ją, marszcząc czoło.

– Nie o to chodzi, Lil. Jestem pewna, że twoje piosenki są świetne – odpowiedziała Isabel, wyciągając piżamę z szuflady komódki. – Powiedziałabym ci to z pełnym przekonaniem, gdybyś podzieliła się którąś ze mną, swoją najlepszą przyjaciółką na świecie.

Jęknęłam.

– Wiem. Przykro mi. Jeszcze żadnej nie skończyłam.

– Zawsze to powtarzasz. Jak więc zamierzasz wystartować w konkursie, skoro nawet ze mną nie chcesz podzielić się piosenką?

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Nie wiem.

Usiadła na łóżku obok mnie.

– Przepraszam. Wiem, że dasz radę, Lil. Musisz tylko uwierzyć w siebie.

- Dzięki, mamó.
- Nie bądź wredna. Staram ci się pomóc.

Opuściłam ręce i spojrzałam na nią.

- Wiem.

- Opowiedz mi o tym konkursie.

Oparłam się na łokciach.

- Organizuje go Instytut Herbergera – zaczęłam.

Isabel zaparło dech w piersiach, szeroko otworzyła ciemne oczy.

- Och, łał. Lil, to dopiero prestiż.

Kiwnęłam głową i zdenerwowana zajęłam się rozdwojonymi końcówkami moich włosów.

– Wiem. W każdym razie nagroda wynosi pięć tysięcy dolarów, co samo w sobie, oczywiście, jest niesamowite. Ale jeszcze lepszy będzie trzytygodniowy kurs u jednego z profesorów.

Isabel się uśmiechnęła.

– To grubo. Poznanie takiego profesora mogłoby ułatwić przyjęcie, prawda?

Przytaknęłam. Staralam się za wiele o tym nie myśleć. Wygrana w konkursie nie tylko przyniosłaby pieniądze umożliwiające opłacenie studiów, na co moi rodzice nie mogli sobie pozwolić, ale i pomogłaby mi zakwalifikować się do uczelnianego programu muzycznego, o którym od lat marzyłam.

– Zdradź mi więc coś. Choćby pomysł na piosenkę. – Wskazała zielono-fioletowy zeszyt leżący na spoczywającym na podłodze worku z moimi rzeczami na noc.

Ogarnęło mnie onieśmienie, wzruszyłam więc ramionami.

– Mam kilka pomysłów. Muszę je doszlifować. Przedstawię ci je, ale nie teraz.

Przewróciła oczami, a potem wstała, żeby przebrać się w piżamę.

- Cykor.

Rzuciłam w nią jedną z moich skarpet, a potem znów wyciągnęłam się na wznak i w moim polu widzenia pojawił się plakat na suficie. Miała rację. Był ze mnie totalny cykor.

- Mam wrażenie, że Einstein mnie osądza.

- Zapewne tak. Może przejrzał twój zeszyt.

Zaśmiałam się i wyciągnęłam z worka pizamę.

Isabel zmieniła temat, żebym ja nie musiała tego robić.

– Dziś jeden film czy dwa? – Tak zaszyfrowała pytanie: „Jak szybko kładziemy się spać?”.

Uśmiechnęłam się.

– Dwa. Przed nami cała noc.

\* \* \*

Telefon zabrzączał tuż przy moim udzie, więc usiadłam natychmiast na rozkładanej kanapie Isabel, chwilowo jeszcze zdezorientowana. Przede mną migotał błękitem ekran telewizora. Przez żaluzje prześwitywało blade światło poranka. Telefon przestał brzęczeć, ale po dziesięciu sekundach znów zaczął.

– Halo? – odezwałam się, wciąż zaspana.

– Lily. – To był tata. – Twój brat ma dzisiaj ostatni mecz.

Pamiętam, jak mówiłaś, że chciałabyś jakiś obejrzeć. Nie chciałem pozbawiać cię tej okazji.

– Która godzina?

– Ósma rano.

Ziewnęłam. Zasnęliśmy z Isabel dopiero po trzeciej. Mimo to próbowałam wziąć się w garść.

– Owszem, chętnie się wybiorę.

– Okej, zgram cię po drodze najpóźniej za dwadzieścia minut.

– Dzięki.

– Kto to był? – jęknęła ze swojego łóżka Isabel. Usiadła, a zazwyczaj idealne sprężynki jej czarnych loków przylegały teraz płasko do jej głowy.

Moje włosy znacznie trudniej było opanować.

– Mój tata. Śpij dalej. Muszę się zbierać.

– Co takiego? Dlaczego? A naleśniki?

– Następnym razem. Stwór Dwa ma mecz piłki nożnej, o którym zapomniałam.

– On zawsze ma mecz piłki nożnej.

– W tym roku jeszcze na żadnym nie byłam. Obiecałam mu, że będę.

Isabel znów klapnęła na poduszkę z już zamkniętymi oczami.  
– Okej. Widzimy się w poniedziałek.

## Rozdział 5

W poniedziałek wystarczyły cztery minuty, żebym to dostrzegła. Wypakowałam książkę, ołówki i pojedynczą kartkę. Pan Ortega zaczął swój wykład. Moje spojrzenie powędrowało ku frazie z piosenki, którą w piątek zapisałam na blacie. I wtedy zobaczyłam pod moim następnym wers, zapisany nowymi dla mnie, drukowanymi literami.

„Nim noc już wkrótce przywoła cienie”.

To był następny wers tej piosenki. *Jak to?* Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jeszcze ktoś z tej szkoły słuchał mojej ulubionej muzyki alternatywnej? Widocznie nie ja jedna nudziłam się na tych lekcjach.

Uśmiechnęłam się, a potem szybko napisałam pod tym wersem:

„Blackout rządzi. Jak dorosnę, chcę być Lyssą Primm. Jestem pod wrażeniem, że ich znasz”.

Zastanawiałam się, jak często sprzątaczkę wycierają te blaty. Ta wiadomość prawdopodobnie nawet nie zdąży dotrzeć do adresata. Nie miało to jednak znaczenia; uszczęśliwiła mnie sama świadomość, że ktoś jeszcze w tej szkole ma tak wyborny gust muzyczny. Ciekawiło mnie, czy znam tego kogoś. Liceum Morris High nie było małą szkołą. Ale z pracowni chemicznej korzystali tylko trzecioklasiści – co wykluczało osobę, o której w pierwszej kolejności pomyślałam – czyli Lucasa. On wyglądał na takiego, co mógł gustować w niszowych kapelach, podobnie jak ja. Ale był z klasy starszej. To jednak i tak należało uznać tylko za pobożne życzenia, bo prawdopodobieństwo, że napisał to ktoś mi znany, wydawało się małe.

*Pan Ortega.* A jeśli to on pozostawił tę wiadomość? Pan Ortega fanem Blackout? Rozśmieszyła mnie ta myśl. Na całego. Szybko spojrzałam przed siebie. Ale nauczyciel był właśnie w środku jakiegoś wywodu i na szczęście chyba nie zauważył mojego wybuchu śmiechu.

Inaczej niż siedząca obok mnie Lauren, wnioskuje po wyrazie jej twarzy. Znałam tę minę. Zasadniczo była to niema wersja pytania: czemu z ciebie taka dziwaczka? Pomyślałam, czy nie powiedzieć jej, że wyobraziłam sobie pana Ortęgę w tańcu, uznałam jednak, że nic by to nie dało. Poza tym zdążyłam już poznać na własnej skórze, czym się

kończy mówienie rzeczy niepasujących do okoliczności, więc tylko wzruszyłam ramionami.

Potem znów zerknęłam na zapiski na blacie.

Reszta lekcji upłynęła mi chyba odrobinę szybciej niż normalnie.

\* \* \*

Na korytarzu złapałam Isabel.

– Coś ty taka uśmiechnięta? – zapytała.

– Ja się zawsze uśmiecham.

Pośmiała się z tego, zaraz jednak umilkła.

– Okej, rzeczywiście dużo się uśmiechasz, zwykle jednak nie w szkole.

– To dlatego, że liceum tłamsi duszę.

– Nie ma co dramatyzować – stwierdziła.

– W sumie tak. – Ale miała rację. Było mi teraz lekko i widziałam tylko jeden powód takiego stanu. – Kojarzysz tę kapelę, o której ci opowiadałam? Blackout?

Zatrzymałyśmy się przy jej szafce i wyjęła z plecaka kilka książek, żeby je do niej upchnąć.

– Nie. Co takiego śpiewają?

Cicho zanuciłam kilka wersów jednej z piosenek, a gdy nic jej nie zaświtało, przerzuciłam się na inną.

– Nic? – Już kilka razy jej to puszczałam. Zaskoczyło mnie, że nic nie pamięta.

– Sorki, ale lubisz dziwną muzykę – podsumowała Isabel, zamykając z uśmiechem szafkę.

– Pewnie chciałaś powiedzieć, że niesamowita, ale niech ci będzie.

– I co z nimi?

– Ktoś jeszcze ich kojarzy.

– To chyba dobrze dla tej kapeli, że nie jesteś jej jedyną fanką.

Uśmiechnęłam się.

– Nie. Mam na myśli kogoś stąd, ze szkoły. Napisałiśmy sobie na stoliku kilka linijek jednego z tekstów. To było super.

– Bazgrałaś po stoliku? Chcesz narobić sobie kłopotów?

Westchnęłam. Nie doceniła znaczenia tego odkrycia.

Z przeciwległego końca korytarza dobiegł nas głośny śmiech. Odwróciłam się i zobaczyłam Cade'a oraz jego ekipę. Sasha, jedyna dziewczyna w tej grupie, wisiała na jego ramieniu. Wyglądało na to, że chodzą ze sobą. Ale nie, żeby miało to długo potrwać. Ostatnimi czasy Cade zmieniał dziewczyny chyba co tydzień. Patrzył teraz na telefon, a Sasha coś mu mówiła z ożywieniem. To znów przywołało u mnie wspomnienia z jego urodzin.

Po tym, jak Isabel wyrwała mnie wówczas z oszołomienia, w które wprowadził mnie przedpokój Cade'a, poszłam za nią do kuchni, co najmniej trzy razy większej od naszej. Wyspa kuchenna zastawiona była srebrnymi podgrzewaczami do potraw, a ludzie w białych fartuchach zdejmowali z nich pokrywy. Kto zamawia catering na czternaste urodziny? W oddali Cade opierał się o blat i przewijał coś na ekranie swojego telefonu, jakby impreza na jego cześć mało go obchodziła. Z łatwością ignorował też uczeploną jego ramienia Isabel. Po chwili coś mu szepnęła, a on wepchnął komórkę do kieszeni, chyba zły, że mu przerwała. Ten wyraz twarzy szybko zniknął, chwilę później wrócił do swojego sztucznego uśmiechu i powiedział:

– Jedzcie, póki ciepłe.

Ruchem głowy wskazałam podgrzewacze i zauważyłam:

– Większość ludzi podaje pizzę i tort.

Popatrzył na mnie arogancko jak to on i stwierdził:

– Większość ludzi w niczym mnie nie przypomina.

Powiedziałam mu wtedy coś do słuchu. Coś w stylu: „I całe szczęście”.

– Mogłabyś przestać się nim przejmować? Być dla niego miłą?  
– poprosiła mnie Isabel.

Tamtego dnia nie byłam w stanie się nim nie przejmować, nie po tym, jak ją potraktował. Dziś postanowiłam dowieść Isabel, że mnie na to stać. Gdy szłyśmy w jego stronę, ku jednemu wyjściu z tego budynku, nie zamierzałam reagować na żadne jego obelgi. On jednak posłał Isabel olśniewający i przepojony pewnością siebie Cade'owy uśmiech, nie zwracając na mnie w ogóle uwagi. Odpowiedziała mu tym samym. Uświadomiłam sobie, że złość mnie bierze, postarałam się więc zachować kamienną twarz i wolałam się nie odzywać. Przyszło mi to



trudniej, niż sobie wyobrażałam.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Isabel, gdy wyszliśmy już na zewnątrz.

– Co? Zachowałam się przecież tak, jak zawsze.

Zaśmiała się.

– A zauważyłaś, że on też umiał się zachować? Widzisz, co się dzieje, kiedy jesteś miła?

– Tak... – *Chwila... Co takiego?* Czyżby sugerowała, że to ja zawsze wszczynam utarczki z Cade'em? Przeważnie to on zaczynał. Westchnęłam. Reaguję jak mój siedmioletni brat. Może miała rację. Gdybym była starsza, przynajmniej dałby mi spokój. Spodobała mi się ta myśl – Cade daje mi spokój. Wzajemnie dajemy sobie spokój. Szkoła byłaby o wiele przyjemniejsza.

## Rozdział 6

Moja siostra Ashley czekała na mnie w strefie objętej zakazem parkowania, więc czym prędzej wsiadłam do jej wozu.

– Hej.

– Cześć – odpowiedziała. – Jak było w szkole?

– Jak zwykle. – Zastanawiałam się, czy nie wspomnieć o pisaninie na stoliku, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Skoro Isabel nie doceniła jej znaczenia, nie było siły, by zrobiła to Ashley.

Odczekała, aż przejdzie przed nami grupka dziewczyn, a potem ruszyła.

– Kiedy ja chodziłam do liceum...

– W zeszłym roku – wtrąciłam.

– Owszem. Musiałam wracać autobusem albo mama przyjeżdżała po mnie minivanem.

– W zeszłym tygodniu mama przyjechała po mnie minivanem.

– Cóż, dla mnie to była codzienność. Codzienność, Lily. A mimo to udawało mi się mieć mnóstwo przyjaciół. Masz szczęście, że kupiłam samochód. Miły samochód, którego nie trzeba się wstydzić. – Często wygłaszała tę przemowę, odwożąc mnie do domu. Zdążyłam już wyczerpać cały zapas szczerých reakcji.

– Tak, mam wielkie szczęście. Dziękuję ci, Ashley. Jakże ci się odwdzięczę? – Oparłam głowę o szybę w bocznym oknie, zastanawiając się, czy zauważy, jeśli się zdrzemnę.

– Może częściej powinnam pracować w sklepiku na kampusie, żebyś doświadczyła istnej udręki, jaką są codzienne przyjazdy mamy – westchnęła Ashley i spojrzała w lusterko wsteczne. – Kiedyś trąbiła całe dziesięć sekund, bo jej nie widziałam. A innym razem kazała mi zabrać Jonaha do łazienki, a on przez całą drogę wrzeszczał, że zleje się w majty.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Uważasz to za zabawne, bo nie dotyczyło ciebie.

– Uważam to za zabawne, bo ja też miałabym co opowiadać, Ashley. Nie tylko ty w tym samochodzie masz troje rodzeństwa i szaloną

mamę.

– W tym uroczym, prawie nowym samochodzie.

– Owszem, będącym szczytem klasy i wyrafinowania. Jakże pięknym. Jak nazywa się ten kolor? Kobaltowy błękit czy Noce Arabii?

– Zero wdzięczności.

Uśmiechnęłam się, a Ashley włączyła radio. Jeśli chodzi o gust muzyczny, całkiem się różniłyśmy. Gdy zobaczyła, że się wzdrygnęłam, opuściła szybę w oknie i z typowym dla siebie uśmiechem podkręciła głośność.

\* \* \*

– A to co takiego? – zapytała Ashley, gdy weszłyśmy do kuchni i położyła kluczyki na ladzie kuchennej.

Szłam za nią, nie widziałam więc, o co jej chodzi. Gdy się wychyliłam, żeby popatrzeć, koło mojej nogi śmignęło coś białego i futrzastego, a tuż za tym pędzący mój brat Wyatt. Ashley wrzasnęła. Ja rzuciłam plecak i wskoczyłam na ladę, skąd wtulona plecami w szafki czujnie obserwowałam podłogę.

– To królik mięsny – zaśmiała się mama. Podniosła wzrok znad stołu, przy którym siedziała, wsuwając koralik na kawałek drutu wygięty w kształt kolczyka.

– Królik mięsny? – powtórzyła Ashley. – To znaczy, że go zjemy?

– Oczywiście, że nie. Uchroniłam go przed takim losem. Chłopcy muszą się uczyć odpowiedzialności, więc sprawiłam im zwierzaka.

Zsunęłam się z blatu.

– A normalny miły piesek nie wchodził w grę?

Królik znów wkiwał do kuchni, a rozpromieniony Wyatt zgarnął go z podłogi. U boku Wyatta pojawił się Jonah i zaczął głaskać swojego pupila.

– Ale mieszka poza domem, prawda? – zapytałam.

– Tak – potwierdziła mama, wyginając szczypcami kawałek drutu.

– Daliśmy mu trochę pobiegać.

– To prawda. – Podniosłam plecak i wzięłam jabłko z misy na ladzie.

Ashley, stojąc nadal tam, gdzie zatrzymała się po wejściu,

stwierdziła:

– To jakieś okropieństwo. Ma różowe oczy.

– Jest słodki – zaprotestował Wyatt.

Gdy znalazłam się przed moim pokojem, drzwi były na wpół otwarte. Niezbyt dobrze to wróżyło.

Resztę drogi przeszłam na palcach, rozglądając się uważnie. Po stronie Ashley na podłodze leżało kilka par dżinsów, ale reszta wyglądała jak zwykle. Zrzuciłam z nóg czerwone snikersy i wstawiłam je do szafy. Obróciłam się i gdy tylko ugryzłam jabłko, ruszając po gitarę, wlałam w coś z lekka mokrego. Podniosłam nogę i to coś w pierwszej chwili skojarzyło mi się z rodzynkami. Zaraz jednak pojęłam, że to królicze bobki.

– Fuj.

– Co jest? Ktoś ma się zacząć bać? – zapytała mama, gdy wtargnęłam do kuchni z cokolwiek wściekłą miną.

– Królik, jeżeli to będzie zależało ode mnie. Ten potwór zrobił u mnie kupę. Skąd on się wziął w moim pokoju? Możesz łaskawie nie wpuszczać tam chłopców?

– Tak, przepraszam. – Wstała i wyszła, miałam nadzieję, że po to, żeby albo sprzątnąć tę kupkę, albo kazać to zrobić Wyattowi.

Z patio za domem dobiegł mnie jakiś hałas, więc otworzyłam drzwi. I znalazłam tam królika, siedział w czarnej metalowej klatce. To był kawał zwierzaka; nie jakaś puchata kuleczka, a wielki, szkaradny królik. Stał na zadnich łapach i węszył.

– Już czujesz ten zapach – powiedziałam do futrzaka. – To woń twojego wroga. Porządnie się nią zaciągnij. Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Zapewne jednak czuł nie tyle mój zapach, co aromat jabłka, które wciąż trzymałam w dłoni. Ugryzłam kawałek, a resztę wrzuciłam mu do klatki, wysyłając tym samym dość sprzecznym sygnał, biorąc pod uwagę wygłoszoną właśnie przemowę. – A więc się pilnuj.

– Z kim rozmawiasz? – spytała Ashley.

Zamknęłam drzwi i odwróciłam się do niej.

– Z nikim.

– Może powinnaś coś z tym zrobić. – Wyminęła mnie, kierując się do naszego pokoju. Tyle z dzisiejszego grania.



## Rozdział 7

Następnego dnia na chemii czekała na mnie kolejna wiadomość. Pod moim: „Blackout rządzi. Jak dorosnę chcę być Lyssą Primm. Jestem pod wrażeniem, że ich znasz” pojawiły się słowa: „Sorki, bycie nią od dawna mam zaklepane”. Była jeszcze uśmiechnięta krzywo buźka, a dalej: „Znasz Crooked Brooks? Mistrzostwo świata”.

Nigdy dotąd nie słyszałam o Crooked Brooks. Założyłam, że to nazwa kapeli lub tytuł piosenki. Tyle, jeśli chodzi o podobne gusta muzyczne.

Osoba, z którą korespondowałam, pozostawiła mi za to pierwszy trop – miałam do czynienia z dziewczyną. To odkrycie jednak niezbyt ułatwiało zawężenie listy na tyle, by ustalić jej personalia. Jeśli już, to czułam się teraz jeszcze bardziej zdezorientowana.

Kiedy pan Ortega się odwrócił, napisałam: „Nie, muszę się im przyjrzeć”. Moja odpowiedź zajęła ostatni skrawek wolnej przestrzeni po prawej stronie stolika. A tylko po tej stronie mogłam pisać, nie rzucając się w oczy. Wyglądało na to, że z moim urozmaiceniem lekcji chemii trzeba będzie zaczekać do najbliższego sprzątnia.

Zauważyłam w mankiecie koszuli dziurę. Szew puścił. Uroki kupowania używanych ubrań. Wcześniej jej nie zauważyłam. Trzeba będzie ją zszyć. Żeby ukryć tę dziurę, podwinęłam dwukrotnie rękaw, potem to samo zrobiłam z drugim.

Siedząca obok mnie Lauren szepnęła:

– Nie powinnaś tak pisać po stoliku. – Czytała tę wymianę zdań. Miałam ochotę ją zasłonić, żeby nie miała takiej możliwości, ale to byłoby głupie. Każdy przecież mógł tu podejść i to przeczytać.

– To tylko ołówek. Łatwo się ściera. – Żeby tego dowieść, starłam pierwszą literę mojego pierwszego komunikatu. – Zobacz.

Chyba ją to zadowoliło, bo wróciła do robienia notatek. Ja też postarałam się notować, ale gryzło mnie to „R”, które przed chwilą starłam. Dopisałam je, a potem już bardzo uważnie wsłuchiwałam się w to, co pan Ortega miał do powiedzenia.

\* \* \*

Znienawidziłam gazety. Gazety informujące o konkursach. To nie tak – znienawidziłam konkursy. Nie miałam nic. A nawet mniej niż nic. W zeszytcie, w którym całymi dniami zapisywałam teksty piosenek, nie miałam żadnego skończonego kawałka. Owszem, znalazłoby się tu i ówdzie kilka naprawdę niezłych linijek, całą masę słów i pełno pomysłów na piosenki. Pomysłów – szumnie powiedziane. Co w ogóle miałam na myśli, pisząc: „Piosenka o potworach w drzewach byłaby niesamowita?”. O potworach w drzewach? Naprawdę uważałam, że mam w tym zeszytcie coś godnego konkursu na piosenkę?

– Czego tak jęczysz? – zapytała Ashley znad kierownicy, gdy odwoziła mnie do szkoły. Przez całą noc przekopywałam się przez swój zeszyt. Gdy spałam, nie pojawiły się w magiczny sposób żadne nowe teksty.

Podniosłam wzrok. Właśnie zatrzymywała się przed szkolnym parkingiem.

– Staralam się nie jęczeć.

– Zdaje się, że robisz dużo rzeczy, których starasz się nie robić. Może powinnaś przestać się tak starać. Miałabyś więcej przyjaciół.

– Dzięki, Ashley. Dobra rada.

Sięgnęłam do klamki, akurat gdy przed samochodem Ashley przechodziła grupka uczniów. Był wśród nich też Cade. Przejechał tyłkiem po masce, lądując na nogach po jej drugiej stronie, a potem mrugnął do Ashley.

Rozdziawiła zniesmaczona usta.

– Co to za arogancki palant?

– Nikt.

Trzykrotnie uderzyła w klakson.

– Ashley, daj spokój.

Opuściła szybę.

– Hej! – krzyknęła do Cade’a. – To, co właśnie zrobiłeś, to było totalne buractwo.

Wyskoczyłam z auta.

– Do zobaczyska.

Moim krokom wtórowała nieustająca tyrada Ashley. Próbowałam

ukryć uśmiech, ale fajnie było słyszeć, jak ktoś daje Cade'owi popalić. W tej szkole nikogo nie było na to stać. Odwrócił się, jakby rzeczywiście jej słuchał, ale z tym swoim ironicznym uśmieszkiem. Przyspieszyłam kroku, żeby mnie nie widział.

Chwilę później usłyszałam za sobą:

– Jak widzę, to u was rodzinne.

Czyżby gonił za mną tylko po to, żeby coś takiego powiedzieć?

– Nasz stosunek do ciebie? – spytałam, zapominając, że powinnam go ignorować. – Tak, to pewnie sprawa genów.

– Słyszałem, że to się leczy.

Przekrzywiłam głowę.

– Serio? Sprzedajesz pigułki uodparniające na Cade'a? To dzięki nim wytrzymują z tobą twoi kumple?

– Nie. Chodziło mi o twoje podejście, ale...

Uniosłam brwi.

– Tak, wygrałam tę rundę.

– To jaki jest wynik, dwieście do trzech na moją korzyść?

– Prowadzisz punktację?

– Nieustannie. – Mówiąc to, oddalił się ode mnie, żeby dołączyć do grupki kolegów.

*Nie jest tego wart*, powtarzałam sobie w myślach, dopóki nie zniknął mi z oczu. Gdy zaboląły mnie szczęki, uświadomiłam sobie, że zaciskam zęby. Odetchnęłam głęboko i spróbowałam się rozluźnić.

Zza skałek zamachała do mnie Isabel, a gdy do mnie biegła, jej ciemne loki aż podskakiwały. Zanim się ze mną zrównała, całkiem się uwolniłam od napięcia wywołanego spotkaniem z Cade'em. A skoro nadal udawałam, że on nie istnieje, nie zamierzałam jej opowiadać, do czego przed chwilą doszło. I byłam dumna z siebie, że trzymam język za zębami.

– Hej – powiedziała, biorąc mnie pod rękę. Jej plastikowe bransoletki zaklekotały.

– Hej.

– Dziwne, że nie czułam, jak wypalasz mi dziurę w potylicy.

– Co takiego? Kto?

– Bardzo śmieszne. Jakbyś nie wiedziała, na kogo się właśnie



gapiłaś.

Zrobiło mi się gorąco w policzki i poszukałam spojrzeniem Lucasa, który był już prawie przy szafkach po drugiej stronie plenerowej stołówki.

Zamierzałam zmienić temat, pytając Isabel, czy skończyła pracę z historii. Tuż przed nami jednak z głośnym piskiem spotkały się cztery drugoklasistki. Wymieniły się trzymanymi kubkami kawy ze Starbucksa. Zdumiało mnie to, ale Isabel szepnęła:

– Każdego ranka kupują sobie coś do picia, a potem się wymieniają.

– Po co?

– A czemu nie? Dla beki. – Obeszłyśmy je. – Nam też przyda się poranny rytuał.

Wskazałam te dziewczyny.

– Taki poranny rytuał?

– Nie konkretnie taki, ale coś, co będziemy robić lub mówić rano, żeby odpowiednio zacząć dzień.

– Hmm...

– Uścisk dłoni?

Uniosłam brwi.

– Od trzech lat całkiem niezłe sprawdza się: „Hej”.

– Ale one są takie cudne – stwierdziła Isabel, ruchem głowy wskazując rozchichotane dziewczuszki.

– A my według ciebie nie jesteśmy wystarczająco cudne?

– Nie. Nie jesteśmy – odpowiedziała z uśmiechem.

– Zeszłej nocy, tuż przed zaśnięciem, akurat sobie pomyślałam: *Chciałabym, żebyśmy z Isabel miały jakiś poranny rytuał.* Uczyniłby naszą przyjaźń o wiele cudniejszą.

– A ja zeszłej nocy, tuż przed zaśnięciem, zastanawiałam się, jakie to szczęście dla takiej zołzy jak ty, że jej najlepszą przyjaciółką jest ktoś taki jak ja.

– Ogromne szczęście.

Isabel otworzyła szeroko oczy.

– To jest to! To będzie nasza tradycja.

– Mówienie co rano, jaka ty jesteś niesamowita i jakie to dla mnie

szczęście?

Potrząsnęła głową.

– Nie... Choć to też może być. Ale co ty na to, że pierwszą rzeczą, jaką będziemy sobie co rano mówiły, będzie ostatnia rzecz, o jakiej pomyślałyśmy tuż przed snem?

– To nie wypali. Co rano będziesz mówiła: „Gabriel”. Będziesz powtarzała to tak często, że wkrótce zacznę się zastanawiać, czy to nie ja mam na imię Gabriel.

– To nieprawda. – Wydęła dolną wargę. – Dobra, może nie potrzebujemy żadnej tradycji. A skoro mowa o Gabrielu, chciałby gdzieś wyskoczyć z nami w ten weekend. Wybierzesz się, co?

Poprawiłam paski plecaka.

– Myślałam, że już odpuściłyśmy sobie ustawiane randki.

– To nie będzie ustawiana randka. Pójdziemy całą grupą. Kilkoro jego znajomych i my.

Nieufnie zmarszczyłam czoło.

– Co będziemy robić?

– Idziemy na gokarty.

Halowy tor kartingowy nie był tanią rozrywką. Próbowałam policzyć, ile pieniędzy udało mi się odłożyć w schowanym w szafie słoiku. Po kupieniu gitary mama bliźniaków zatrudniła dla nich nianię w pełnym wymiarze godzin, a ja utraciłam źródło regularnych dochodów. Sporadycznie pracowałam dla mojej mamy na targach rękodzieła, ale to też było jakiś czas temu. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy aby nie wydałam reszty swoich pieniędzy, kiedy ostatnio wybrałyśmy się do kina z Gabrielem i jego znajomymi.

– Okej, pewnie. Pogadam o tym z mamą. Zapowiada się coś fajnego.

– Zapowiada się coś niesamowitego. – Zadzwoił dzwonek.

– Widzimy się na obiedzie. O ile nie wyzioniesz ducha na chemii.

– Co dzień mi to grozi.

– Wierzę w ciebie.

Była już o dziesięć kroków ode mnie, kiedy zawołałam:

– Iz!

Odwróciła się.

- Tak?
- Żadnych cudnych tradycji nie potrzebujemy. Nas nic nie rozdzieli.

## Rozdział 8

Tym razem nie groziła mi śmierć z nudów. Zanosiło się na to, że umrę z powodu szoku.

W sali chemicznej pod moim ostatnim zapiskiem z poprzedniego dnia pojawiła się narysowana strzałka. Skierowana była w dół, ku skrajowi stolika. Jakby coś miało pod nim być. Wytrzeszczyłam oczy. Chodziło o coś pod stolikiem? Spojrzałam na podłogę, ale widziałam tam jedynie swoje czerwone snikersy do kostki.

*A jeśli...*

Nie spuszczać oczu z pana Ortegi, przejechałam dłonią po spodniej części blatu i poczułam obrzydzenie, gdy natrafiłam na przeszkodę, w której rozpoznałam kawał przeżutej gumy. Fuj.

Ale i tak postarałam się, żeby ołówek stoczył mi się ze stolika. Przysunęłam go sobie snikersem, a potem schyliłam się, by go podnieść. Nachylona zapuściłam żurawia pod stolik. I rzeczywiście, pod pasek metalu biegnący między nogami stolika ktoś wetknął złożony w czworo kawałek papieru. Szybko podniosłam ołówek i ten papier, po czym znów usiadłam prosto, a krew odpłynęła mi z twarzy.

Najspokojniej jak mogłam, rozłożyłam i rozprostowałam tę karteczkę. To, co na niej widniało, wydawało się najnormalniejszą rzeczą na świecie, jakbyśmy korespondowali od niepamiętnych czasów:

*A więc słuchałaś już Crooked Brookes? Co o nich sądzisz? Możliwe, że jak dla ciebie są zbyt mroczni. To dość depresyjna kapela. Wydawało mi się jednak, że skoro lubisz Blackout, oni też ci się spodobają. Ja przy takiej depresyjnej muzyce czuję czasem, że moje życie wcale nie jest takie złe. To psychologia odwrócona czy jakoś tak. Ha. Dobra, mam nadzieję, że ten list choć na minutę oderwał cię od lekcji. Kilka następnych zajmie ci odpisanie. A potem pozostanie ci tylko... przesiadzić tu wiecznie. Współczuję.*

Zaśmiałam się pod nosem. A zatem adresatka moich listów lubi Blackout i nie znosi chemii. Znalazłam bratnią duszę. Odwróciłam

kartkę, zastanawiając się, co napisać. Uświadomiłam sobie, że będzie to już trzecia wiadomość, jaką jej wysyłam.

Całkiem nieświadomie zainicjowałam więc cudny rytuał łączący mnie z kompletnie nieznaną osobą. Jakbym kogoś trochę oszukiwała. Nie, to nie było oszustwo. Już przecież powiedziałam o tym Isabel. I to tutaj nie było nawet prawdziwą przyjaźnią. Tylko odskocznią. Zresztą Isabel miała jeszcze inne koleżanki. Ja też mogłam mieć anonimową partnerkę do korespondencji. Anonimowe przyjaciółki wydawały się dla mnie idealnym rozwiązaniem.

*Jeszcze nie miałam okazji posłuchać Crooked Brookes. Życie u mnie w domu przebiega cokolwiek... chaotycznie. Posłucham, jak tylko nadarzy się okazja. Kręci mnie muzyka, dzięki której moje życie wydaje się lepsze. I masz rację, Blackout bywa depresyjny, ale oni nie tylko dołują. Choćby ósmy utwór z ich albumu Blue. Przy tej piosence jestem ożywiona jak nigdy. Czuję, że lecę. Szybuję nad moim życiem i patrzę na nie z góry. Dzięki takiemu unoszeniu się łatwiej mi się żyje, gdy wracam w sam środek tego wszystkiego, o ile rozumiesz, o co mi chodzi. Nieważne, chyba czas znów pogрузić się w otepiającej nudzie.*

Przez chwilę nie mogłam jeszcze uwierzyć, że napisałam coś takiego do kompletnie nieznannej mi osoby. Zastanawiałam się nawet, czy nie zrezygnować z ponownego złożenia tej kartki i umieszczenia jej pod stolikiem. Przekonały mnie do tego jednak dwie rzeczy. Po pierwsze, gdy rozmowa schodziła na muzykę, zawsze odkrywałam, że otwieram się bardziej niż zwykle. Ludzie ceniący muzykę tak jak ja wydawali się to rozumieć. Czułam, że dotyczy to też adresatki mojego listu. Po drugie, anonimowość dawała swobodę. Wiele byłam w stanie przekazać, wiedząc, że nie muszę się pod tym podpisywać. A tu nie musiałam.

Wsunęłam list w to samo miejsce pod stolikiem i zabrałam się do robienia notatek z chemii, bo wciąż jeszcze musiałam je pokazywać po lekcji panu Ortedze.

Chyba jednak miałam małe poczucie winy z powodu tej korespondencji, bo podczas przerwy obiadowej wyrwało mi się:

– Napisała do mnie.

Isabel, choć znana z nagłego zmieniania tematów rozmowy, nie nadążyła teraz za mną.

– Słucham?

Wracałyśmy spod foodtrucków, dźwigając nasze burritos i napoje gazowane. Isabel uwielbiała te, jak je nazywała, „meksykańskie podróby”, chociaż jej tata gotował najlepsze prawdziwie meksykańskie żarełko na tym świecie. Może tak się objawiał jej młodzieńczy bunt.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że na chemii pisujemy do siebie z pewną dziewczyną – zaczęłam, gdy skierowałyśmy się w stronę plenerowej stołówki dla uczniów – która lubi tę samą kapelę co ja?

– Tak – potwierdziła Isabel. – Ale wydawało mi się, że to był chłopak.

– Nie. Napisała coś o tym, że jak dorośnie, chce być Lyssą Primm.

– Kto to jest Lyssa Primm?

– Wokalistka Blackout.

– O, jak cudnie, znalazłaś sobie nową, równie dziwną partnerkę do korespondencji. Wy dwie jesteście jota w jotę takie same. – Szturchnęła mnie biodrem.

– Ja razy dwa? Nasza szkoła tego nie zniesie.

– Święta prawda.

– Tym razem zostawiła mi pod stolikiem długi list, a ja jej odpisałam.

Isabel gwizdnęła.

– Domyślasz się, kto to jest?

– Pojęcia nie mam.

– Nie jesteś ciekawa? Może już znasz tego kogoś. To najwyraźniej ktoś, z kim dobrze byś się dogadała. – Rozejrzała się po stołówce.

Uczniowie siedzieli grupkami, każdy rocznik osobno, jedząc, zanosząc się śmiechem i przerzucając się zbitymi w kule serwetkami.

Wypatrzyłam Lucasa, siedział w gronie kolegów. Postarałam się jednak na niego nie gapić. Zwłaszcza że ostatnio Isabel przyłapała mnie na czymś takim. – Trzeba by się rozejrzeć.

– Nie. – Wiedziałam, że głupio tak się obawiać, co myślą o mnie inni, ale nic na to nie mogłam poradzić. Bałam się, że kiedy ta

dziewczyna dowie się, o kogo chodzi, uzna, że nie jestem dla niej dostatecznie spoko. Poza tym doszłam już do wniosku, że anonimowość bardzo ułatwia pisanie. A poza tym ta wymiana korespondencji oznaczała, że na chemii nie zwariuję. – To tylko fajna odskocznia. Naprawdę nie chcę się dowiedzieć.

Isabel wzruszyła ramionami.

– Okej. Jak uważasz. Gdyby mnie się to przytrafiło, nie odpuściłabym z czystej ciekawości.

A ja byłam ciekawa, czy teraz rzeczywiście sobie odpuści, choć przecież nie jej to dotyczyło.

Posłałam jej moje najbardziej wyraziste spojrzenie typu „nie będziemy się w to zagłębiać” i zamknęłam sprawę.

– Dzisiaj żadnego obiadu z okazji miesięcznicy? – zapytałam.

Uśmiechnęła się.

– Nie, bo dziś mamy za sobą dwa miesiące i pięć dni. Rozumiesz, prawda?

Usadowiłyśmy się na naszym miejscu pod drzewem. Wybrałam je nie dlatego, że świetnie widziałam stąd Lucasa – był to tylko szczęśliwy przypadek. Ponownie przeskanowałam wzrokiem naszą stołówkę. Możliwe, że ten list napisał ktoś, kogo znałam. Tylko kto?

## Rozdział 9

Zawzięcie skrobałam w zeszytcie, a w słuchawkach grzmiało Crooked Brookes. Już nie mogłam doczekać się chwili, gdy następnego dnia napiszę mojej przyjaciółce z chemii, jak niesamowita jest ta muzyka. Utwór był surowy, bezkompromisowy i strasznie dołujący. Ale jakimś cudem działał na mnie inspirująco. W głowie i na końcu długopisu rodziła mi się piosenka o tajemnicach.

*Gdy wyznam swe sekrety, czy w zamian mnie omamisz?*

Gdy powiem, że ci wierzę, co będzie między nami?

Jak miałabym ci ufać, gdy prawie się nie znamy,

Lecz z tego nie wynika, że...

Z zamyślenia wyrwało mnie stukanie w plecy. Obejrzałam się i zobaczyłam tuż obok łóżka mojego braciszka Jonaha.

Wyłączyłam muzykę.

– Hej, Stworze Dwa, o co biega?

– Poczytasz mi? – Już wyciągał książkę.

– Umiesz czytać.

– Lubię, jak ty mi czytasz.

Zeszyt błagał, żebym kontynuowała; nalegał na to, czekając na poduszce.

– Jasne, koleś – powiedziałam. – Włóż tutaj. – Zamknęłam zeszyt, a uśmiechnięty Jonah wgramolił się na łóżko.

Wręczył mi pierwszego *Harry'ego Pottera*.

– Ale z głosami.

– Masz wymagania.

Po dwudziestu minutach czytania skupienie Jonaha przestawiło się na inne tory. Stuknął palcem w przypięty przeze mnie do ściany, starannie wycięty z gazety komunikat o konkursie.

– A co to?

– Coś, co mi się śni po nocach... Jak to u mnie.

– Sny są fajne – stwierdził Jonah. – W nocy śniły mi się dinozaury.



A co śniło się tobie?

Zerknęłam na zeszyt leżący odłogiem na łóżku, potem znów na braciszka.

– Śnił mi się mały książę imieniem Jonah, który miał troje starszego rodzeństwa, obdarowującego go wszystkim, co chciał, i dlatego był najbardziej rozpuszczonym księciem w całej krainie.

Jonah wydał wargi.

– Wcale taki nie jestem.

– Nie mówiłam o tobie. Mówiłam o księciu Jonahu z mojego snu.

Wydaje ci się, że wszyscy w kółko mówią o tobie?

– Tak.

Połaskotałam go.

– Dobranoc, książę.

– Myślałem, że jestem Stwór Dwa.

– Tylko kiedy rozrabiasz. – Łagodnie zsunęłam go nogami z łóżka.

– A skoro mowa o rozrabianiu, jak tam wasz królik?

– Mama nie pozwala mu spać w moim łóżku.

– Mama czasem podejmuje słuszne decyzje. Nazwaliście go już jakoś?

– Królik Lew.

– A nie Królik Król?

Skrzywił się.

– Nazwaliśmy go Królik Lew.

– Serio? I jak to zapamiętacie?

– Łatwo. Bo to jest królik i ma na imię Lew.

– Czy na tym świecie nikt już nie posługuje się aliteracją?

– Co?

– Nic.

– Zabierzesz nas w piątek na cukierki i psikusy?

– Racja, w piątek jest Halloween.

Jonah oparł piąstki na biodrach.

– Zapomniałaś?

– Nie, tylko jestem już za stara na cukierki i psikusy... i Halloween już nie jest dla mnie takie ważne.

– Ja nigdy nie będę za stary na cukierki i psikusy.

Potarłosłam mu czuprynę.

– Oczywiście, że was zabiorę... W zamian za jakiś cukierek.

Jonah wydał radosny okrzyk i wybiegł z mojego pokoju.

– Ma być pyszny! – zawołałam jeszcze.

Otworzyłam zeszyt, chcąc wrócić do tekstu piosenki, który pisałam, ale było już na to za późno. Natchnienie prysło. Gdybym próbowała pisać dalej, wyszłoby coś o królikach, dinozaurach i halloweenowych cukierkach. To prawie tak, jak o potworach w drzewach. Będę musiała odłożyć pisanie na później.

\* \* \*

– Potwory w drzewach – poinformowałam Isabel następnego ranka, jak tylko zobaczyłam ją przy szafkach.

– Co takiego?

– Właśnie o czymś takim myślałam wczoraj wieczorem, kładąc się do łóżka. Robimy to czy nie?

Klasnęła w dłonie, potem zagryzła wargę, zamyślona.

Roześmiałam się.

– Gabriel, zgadza się?

– Óśśś. Potem było coś jeszcze. Próbuję sobie przypomnieć. Aha! Naleśniki z nutellą.

– No to teraz zrobiłam się głodna.

– A ja całkiem zgłupiałam – oznajmiła Isabel, zamykając szafkę. – Potwory w drzewach?

– Kijowy pomysł na piosenkę. Ale zaczęłam pisać taką na serio, piosenkę, którą ci przeczytam, jak ją skończę.

– Byłoby miło.

– Zapowiada się nam fajny rytuał.

Też się roześmiała.

– Owszem. Już czuję, że nasza przyjaźń staje się cudniejsza.

\* \* \*

Możliwe, że ten mój i Isabel poranny rytuał zainicjowałam z poczucia winy, byłam bowiem bardzo podniecona perspektywą przeczytania listu. Listu wyjętego spod stolika w sali chemicznej, który

leżał teraz rozprostowany na blacie.

*Ósmy utwór z albumu Blue Blackout? Tego jeszcze nie znam. Mam tylko ich pierwszą płytę. Ale choć to pozostaje w sprzeczności z moim podejściem do życia, odwołującym się do psychologii odwróconej, jeśli według Ciebie to dobry kawałek, przymierzę się do niego. Jeszcze jakieś kapele, które wypadaloby dodać do mojej playlisty „dla wyautowanych ze świata”? Może uda mi się z nich skorzystać, żeby uporządkować sobie życie. Zabrzmiało żałośnie? Zwykle tak nie marudzę. Poza domem uchodzę za całkiem wesołego gościa.*

„Gościa”? Aż zamrugałam. Moja koleżanka od listów to facet? Spojrzenie pobiegło ku zapiskom na stoliku – do tej linijki, która zasugerowała, że mam do czynienia z dziewczyną. Wciąż jeszcze tu była. Zaklepał sobie prawo do bycia Lyssą, kiedy dorośnie. Czyli to miał być żart? Gość lubił żartować.

A więc to facet. Facet lubiący tę samą muzykę co ja, nudzący się na chemii i z poczuciem humoru. Bratnia dusza. Pozwoliłam sobie na mały uśmiech, ale zaraz pokręciłam głową. Gość się nudził, a listy do mnie pisał dla zabicia czasu. Nie próbował się ze mną umówić ani nic w ten deseń.

Uświadomiłam sobie, że zamurowało mnie przed końcem listu. Doczytałam resztę.

*O czym więc powinniśmy pogawędzić, żeby to nie było zbyt dołujące? Jestem otwarty na sugestie. Może na któryś z poniższych tematów: śmierć, rak, globalne ocieplenie (czy teraz mówi się raczej o zmianach klimatycznych?), okrucieństwo wobec zwierząt...*

Odwróciłam kartkę, ale to był już koniec. Zapisaliśmy naszą korespondencją obie strony. To oznaczało, że będę mogła zatrzymać sobie tę kartkę. Ładnie ją złożyłam i wetknęłam do torby.

Przyglądałam się nowej, czystej kartce, którą przed sobą położyłam, a potem napisałam:

*A gdybyśmy tak omówili fakt, że jesteś facetem? Pobierzmy się,*

*a będziemy mieli słodkie niszowe dziateczki.*

Przygryzłam sobie policzek, żeby nie wybuchnąć śmiechem i wrzuciłam tę kartkę do stojącego przy moich nogach plecaka. Nie zamierzałam nawet podkreślać odkrycia, że mam do czynienia z chłopakiem. Wolałam udawać, że wiedziałam o tym od początku. Bo to i tak niczego nie zmieniało.

*Pośród chaosu, który nazywam domem, miałam wreszcie szansę posłuchać Crooked Brookes. Genialne. Czwarty utwór. Wysłuchałam go chyba z pięć razy z rzędu. Przedtem nie byłam pewna, czy mogę zawierzyć twoim gustom muzycznym, ale się sprawdziły. Posłucham wszystkiego, co zasugerujesz. U dołu tej strony umieszczę listę moich ulubionych kawałków. Grasz na czymś? Ja jestem samoukiem, któremu jeszcze niezbyt dobrze idzie, ale już uważa się za gitarzystkę. Okej, przekonałeś mnie, możemy razem założyć kapelę. O ile też nie grasz na gitarze. Sorki, ale nie zamierzam się z tobą kłócić o solówki.*

Trzykrotnie przeczytałam to, co napisałam. Pasowało to do mnie, ale nie byłam pewna, czy powinno. Bilans kontaktów z chłopakami nie wyglądał w moim przypadku najlepiej. Chociaż to, co na papierze, będzie mógł przeczytać bez zajknięcia, tonem świadczącym o pewności siebie, nie tak niezdarnie, jak bym to powiedziała.

Zresztą nie miało to znaczenia. Czemu tak nagle przejęłam się tym, co on o mnie pomyśli? Pożałowałam swojego odkrycia, że to facet. Bez tego skrawka informacji było fajniej. Przez cały miniony tydzień nie mogłam się doczekać kolejnych lekcji chemii. Coś takiego nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło. Ale i tak nadal będę czekać na te lekcje. Wciąż sprzyjała temu anonimowość.

## Rozdział 10

Otworzyłam kolejną szufladę szafy i walnęłam na łóżko kilka bluzek.

*Gdzie ona jest?* – zastanawiałam się zrozpaczona.

To ja byłam w naszym pokoju tą porządnicką. Nie wpakowałabym ulubionej bluzki gdzie nie trzeba. Zwłaszcza że oszczędzałam ją specjalnie na takie wieczory jak dzisiejszy, gdy wyskoczę z Isabel, jej chłopakiem i paczką jego nieznanymi mi kumpli.

Wyciągnęłam z garderoby kosz na brudną bieliznę, wysypałam wszystko na podłogę, a potem zaczęłam przekopywać się przez stos ciuchów. Kiedy zostałam z niczym, aż zawarczałam. I właśnie wtedy zauważyłam po drugiej stronie garderoby kosz na brudne ciuchy siostry. Zaatakowałam go i po przrzuceniu kilku szmatek znalazłam swoją ukochaną zieloną bluzkę. Podniosłam ją. Była wymięta i miała wielką ciemną plamę na prawym boku.

– Ashley! – Ze złości szczypały mnie oczy. Wypadłam z pokoju, zabierając ze sobą tę bluzkę i swój gniew.

Ashley siedziała na kanapie, z miseczką lodów. Na mój widok szeroko otworzyła oczy.

– Co?

– To! – Pokazałam jej bluzkę.

– Zamierzałam ją wyprać.

– Czemu w ogóle ją nosiłaś? Nawet nie zapytałaś. Zresztą pewnie i tak jest na ciebie za mała. – Ashley była znacznie wyższa ode mnie.

Skrzywiła się.

– Nie zapytałam, bo cię nie było.

– Ashley. Mówię poważnie.

– Dobra. Wyluzuj. Następnym razem zapytam.

Weszła mama.

– Co się dzieje, dziewczynki?

– Nic takiego. – Już szłam do siebie. W tej sytuacji już nic nie mogłam zrobić z bluzką. Do spotkania z Isabel została godzina. Będę musiała znaleźć coś innego do ubrania.

– Dokąd idziesz? – spytała mama.

Widocznie zauważyła moje włosy, którym udało mi się dzisiaj nadać względną gładkość.

– Zakończyć szykowanie się – wyjaśniłam.

– Szykowanie się na co?

I właśnie wtedy wbiegł, podskakując, Jonah w niebiesko-czerwonym stroju dinozaura.

– Chodźmy, chodźmy, chodźmy! – wrzasnął głośniejszym głosem, niż było trzeba.

Mama położyła mu dłoń na ramieniu, więc przestał podskakiwać. Patrzyła na mnie, czekając na wyjaśnienie.

– Umówiłam się z Isabel – powiedziałam.

– Nic o tym nie wspominałaś – odparła mama.

Spanikowana odtwarzałam w pamięci ten tydzień, bo dałabym głowę, że rozmawiałam o tym z mamą. Nic takiego jednak nie znalazłam.

– Mówiłaś, że zabierzesz nas na psikusy i cukierki – jęknął Jonah.

– Ashley może was zabrać – powiedziałam.

Siostra potrząsnęła głową.

– Odpada. Mam dziś imprezę halloweenową.

– Mama nie może was zabrać? – zapytałam Jonaha zdesperowana, wiedziałam bowiem, co w niego wstępuje, gdy się na coś uprze.

Mama popatrzyła na mnie zawiedziona, ale obiecała Jonahowi:

– Dobrze, ja was zabiorę.

Łeb dinozaura pochylił się do przodu, gdy nadąsany malec wbił wzrok w podłogę. Widok był przejmujący. Ściskając poplamioną bluzkę, wiedziałam, że ani ona, ani ja nigdzie się dziś nie wypuścimy.

Westchnęłam. A co tam. To i tak miał być wypad całą paczką, na który wydałabym ostatnie dwie dychy. Równie dobrze mogłam zachować te pieniądze na coś, co naprawdę mi się zamarzy.

– Ja was zabiorę, Jonah.

Braciszek się ucieszył.

– Dziękuję ci, Lily – odparła mama i szybko mnie uściskała.

– Jutrzejszy wieczór masz dla siebie.

– Brzmi nieźle.

Podreptałam do swojego pokoju i zadzwoniłam do Isabel. Odebrała po drugim dzwonku.

– Lepiej nie odwołuj.

– Przepraszam. Obiecałam Jonahowi, że pójdę z nim na cukierki i psikusy.

– Co znaczy, że robisz za opiekunkę? Planowałyśmy to od tygodnia. Czemu Ashley nie może z nim iść?

– Idzie na imprezę. – Zniosłam bluzkę do łazienki, żeby potraktować plamę starą szczoteczką do zębów i mydłem.

– Lily – jęknęła Isabel. – Obiecałaś.

Przeżywała to bardziej niż ja.

– Wiem, wiem, ale niestety moim życiem rządzi rodzina.

– Nie mówiłaś jej wcześniej, że chcesz wyjść?

– Wydawało mi się, że tak, ale chyba jednak nie.

Westchnęła.

– Trudno. Później o tym porozmawiamy. – Rozłączyła się, nie czekając, aż się pożegnamy. Niefajnie mi z tym było, ale przecież miała Gabriela. Da sobie radę beze mnie.

Przyjrzałam się w lustrze moim włosom. Układały się dziś miękko, były proste. Zwykle taki efekt udawało mi się osiągnąć przy użyciu suszarki i odrobiny pianki, wkładając w to niemało wysiłku.

– Jak to jest, że kiedy rzeczywiście udaje mi się gdzieś wyskoczyć, nigdy nie wyglądacie tak dobrze? – mruknęłam.

– Nie gadaj do siebie – zanuciła Ashley, przechodząc obok łazienki.

– Rozmawiałam przez telefon – zawołałam. Potem związałam włosy w koński ogon i poszłam po bluzę z kapturem.

## Rozdział 11

Kiedy Isabel mówiła, że porozmawia ze mną później, nie przypuszczałam, że zamierzała to zrobić jeszcze tego samego wieczoru na moim ganku, w obstawie dwóch chłopaków.

Po wyprawie z braćmi w poszukiwaniu psikusów i cukierków zdążyłam się już przebrać we flanelowe portki od piżamy i koszulkę. Siedziałam na kanapie, z michą słodczy na kolanach na wypadek, gdyby zawitali do nas jacyś miłośnicy Halloween.

Ale gdy po usłyszeniu dzwonka otworzyłam drzwi, nie zobaczyłam poprzebieranych dzieciaków.

Ściskając w rękach michę ze słodczymi, wpatrywałam się w Isabel i poruszałam ustami jak ryba, bo nie wychodziły z nich żadne słowa.

– Hej – powiedziała, ignorując moją minę. Poprawiła swoją opaskę z kocimi uszami. – Cukierek albo psikus. Możemy wejść?

– Ja...

Wyłowiła z miski rolkę cukierków w czekoladzie i przepchnęła się obok mnie, jedną ręką ciągnąc za sobą Gabriela, a drugą kolesia, którego grzywka i tyczkowata postura wydawały mi się jakby znajome.

– Jasne, wchodźcie – powiedziałam bez przekonania, stawiając michę z cukierkami na stoliku w przedpokoju.

Na jego skraju, tam, gdzie kończyły się płytki, wszyscy zabrali się do zdejmowania butów.

– Och, nie musicie ich ściągać. Nasz dywan i tak jest do czyszczenia. – Zamknęłam drzwi. I tak je zdjęli.

– Okej. Dajcie mi tylko... hm... wskoczyć w jakieś džinsy.

Słyszając dzwonek, moi bracia wypadli pędem z pokoju telewizyjnego, trzymając miskę popcornu, który im zrobiłam. Sypiąc się przez jej krawędź, zostawiał za chłopcami biały szlak.

– Wracajcie oglądać film, Stwory. Zaraz przyjdę. – Pognałam do łazienki, tam przeczesalam palcami moje szalone teraz kudły, w nadziei, że je przyglądę, i nadałam im trochę połysku. Potem już w moim pokoju wciągnęłam na siebie džinsy i pierwszą przyzwoitą koszulkę,



jaka wpadła mi w ręce – bladomusztardową w ptaszki.

Kiedy wróciłam do pokoju, Isabel i chłopaki siedzieli na kanapie obok kilku stosów poskładanych ciuchów, a braciom widocznie jakoś udało się wypuścić królika z klatki, bo ganiał po podłodze. Hasał tu i ówdzie, obwąchując popcornowy szlak.

– Kiedy dorobiliście się królika? – spytała Isabel.

Ja też miałabym ją o co zapytać. Choćby o to, co tutaj robi. Czemu mnie nie uprzedziła?

– Hmm... Chyba w zeszłym tygodniu. – Pozbierałam ciuchy i walnęłam je do stojącego na podłodze kosza na pranie.

– Trochę upiornie wygląda – stwierdził Gabriel.

– Cześć, jestem Lily – zwróciłam się do nieznanego, póki jeszcze nie było za późno, żeby się sobie przedstawić.

– A ja David – odpowiedział. – W zeszłym roku mieliśmy razem matkę.

Ponownie mu się przyjrzałam, uważniej, biorąc pod uwagę nowy kontekst. Oczywiście, że go znałam. W drugiej klasie rzeczywiście chodziliśmy razem na matematykę. Wcześniej to do mnie nie dotarło, bo wzięłam go za znajomego Gabriela.

– Też chodzisz do Morris High. – Zabrzmiało to jak oskarżenie. I tak było. Kierowałam je jednak do Isabel, nie do Davida. Spojrzałam na nią znacząco. Tylko się skrzywiła i wzruszyła ramionami. A więc to jednak miała być ustawiana randka. Ustawiła mnie z chłopakiem ze szkoły. Nic dziwnego, że się wkurzyła, gdy się wykręciłam.

– No i? – spytał David, marszcząc czoło.

– Sorki. Wydawało mi się, że jesteś znajomym Gabriela.

Królik ominął rozsypane pudło lego i przeskoczył przez stopę Isabel. Narobiła wrzasku i podniosła nogi na kanapę, by dopiero potem wyjaśnić:

– Jest znajomym Gabriela. I tak się składa, że chodzi do naszej szkoły.

Zrobiłam porządek z lego, pakując je znów do pudełka. Królik przytruchtał do Davida i obwąchiwał nogawkę jego dzinsów.

– Stwory, wsadźcie królika do jego domku, zanim zdąży rzucić zły urok.

– On wcale nie jest zły – odparł Wyatt.

– Widzisz, ciebie już zahipnotyzował. My wolelibyśmy raczej pozostać przy zdrowych zmysłach. – Uświadomiłam sobie, że to było głupie. Należało siedzieć cicho. Ale kiedy się denerwuję, mam skłonność do wygadywania najdziwniejszych rzeczy. Właściwie cechuje mnie to zawsze, ale kiedy jestem zdenerwowana, to się nasila.

Jonah chwycił królika pod brzuch, zwierzak chwilę wierzgał, zaraz się jednak uspokoił i chłopcy wyszli z nim z pokoju.

– Twoja mama kupiła im królika? – upewniła się Isabel, odprowadzając malców wzrokiem.

– Owszem, wiesz, jaka jest. Pewnie zobaczyła, jak ktoś sprzedaje go na poboczu, i się zmartwiła, że może trafić do gara... czy na grill, a może na rożen... Jak właściwie przyrządza się króliki?

Nikt się nie odezwał.

– Gdzie jest twoja mama? – Isabel w końcu przerwała milczenie.

– Kiedy powiedziałam, że zostaję w domu, postanowili z tatą odwiedzić znajomych. Jakaś impreza halloweenowa czy coś w tym stylu. – Przejechałam ręką po swoich kudłach i klapnęłam na kanapę obok Isabel.

– Poprzebierali się?

– Dziwne, ale nie. Chyba że przebrali się za dziwnych rodziców.

Znów rozległ się dzwonek i poszłam otworzyć, tym razem po to, żeby wrzucić garść cukierków do toreb podekscytowanych małych ninja. Kiedy znów usiadłam obok Isabel, zapytałam:

– To... macie jakieś plany? Czy po prostu wpadliście się przywitać?

Isabel odwróciła się do mnie z błyskiem w głębi ciemnych oczu.

– Postanowiliśmy się z tobą przywitać i poznać cię z Davidem. Gra w szkolnej orkiestrze.

Po uśmiechu dumnej z siebie Isabel poznałam, że właśnie to miało przyciągnąć mnie i jego do siebie.

– O, super. A na czym grasz?

David odgarnął z czoła brązową grzywkę. W porównaniu z tym, jaki był chudy, buźkę miał jak niemowlak – okrągłe policzki i szeroki nos.

– Na klarncie.

– Jak Król Swingu?

– Słucham?

– Wiesz, Benny Goodman. Czyż nie był żywym dowodem na to, że klarnciści też potrafią coś osiągnąć? – wymknęło mi się, zanim pojęłam, jak wrednie musiało to zabrzmieć. – Przepraszam. Paskudnie to zabrzmiało. Klarinet można świetnie wykorzystać na wiele sposobów. W orkiestrach dętych, symfonicznych. – To natomiast wypadło protekcjonalnie.

– Lily gra na gitarze – oznajmiła Isabel.

– Próbuje. – Nie było za późno na przyjmowanie odwiedzin?

– Macie ochotę się czegoś napić?

– Jasne – potwierdził Gabriel.

– Isabel, pomóż mi w kuchni.

Wyszła za mną, a gdy już miałam pewność, że chłopaki nas nie usłyszą, zapytałam szeptem:

– Czemu mi to robisz?

Isabel westchnęła.

– Pomyślałam, że jeśli nie będziesz wiedziała, że idziesz dziś na randkę, nie zdążysz się zestresować. Że nie będziesz ćwiczyć w myślach, co powiesz, ani przewidywać efektu.

– Uważasz, że moja niezdarność wynikała z wcześniej powziętych założeń?

– W sumie to tak.

Roześmiałam się.

– No to już znasz prawdę.

Też się śmiała.

– Chyba tak. Ale daj spokój. Czy David nie jest uroczy? I to nie żaden goguś. Pasujecie do siebie.

Przewróciłam oczami.

– Dasz mu szansę?

Zdjęłam z kredensu jakieś szklanki i wrzuciłam do nich lód z zamrażalnika.

– Czemu nie?

– Przepraszam, że cię nie uprzedziłam. Serio myślałam, że tak

będzie lepiej.

Wiedziałam, że intencje miała bez zarzutu.

– Nic się nie stało. Zanieś te dwa napoje. Ja zajrzę do braci. Za chwilę przyjdę.

Otworzyłam drzwi do pokoju telewizyjnego. Wyatt i Jonah siedzieli na kanapie, a między nimi królik.

– Hej, kazałam wam zamknąć królika! – zawołałam. – Jeszcze się zsika i mama nie będzie zachwycona.

– On ogląda ten program. To jego ulubiony. Niech najpierw skończy – powiedział Wyatt.

Uśmiechnęłam się.

– Obaj jesteście dziwni. – I to w nich uwielbiałam. – Jak tylko się skończy. I ani sekundy później.

– Okej – odpowiedzieli chórem.

Wróciłam do kuchni i dwie pozostałe szklanki napełniłam wodą. *Słuchaj, moje ja, jesteś w stanie prowadzić normalną rozmowę z ludźmi, nie robiąc z siebie głupka.* Właśnie tak. To była naprawdę krzepiąca gadka.

Isabel zniosła już z mojego pokoju do salonu gitarę i udawała, że na niej brzdąka.

– Och, Lily, chodź tutaj. I usiądź! – powiedziała. – Właśnie mówiłam chłopakom, że coś im zagrasz.

Zamarłam w drzwiach, ze szklankami w dłoniach. Nie tylko dlatego, że chciałam dopaść do niej, odebrać jej moje małeństwo i na powrót ukryć bezpiecznie w futerale... Pozwalałam Isabel dotykać mojej gitary. Ufałam jej... Ale nie miałam ochoty grać. W ogóle. Już sama rozmowa z kimś nowym była dla mnie ciężka, a co dopiero granie. Grać na gitarze nauczyłam się, żeby pisać takie piosenki, które grywaliby inni. Nie kręciły mnie występy.

Isabel spotkała się ze mną wzrokiem i widziałam, że od razu odczytała, o czym myślę.

– Nieważne. Ja pogram – powiedziała szybko.

– Nie daj się prosić. Isabel chwali się tobą od miesiąca, Lily – odezwał się Gabriel. – Posłuchajmy.

– Ja... – Szklanki wyślizgiwały mi się z rąk. Odstawiłam je na

stolik i wytarłam dłonie w dzinsy.

– Nie musisz – powiedział David, a ja podziękowałam mu uśmiechem.

Isabel wstała.

– Odniosę ją.

– Ja się tym zajmę. – Wyciągnęłam rękę i odebrałam jej gitarę.

Gdy już zabezpieczyłam instrument w futerale i upchnęłam go pod swoim łóżkiem, wróciłam do nich.

Isabel siedziała teraz na podłodze, wyraźnie zakłopotana.

Odebrałam ten sygnał i siadłam obok niej.

– Sorki – powiedziała pod nosem.

– Jest okej.

Isabel zanurzyła dłonie w stojącym obok niej pudle lego.

– Urządzimy sobie zawody w budowaniu statków.

– Dobra – ucieszył się Gabriel. – Jestem królem lego.

– Sam sobie nadałeś ten tytuł czy ktoś cię koronował? – zapytałam.

Isabel wybuchnęła śmiechem.

Gabriel chyba się obraził.

– Oczywiście, że ktoś mnie koronował. – Przesiadł się do nas na podłogę i wziął sobie garść lego. – Mój ojciec.

Miałam już powiedzieć, że ojcowie nie oceniają obiektywnie, gdy do pokoju wtargnął Wyatt, niosąc coś wysoko w górze. Za nim wszedł zapłakany Jonah, z podbródka ściekała mu krew.

*O nie.*

– Wyrwałem go! – ogłosił Wyatt. Trzeba mi było minuty, żeby się zorientować, że trzyma w ręce ząb, a po kolejnej pojęłam, że to ząb Jonaha.

Jonah walnął go w plecy.

– Ja chciałem go wyrwać.

Poderwałam się i objęłam Jonaha ramieniem.

– Hola, wampirze. Po picciu trzeba umyć buzię.

Roześmiał się przez łzy, ale nie rozśmieszyło to nikogo więcej.

Wyglądali na przerażonych.

– Ruszał mu się ząb – wyjaśniłam szybko. – Wyatt, następnym razem nie pomagaj mi z zębami.

– Tchórzył. Mama powiedziała, że jak go nie wyrwie, udławi się nim we śnie.

I wtedy do pokoju wpadł królik. Poleciał prosto do Davida i zaczął robić siusiu na jego osłoniętą skarpetą stopę. Nie wiem, czy była to kwestia refleksu czy wstrętu, ale David poderwał nogę i kopniakiem posłał królika metr lub półtora w głąb pokoju.

Jonaha zatkąło.

– Skrzywdziłeś go, draniu! – rozplakał się. Przy tym okrzyku z ust wypłynęło mu więcej krwi, ściekając po brodzie.

Może powinnam przeprosić za brata, ale nie mogłam nie przyznać mu racji. Kto kopie króliki?

– Wyatt, zaopiekuj się królikiem – poleciłam, a potem zaprowadziłam Jonaha do łazienki na końcu korytarza, żeby pomóc mu umyć buzię.

– Czy Królikowi Lwu nic nie będzie? – załkał Jonah.

– Będzie dobrze. Ma gęste futro. Ono go chroni.

– Lily, obiecałaś, że obejrzysz z nami film, a bawisz się ze swoimi kolegami.

– Masz rację, mały. Zaraz ich odeślę.

Nawet nie musiałam. Jak tylko skończyłam pomagać Jonahowi i wróciłam do salonu, stali już przy otwartych drzwiach. Isabel obdarowywała cukierkami jakichś miłośników Halloween, ale Gabriel i David wkładali buty. Gdy Isabel zamknęła już drzwi, zaczęła raz po raz przesuwać bransoletkę wokół przegubu.

– Będzie lepiej, jak pójdziemy.

David unikał mojego wzroku i chyba marzył o tym, żeby wydostać się stąd jak najszybciej. Prawy but wciąż trzymał w ręce i na palcach kierował się do drzwi.

– Daj mi znać, kiedy odezwą się twoje królicze supermoce – powiedziałam.

Usiłował się roześmiać, ale bardziej przypominało to nerwowy kaszel. „Sorki” – powiedziała bezgłośnie Isabel. Wzruszyłam ramionami. Nie miałam do niej pretensji. Moja rodzina była bardzo ekspansywna, a w domu przebywała tylko jej połowa. Poza tym nie było się czym przejmować. Byłam przekonana, że David nie miał pojęcia,

kim jest Benny Goodman, a to moim zdaniem niewybaczalny grzech dla klarncisty.

David to tylko ktoś, kogo Isabel zabrała, żeby czegoś dowieść. I potwierdził jedynie, że tego dowieść nie sposób.

## Rozdział 12

Ktoś widział moje szczypce z niebieskimi rączkami? – zawołała mama w głąb domu. Kiedy pod jednym dachem mieszka sześć osób, to nierzadko jest najszybsza forma komunikacji, niekoniecznie skuteczna, za to błyskawiczna. – Ktokolwiek?

– Nie! – odpowiedział Wyatt.

Mama zajrzała do mnie do pokoju. Siedziałam w piżamie na łóżku, wciąż medytując, czy mam chęć wstać, czy nie.

– Ja ich nie widziałam – poinformowałam ją, ziewając.

– Chcesz dziś ze mną pojechać?

Mniej więcej raz w miesiącu mama wybierała się na rozmaite kiermasze rękodzieła lub pchle targi, żeby sprzedawać swoje wyroby.

– Jak daleko? – zapytałam.

– Ten jest u nas w mieście. Jarmark jesienny. Dostaniesz dwadzieścia procent.

Taki był jej sposób na pozyskanie naszej pomocy – dwadzieścia procent udziału w zyskach. Układ wydawał się całkiem dobry, chyba że zarobiła jedynie pięć dych, jak to się niekiedy zdarzało. Wtedy nasz zarobek za całodniową pracę wynosił dziesięć dolarów. Czasem jednak zarabiała trzy stowy i wracałam z sześćdziesięcioma dolarami w kieszeni. Było w tym coś z hazardu. Takiego jednak, do jakiego chętnie się brałam, bo jeździłam z nią nie tylko dla pieniędzy.

Jeździłam, żeby oglądać ludzi. To mnie inspirowało, a właśnie potrzebowałam inspiracji. Od napisania tamtego wieczoru kilku świetnych linijek przy muzyce Crooked Brooks nic porządnego nie przychodziło mi do głowy. Przypięty do ściany koło mojego łóżka wycinek z gazety kłuł mnie w oczy. Przypominał, że zostały mi niespełna dwa miesiące na napisanie całej piosenki – muzyki, słów, wszystkiego. A miałam dotąd zaledwie kilka linijek tekstu.

– Pewnie, pojedę – powiedziałam, wreszcie wstając.

Mama kiwnęła głową.

– Wyjeżdżamy za pół godziny.

\* \* \*



Wózek z popcornem na słodko stał bliżej naszego stoiska niż normalnie i unosząca się w powietrzu słodka woń prawie wynagrodziła mi to, co odkryłam zaraz po przyjeździe na jarmark jesienny. Przy stoisku tuż obok naszego siedział Cade Jennings. Jego ojciec był właścicielem bardzo dobrze prosperującej firmy ubezpieczeniowej i tutaj, pośród wszystkich tych budek z rękodziełem, oferowali tego dnia wyceny.

Skrzywiłam się. Nie było tu odrębnego sektora dla takich usług?

Mama wypakowywała na stół swoje tacki, a ja szukałam pretekstu, żeby urwać się ze stoiska.

– Może kupię nam coś do picia? – zapytałam.

– Wzięłam kilka butelek z wodą. – Wskazała torbę pod stolikiem.

– Coś do przegryzienia?

– Już zgłodniałaś?

Była dziewiąta rano, a przed wyjściem zjadłyśmy śniadanie.

Pytanie było więc wymowne.

– Nie, raczej nie.

– Pod spodem jest jeszcze pudełko pierścionków. Czemu ich nie wykładasz?

– Okej. – Odgarnęłam serwetę i wysunęłam pudełka. – Jak to jest, że nie sprzedajemy dzisiaj żadnych wyrobów taty? – Miałam na myśli jego meble; meble taty były naprawdę fajne, fajniejsze nawet od naszyjników, które robił, próbując dowieść, że są lepsze niż te mamy.

– Pracuje nad zleceniem na jakieś szafki kuchenne dla pewnego domu w Scottsdale.

– O, to świetnie. – Zlecenia zapewniały pewniejszy zarobek i lepsze pieniądze.

Zerknęłam w lewo. Cade jeszcze mnie nie zauważył. Tak przynajmniej zakładałam, sądząc po braku chamskich komentarzy. Układał na plastikowym stojaku jakieś ulotki. Jeszcze nie widziałam go tak ubranego. Miał na sobie zwykłe materiałowe spodnie, koszulę, a nawet krawat. W swojej domowej roboty spódniczce w kwiaty i dzinsowej kamizelce poczułam się bardziej łachmaniarsko niż zazwyczaj. Mimo to nie próbowałam ukryć przynajmniej części mojej

garderoby, siadając, chociaż mnie korciło, aby się jakoś zasłonić. Nie obchodziło mnie przecież, co myśli o mnie Cade.

Do jego stoiska podszedł całkiem niepodobny do niego mężczyzna. Miał w rękach dwa przykryte kubki. Jeden z nich wręczył Cade'owi.

Możliwe, że Cade wdał się w matkę. Albo że ten człowiek był współnikiem w interesach jego ojca. Mruknął coś do Cade'a, a ten walnął na stolik ulotki, które właśnie pieczołowicie ułożył, i wypełnił plastikowy stojak innymi.

Mama zaczęła rozprawiać na temat spodziewanych dzisiaj tłumów z naszą sąsiadką po prawej. Cade spotkał się ze mną wzrokiem, jakby cały czas wiedział, że na niego patrzę, i jego usta z wolna rozciągnęły się w uśmiechu.

– Czy już notujesz? – zapytał. – Tak właśnie wygląda sukces. – Prześlizgnął się spojrzeniem po wyłożonej na moim stoliku biżuterii, na dłużej zatrzymując się na tacce z tymi wszystkimi pierzastymi naszyjnikami. Uniósł brwi. – Same notatki chyba ci nie wystarczą.

Udałam, że coś zapisuję w papierowym bloczku.

– Krok pierwszy: ubieraj się jak czterdziestolatek. Krok drugi: traktuj ludzi wrednie. Trzeci: zachowuj się tak, jakbyś był pępkiem świata. Coś przeoczyłam?

Cade skrzywił się ironicznie.

– Właściwie to całkiem dużo przegapiłaś. Nie udawaj, że wiesz wszystko; nie pisz, idąc, i co jakiś czas pomyśl o innych.

– Co takiego? Ja powinnam myśleć o innych? Co to niby miało znaczyć?

– Bez żadnych podtekstów.

Zmrużyłam oczy; miałam już powiedzieć coś, czego najprawdopodobniej nie powinnam mówić, ale mama położyła mi dłoń na ramieniu.

– Chodźcie z tym chłopcem do jednej szkoły? – zapytała, wskazując głową Cade'a. – Ale numer. – Potem, ku memu przerażeniu, zawołała: – Cześć. Miło mi cię poznać.

Cade błysnął tym swoim uśmiechem, który mamie mógł wydać się szczery, choć w rzeczywistości był wyłącznie drwiący.

– Witam sąsiadkę – zagadnął, a mama roześmiała się, jakby to był

przedni dowcip.

– Co za słodziak – podsumowała mama pod nosem. – Znacie się z moją córką? – To powiedziała głośniej, tak żeby usłyszał.

Wzdrygnęłam się.

Cade popatrzył mi w oczy, a w jego spojrzeniu błysnęły wesołe iskierki.

– Znamy się. Chodzimy razem do szkoły.

– To świetnie. Jeśli dzisiaj niewiele się będzie działo, chociaż wy dwoje nie będziecie się nudzić.

– Z Lily wszystko jest interesujące – stwierdził Cade.

– Też tak uważam – odparła mama, jakby właśnie mnie nie obraził.

Dzień zapowiadał się okropnie.

\* \* \*

Okazał się jednak nie tak straszny, jak przewidywałam. Na szczęście Cade zajmował się swoimi sprawami, a ja moimi. A teraz nie było go nawet na stoisku. Opuścił je przed godziną i jeszcze nie wrócił. Możliwe, że Isabel miała rację. Że to ja wywoływałam spięcia częściej, niż przypuszczałam.

Przy naszym straganie zatrzymała się kobieta z portmonetką i kolorowymi pasemkami we włosach, sprawdzając ceny na metkach, a potem licząc drobne. Ilekroć stwierdziła, że jej brakuje, przechodziła do następnego wyrobu. Taka sytuacja prosiła się o piosenkę. *Mam centa na szczęście i dziesięć na marzeń spełnienie, razem jedenaście, a nic tu nie ma w tej cenie.* Rozśmieszył mnie w duchu ten mój nieporadny tekst.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytała mama.

– Nic takiego.

– Gotowa na przerwę obiadową?

– Pewnie.

Wręczyła mi dyszkę.

– Dla mnie jedno z tych wielkich wegetariańskich burritos.

– Okej, zaraz wracam.

Przecisnęłam się przez tłum, kierując się do foodtrucków na końcu ulicy. Stałam już jakiś czas w kolejce, gdy zauważyłam Cade'a; siedział przy długim plastikowym stole na prawo ode mnie, z jednym ze swoich

kolegów ze szkoły, Mikiem. Byli o rzut beretem ode mnie i choć nie starałam się podsłuchiwać, wyraźnie słyszałam ich głosy.

– Myślisz, że trener oczekuje, że będziemy nie tylko na zawodach, ale i na każdym treningu? – spytał Mike.

– Pewnie – odparł Cade z westchnieniem. – Ty przynajmniej nie siedzisz rano tutaj, a po południu tam.

– To prawda. Ile jeszcze dni zostało ci do przepracowania? – zaciekał się Mike.

– Tyle, ile firma sobie zażyczy – odpowiedział Cade.

– To wcale nie tak źle. Dobra okazja do poznania nowych dziewczyn. Nie to, co sekcja bejsbola.

– Tak uważasz? A zwróciłeś uwagę na przeciętny wiek kupujących? Nie moja półka.

– Zauważyłem na stoisku obok twojego tę laskę ze szkoły... Wiesz którą... Jak jej tam... Lily. To mogłoby być interesujące. Trochę dziwna, ale niezła.

Stężałam.

– Lily Abbott? – upewnił się Cade. – Uważasz, że Lily Abbott jest niezła?

– A ty nie?

– Nie.

– To może ja z nią pogadam?

– Uwierz mi: unikaj jej za wszelką cenę. Nie jest warta twojego czasu. To...

Zanim się dowiedziałam, jak Cade zamierzał skończyć to urocze stwierdzenie, osoba stojąca w kolejce za mną warknęła:

– Będziesz zamawiać czy tylko się gapisz?

– Och, już zamawiam. – Sfrustrowana podeszłam do okienka, zerkając jeszcze na Cade'a, żeby upewnić się, czy mnie nie widział. Patrząc na mnie, uniósł brew, a potem pociągnął łyk napoju. Czym prędzej złożyłam zamówienie i czekałam po drugiej stronie okienka, możliwie jak najdalej od Cade'a.

To prawda. Tamten Mike uznał, że jestem „trochę dziwna, ale niezła”? Czegoś takiego się nie spodziewałam. Nie przypuszczałam, że chłopcy zwracają na mnie uwagę. Za to odpowiedź Cade'a wcale mnie

nie zaskoczyła.

Może mogłabym zrozumieć, czemu Cade mnie nienawidzi. Naprawdę mogłabym. W jego odczuciu to ja rozbiłam jego związek z Isabel. I gdyby tylko o tego rodzaju nienawiść chodziło, może bym się z tym pogodziła. Tyle że jego stosunek do mnie nie był niczym nowym. To nie zaczęło się po Isabel, lecz jeszcze wtedy, gdy on i Isabel zaczęli ze sobą chodzić. Jego niechęć do mnie wyprzedzała moją do niego. To on sprawił, że go nie znośliam. I za nic w świecie nie mogłam pojąć dlaczego.

## Rozdział 13

Chemia była kiedyś lekcją, przez którą ciężko mi było przebrnąć. Teraz nie mogłam się jej doczekać. Poniedziałkowy ranek ciągnął się bez końca. Matma była wyłącznie torturą. Kompozycja, mój ulubiony przedmiot, dłużyła mi się, a na angielskim pani Logan zdecydowała, że przez całą lekcję będziemy czytać na głos *Romea i Julię*, i to z angielskim akcentem. Bawiło to troszkę jedynie nielicznych uczniów z kółka teatralnego. Cała reszta robiła to na odczepnego. Od przeczytania dzisiejszego listu dzieliły mnie już tylko dwie lekcje.

Na czwartej lekcji robiłam za pomoc biurową – co stanowiło przedmiot pożądania i przysługiwało zazwyczaj uczniom ostatniej klasy. Generalnie była to forma zajęć świetlicowych; nie pozwalała odrobić lekcji i nie była najbardziej prestiżowa, ale gwarantowała jednak godzinę wolnego. A pomaganie pani Clark w sekretariacie nie było takie złe.

Właśnie do sekretariatu szłam przez zatłoczone korytarze, gdy zobaczyłam przed sobą Lucasa. Przerastał otaczające go osoby o dobre kilka centymetrów. Odwrócił się na końcu korytarza. Ja też się odwróciłam. Nadeszła chwila, bym coś... cokolwiek... do niego powiedziała. Ledwie się na to zdecydowałam, serce podjechało mi do gardła.

*Będzie dobrze, powiedziałam sobie. Po prostu powiedz mu „cześć”, tak żeby wiedział o twoim istnieniu.*

To nie powinno być trudne. „Cześć” to przecież niewinne słowo.

Lucas pchnął na oścież drzwi po prawej, a ja prawie tam za nim weszłam, ale gdy się zamknęły, zobaczyłam po ich zewnętrznej stronie niebieską sylwetkę faceta. O mało nie wparowałam do męskiej toalety. Najwyraźniej zmieniałam się w stalkerkę.

Zawróciłam i wpadłam na Isabel. Przyjęłam to z ulgą. Potrzebna mi była jej interwencja, a przynajmniej wykład, dlaczego ciche skradanie się za chłopakami to coś upiornego. Tyle tylko, że Isabel nie była sama. Towarzyszył jej chłopak. David. Isabel przywitała mnie entuzjastycznym uśmiechem.

Westchnęłam. Naprawdę będziemy musieli się umówić? Isabel nie

wiedziała, kiedy odpuścić.

– Lily! – zawołała radośnie. – Zobacz, na kogo wpadłam.

– Cześć – powiedziałam.

– Hej – odparł David z rękami w kieszeniach. – Co u ciebie?

– W porządku. Sprząłeś już siki ze skarpetki?

– Wyrzuciłem ją.

– Aha. To też rozwiązanie. – Moim zdaniem była to nieco przesadna reakcja, ale może skarpetka śmierdziała bardziej, niż sobie wyobrażałam.

Spojrzałam na Isabel. Na jej twarzy malował się taki uśmiech, jakby oglądała najcudniejszą scenę w swoim życiu. Isabel nie nadawała się na swatkę. Miałam nadzieję, że serce nie wskaże jej tej drogi kariery.

– Tak przy okazji, nie chciałem go kopnąć – dodał David, wbijając wzrok w podłogę. – Tego królika. Ja tylko... Zaskoczył mnie.

Uśmiechnęłam się.

– Mój braciszek przyjmie to z ulgą. Chociaż i tak powinienes go przez jakiś czas unikać. Mojego brata, znaczy. No i królika chyba zresztą też. – Ale nie sugeruję, że niby David miałby ochotę znów odwiedzić mój zwariowany dom.

– Ona żartuje – wyjaśniła Isabel.

– Tak. To był żart. – Bo wyszło chyba chamsko. Dobrze, że Isabel na tyle znała moje poczucie humoru, iż mogła to wytłumaczyć.

– A więc... co do tamtego zadania z chemii – powiedział David, zwracając się do Isabel, a ja zrozumiałam właśnie, że od tego najprawdopodobniej zaczęła się ich rozmowa i że to w ten sposób go tutaj zwabiła.

– Mogę ci w tym pomóc. W środę po lekcjach zawsze spotykamy się z Lily w bibliotece, żeby uczyć się chemii! – oznajmiła Isabel.

Nigdy w życiu czegoś takiego nie robiłyśmy.

– Może dołączysz do nas w tym tygodniu? – kontynuowała Isabel.

– Okej. Pewnie. – David lekko się do mnie uśmiechnął, a ja złagodniałam. Może po prostu był nieśmiały i czuł się niezręcznie. Mogłabym nie tylko to zrozumieć, ale i nabrać sympatii do tego biedaka. Może nawet udałoby się nam zaprzyjaźnić. Może kilka rozmów odsłoniłoby jego prawdziwą osobowość. – Pan Ortega to dla mnie

horror.

– Dla mnie też – przyznałam. – Macie razem chemię?

– Przeniosłam wzrok z Davida na Isabel.

– Nie – zaprzeczyła Isabel. – Ja mam na czwartej lekcji, a David na drugiej.

– A ja na szóstej – powiedziałam w zasadzie do siebie. Każde z nas chodziło na inne zajęcia z chemii dla trzeciej klasy. Więcej tego typu lekcji nie było. A więc tajemniczy adresat moich listów chodził na tę lekcję z którymś z nich. Musieli wiedzieć, kto siedzi na moim miejscu. Wystarczyłoby więc otworzyć usta, zapytać... i na zawsze popsuć sobie radość z lekcji chemii. Każdego dnia od półtora tygodnia nie mogłam się doczekać chemii. Nie zamierzałam tego pogrzebać w imię zaspokojenia ciekawości. Już przecież powiedziałam Isabel, że nie chcę wiedzieć, z kim koresponduję. I rzeczywiście nie chciałam.

Zadzwonił dzwonek. David, Isabel i ja rozeszliśmy się, każde w swoją stronę. Biegnąc do sekretariatu, uśmiechałam się. Lekcja chemii była o krok bliżej.

\* \* \*

Żeby znaleźć list, nie musiałam już zaglądać pod stół. Ręka sama na niego trafiła. Zdążyłam też nabrać wprawy w cichym rozkładaniu go i chowaniu pod jedyną przysługującą mi kartką. Przypuszczałam, że nawet Lauren nie uświadamia sobie, co robię. Wstrzymałam oddech i przeczytałam.

*Czwarty utwór to też mój ulubiony. A przy okazji, ósmy utwór z albumu Blue jest niezwykły. Miałaś rację, wcale nie depresyjny. (Mówię to nie tylko dlatego, że pewna obłądna gitarzystka z mojej wymyślonej nowej kapeli twierdzi, że to jej ulubiony kawałek).*

*Swoją drogą, nie gram na gitarze, nie będę więc kradł ci solówek. Zabrzmiało to oficjalnie, prawda? Potrzebna nam teraz nazwa kapeli. Coś przesadnie słodkiego, jak Ruczaje i Róże. Za to wszystkie nasze piosenki powinny być gniewne. To stworzy dobry kontrast. Mam dość materiału na coś gniewnego – okropny ojczym, wyobcowana matka*



*i nieobecny ojciec. Solidna podstawa, nie uważasz? I teraz podsuwam pierwszy dobry wers... Rodzice (tu pauza w tekście, na dramatyczną solówkę gitarową w twoim wykonaniu) to (pauza na solo na perkusji) lamusy. Hmm... Może jednak nie nadają się na tekściarza. Z moimi talentami muzycznymi też nie widzę dla siebie miejsca w kapeli. Co mi zostaje? Mogę stać w tle i tańczyć. A jeśli pan Ortega przyłapie mnie na pisaniu tego listu, zdobędę się na wepchnięcie go do ust i połknięcie. Mam nadzieję, że mogę od ciebie oczekiwać takiego samego poświęcenia.*

Uśmiechnęłam się. Biorąc pod uwagę narastające we mnie przez cały weekend i dzisiejszy ranek oczekiwanie na ten list, obawiałam się, że mnie rozczaruje. Nie rozczarował. Był fajny, zabawny, a i trochę smutny. Chciałabym zrobić coś z tym smutkiem, żeby chłopak poczuł się lepiej.

Wzięłam nową kartkę, bo zaczęliśmy wyjawiać sobie coraz bardziej osobiste sprawy. Nie chciałabym, żeby ktoś odkrył tak długą podstolikową korespondencję. Jeśli już miał odkryć, to lepiej, żeby odkrył jak najmniej.

*Nasza zażyłość osiągnęła już etap wzajemnego połykania papieru? Chyba zasuwasz odrobinę za szybko jak dla mnie. I prawda, nad twoim tekstem przydałoby się trochę popracować. O jakich innych związanych z muzyką talentach wspomniałeś? Może uda nam się je uwolnić.*

*I masz rację, to poważny materiał na tekst piosenki. Nadaje się na coś świetnego. Czerpanie zysków ze smętnego życia jest super, nie uważasz? A tak poważnie, współczuję. Nie wiem, czy wiele pomogę, ale nie miej oporów przed wywnętrzaniem się. Umieć słuchać. Tym bardziej w przypadku listów, gdy nie mam innego wyboru.*

*Też ci opowiedzieć o smętnym życiu? Moja najlepsza przyjaciółka przyprowadziła do mnie chłopaka, w pewnym sensie ustawiając nam randkę, a on generalnie wybiegł z krzykiem. Tak zwariowaną mam rodzinę. Twojej rodzinie udało się kiedyś coś takiego? Szczerze wątpię.*

Nie byłam pewna, czy potraktowanie tej sytuacji tak lekko to dobry pomysł, wyglądał mi jednak na kogoś, kto ceni poczucie humoru. A mnie dobrze zrobiło uwolnienie się od przygnębienia wywołanego tym weekendem. Nie mogłam zwierzyć się z tego Isabel, bo wiedziałam, że zaraz by mi powiedziała, że nic się nie stało i nikt nie uważa mojej rodziny za zwariowaną – choć według mnie nie ulegało wątpliwości, że to powszechna opinia.

Złożyłam list i starannie wsunęłam go na miejsce. Teraz pozostało mi czekać dwadzieścia cztery godziny na odpowiedź. Ten tryb był o wiele mniej wdzięczny niż pisanie SMS-ów.

Nie, nieprawda. W całej tej tajemniczości, wyczekiwaniu i obawie przed przyłapaniem kryło się coś, co czyniło to o wiele bardziej ekscytującym od esemesowania.

\* \* \*

Następnego dnia, równie podekscytowana, wyjmowałam spod stolika odpowiedź.

*Nie, nie mógłbym powiedzieć, że moja rodzina kiedykolwiek doprowadziła kogoś do ucieczki z krzykiem. To wymagałoby od nich jakiegoś zaangażowania w moje życie. Moi rodzice rozwiedli się siedem lat temu i tata się wyprowadził. Wyprowadził się, żeby uciec od niej i ode mnie. Gdyby mama nie wspominała kilkakrotnie, dokąd się wyniósł, nawet bym tego nie wiedział. Możliwe, że spotyka się teraz z kimś o cztery lata starszym ode mnie. Wiem o tym, bo z rok temu mama wyrzeszczała mu to do telefonu. Mam wrażenie, że wyszła ponownie za mąż tylko na złość tacie, bo nie ma siły, żeby lubiła palanta, z którym się związała. Nie sposób na nim wyrzucić żadnego wrażenia. Zawsze ma być lepiej, więcej, bardziej doskonale.*

*Pasuje ci takie wywnętrzanie się? Pamiętaj, sama o to prosiłaś. Choć nie wiem, czy kupuję to twoje „umiem słuchać, bo to list”. Praktycznie rzecz biorąc, możesz przecież przeskoczyć na koniec listu*

*i udawać, że go przeczytałaś. Tak właśnie zrobiłaś? Teraz podam ci kilka słów kluczy, żebyś mogła sfingować odpowiedź: pięciostanowa strefa buforowa, człowiek puma, małżeństwo bez miłości. (To wygląda jak tekst piosenki. Patrzcie no, idzie mi coraz lepiej. Mam zadatki na tekściarza). Nazwałbym go po prostu pumą, ale ten termin odnosi się tylko do kobiet, prawda? To seksistowskie. Bo jak nazywać facetów po pięćdziesiątce, spotykających się z kobietami, które praktycznie są jeszcze nastolatkami?*

Powstrzymałam się od uśmiechu, żeby Lauren nic nie zauważyła. Mój korespondencyjny kolega potrafił przedstawiać w zabawny sposób nawet najsmutniejsze rzeczy. Podniosłam wzrok na pana Ortegę. Zanim odpiszę, będę musiała poświęcić mu pięć minut uwagi. Taki był mój patent na zachowanie tajemnicy – słuchanie, pisanie, słuchanie, pisanie...

*Wydaje mi się, że mówi się na nich zboczeńcy. I bardzo mi przykro. Chciałabym być kimś więcej niż tylko dobrą słuchaczką czytającą całe listy, a nie tylko wyróżnione miejsca. Chciałabym służyć ci jakąś niesamowitą radą, że przejścia hartują człowieka, kształtują jego charakter czy coś w tym stylu, ale sama wiem, że to nie pomaga. Jeśli więc szukasz rady, musisz znaleźć sobie inną stolikową wandalkę. Ja mogę tylko rozczulać się nad tobą.*

*Jestem pod wrażeniem, że mimo tego wszystkiego zachowujesz poczucie humoru. Nie pozwoliłeś, by zmieniło cię to w rozgoryczoną i gniewną osobę. A może zmieniło? Czy łażąc, walisz pięścią w szafki i kopiesz drobne zwierzątka? A może piszesz gniewne piosenki (tak naprawdę)? Od tego tematu wszystko się przecież zaczęło, tak? Wykorzystamy niesprawiedliwość, jakiej padłeś ofiarą, by zrobić z niej niesamowite piosenki! Okej, pierwsza z nich może nosić tytuł Porzucony. Spróbuję wykombinować, jak wpakować do niej człowieka pumę.*

Miałam nadzieję, że mu pasuje, że ja też próbuję mówić o jego

smutnych sprawach w zabawny sposób. Bo zanim dodałam to ostatnie zdanie, długą chwilę przyglądałam się tamtemu tytułowi piosenki. *Porzucony*. Przywołałam w nim to, jak jego ojciec go opuszczał, nie oglądając się za siebie, i ten ciężar tak mi dokuczył, że musiałam się temu przeciwstawić.

Złożyłam list i wsunęłam go pod stolik.

## Rozdział 14

Początkowo nie myślałam poważnie o napisaniu piosenki inspirowanej życiem mojego korespondencyjnego kolegi. To miało być jak żarty z Isabel, że napiszę książkę o jej doświadczeniach randkowych. Stało się jednak inaczej. Tymczasem tytuł *Porzucony* wraz z opowieścią tego chłopaka podsunął mi tyle obrazów, że noc zastała mnie piszącą, z zeszytem na kolanach.

Zaczęłam od wypełnienia marginesów notatkami z tego, co opowiedział mi o swoim życiu. Potem pozwoliłam, by stały się one inspiracją dla tekstu piosenki.

*W sztuce czekania osiągnąłem szczyty  
Ciasno obwiązałem swe serce rozbite,  
by być gotowym, że powrócisz tu.*

Drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Ashley, po czym padła na łóżko z głośnym westchnieniem.

– Co się stało? – zapytałam.

– Zbłądziłam się kompletnie i totalnie przed facetem z pracy, w którym się bujam.

– Jak to?

Wyszczrzyła zęby.

– Widzisz coś?

– Nie.

– No właśnie. A wcześniej był tu wielki, ogromniasty okruch żarcia. – Wskazała swoją jedynekę. – I nikt mi nie powiedział. Nikt. Nie, czekaj. Powiedział mi to Mark po pięciu minutach naszej rozmowy.

Roześmiałam się.

– Ty byś mi powiedziała, prawda? Tricia też powinna mi powiedzieć. Tak nakazuje babski kodeks. Ale wydaje mi się, że Mark też się jej podoba. I na tym polega problem.

– Może nie widziała tego żarcia?

– Lil, ten okruch dałoby się zobaczyć z kosmosu. Był gigantyczny.

I to na jedyńce.

– To wredne, że ci z kosmosu nic ci nie powiedzieli.

– Ha, ha.

– Może uznał to za zabawne – zasugerowałam.

Ashley jęknęła.

– Tak właśnie uznał. I dlatego to koszmar. Jeśli marzy ci się romantyczny związek z facetem, najpierw musi uznać cię za tajemniczą, potem za intrygującą, a na końcu za zabawną. W tej właśnie kolejności. Jeśli odwróci się kolejność, na zawsze pozostanie ci etykieta „kumpela”.

Zmarszczyłam czoło.

– Interesująca teoria.

– Sprawdzona i potwierdzona. Do tego zabawną trzeba być rozmyślnie. Nie przestrzegając tego, tylko się wygłupisz.

Ha. Może dlatego nie zdarzył mi się jeszcze żaden romantyczny związek. Bo zawsze musiałam się wygłupić.

Ashley sturlała się z łóżka, przyczołgała bliżej i siadła na podłodze, plecami do mnie.

– Zrób mi warkocz. Chcę mieć jutro falujące włosy. Poza tym poprawi mi to humor.

– Ale jesteś wymagająca. – Czasem widziałam w Ashley swoją młodszą siostrę.

– Proszę. Jutro rozprostuję twoje.

– Przynieś szczotkę.

Poderwała się i wyszła z pokoju.

Spojrzałam na swój zeszyt.

– Nie starcza nam czasu dla siebie, prawda? – zapytałam z westchnieniem. – Zupełnie, jakby ludzie starali się nas rozdzielić.

Wróciła siostra, trzymając szczotkę do włosów między kciukiem i palcem wskazującym, jak wahadło.

– Z kim rozmawiasz?

– Ze sobą.

– Często to robisz.

– Wiem. Jestem jedyną osobą, która mnie rozumie.

Ashley rzuciła we mnie szczotką, o mało nie trafiając w nogę,

potem usadowiła się na podłodze przy moim łóżku. Niechętnie zamknęłam zeszyt.

Moja siostra ma długie i piękne włosy. Są tego samego koloru co moje, ale u mnie układają się one w szalone fale, a jej są idealnie proste.

– Ludzie poświęcają mnóstwo czasu, żeby mieć takie włosy jak twoje – zauważyłam, rozczesując je szczotką.

– A inni tyle samo, żeby wyglądały jak twoje.

– Bo chyba zawsze chce się czegoś innego, niż się ma.

Zabrzmiało, jakbym w tym stwierdzeniu robiła aluzję do jej życia uczuciowego, więc Ashley oznajmiła:

– Chłopaki to dno.

– Amen – przyznałam.

Ashley odchyliła głowę.

– Co takiego? Ty się ze mną zgadzasz? Nadawaj.

– Chcesz poczuć się lepiej, biorąc pod uwagę to rzekomo niezręczne zdarzenie, które w rzeczywistości może przytrafić się każdemu? – upewniłam się.

– Nie każdemu.

– Każdemu prędzej czy później zdarzy się mieć na zębach jedzenie.

Założę się jednak, że nie zdarzyło ci się, żeby twój królik obsikał nogę faceta, z którym miałaś randkę.

Ashley wybuchnęła śmiechem.

– No... właśnie – potwierdziłam.

Ashley nie przestawała się śmiać. Oparła głowę o kolana, sprawiając, że warkocz wymknął mi się z rąk.

– Śmieję się, śmieję – powiedziałam.

– Okej, przepraszam, przepraszam. – Siadła prosto, a ja ponownie rozczesalam jej włosy i zaczęłam zaplatać, ale znów zaniosła się śmiechem.

– Już ci nie robię warkocza – oznajmiłam, prostując się.

– Nie, nie, nie – powiedziała. – Przepraszam.

Zebrałam jej włosy. Nie minęły dwie minuty, a zapytała: „Będiesz go teraz nazywać Zasikaną Stópką?” i znów pękała ze śmiechu.

Zostawiłam w spokoju jej włosy i ją szturchnęłam.

– Okropna jesteś!

Podniosła się i westchnęła radośnie.

– Lil, twoje opowiadki to rewelacja. Masz takie śmieszne życie towarzyskie. Dzięki, że poprawiłaś mi humor. – Po tych słowach wyszła z pokoju.

– To cała ja, dziewczyna, której życie towarzyskie sprawia, że inni zaczynają doceniać swoje – powiedziałam w przestrzeń.

Wyszarpnęłam z gniazdka sznur od prostownicy, wyłączając ją, a potem podniosłam swój zeszyt. Przerzuciłam kartki aż do ostatniej strony i zatytułowałam ją *Podjejrzeni*. Może nie miałam tak smutnego życia towarzyskiego. Miałam za to zabawny i idealnie normalny kontakt korespondencyjny z anonimowym przyjacielem. Okej, może anonimowy przyjaciel nie wyglądał na normalnego, ale mogłam zignorować ten fakt. Może zresztą nadeszła pora, by odkryć, kto to taki.



## Rozdział 15

Proszę pani, a jak pani chodziła na randki, miała pani jakieś swoje reguły?

Zaczynałam się zastanawiać, czy nie jestem jedyną dziewczyną na świecie, która nie ma reguł związanych z randkami, i czy nie na tym po części polega mój problem. Siedziałam przy biurku w sekretariacie, wypełniając swoje powinności asystentki, co tego dnia oznaczało wprowadzanie do komputera ręcznie wypełnionych list obecności z wczoraj.

Pani Clark podniosła głowę znad komputera. Była mniej więcej w wieku mojej mamy: ładna, o długich jasnych włosach i w okularach. Prawie mogłam wyobrazić ją sobie jako nastolatkę.

Prawie.

– Reguły? – powtórzyła pani Clark, marszcząc czoło.

– Wie pani, „być tajemnicza, ale nie za bardzo”, „nie śmiać się z partnera”, tego rodzaju sprawy.

Uśmiechnęła się.

– A ty masz w zwyczaju śmiać się ze swoich partnerów?

– Tylko, kiedy robią coś śmiesznego.

Pani Clark się zamyśliła.

– W czasach, gdy chodziłam na randki, mówiłyśmy sobie z koleżankami: „Przed trzecią randką nie pozwalaj sobie na płacz przy nim”.

– Na płacz? – powtórzyłam jak echo, marszcząc czoło.

– Tak. Chłopaki się płoszą, kiedy płaczesz.

– Tym akurat chyba nie muszę się przejmować.

– Nie płaczesz?

– Nigdy nie dociągnęłam do trzeciej randki.

Znów się uśmiechnęła, jakbym robiła sobie żarty. Bo zażartowałam. W pewnym sensie.

– Reguły to głupota – powiedziała. – Po prostu bądź naturalna.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. – Wprowadziłam do komputera ostatnią listę, potem odłożyłam wydruk. – Gotowe.

– O, świetnie. – Wskazała coś po drugiej stronie pokoju. – Możesz wyjąć z tamtej górnej szuflady klucze i podrzucić tę paczkę do pokoju pani Lungren?

– Pewnie. – Podniosłam się. – A po co mi klucze?

– Na czwartej lekcji pani Lungren zamyka salę. Przygotowuje się do zajęć.

– Gdzie są te klucze?

– Jeszcze nigdy cię nie prosiłam o zanieśnienie czegoś do zamkniętej sali?

– Nie.

Mruknęła, jakby ją to zaskoczyło.

– Cóż, jesteś odpowiedzialna i mogę ci to powierzyć. – Mrugnęła do mnie, podeszła do szafki na tyłach biura, wyjęła z niej jakieś klucze i położyła mi na dłoni.

– Będę superodpowiedzialna – obiecałam z uśmiechem.

Okazałam się taka odpowiedzialna, że po podrzuceniu paczki do klasy pani Lungren zabłądziłam do budynku nauk ścisłych, zmierzając do sali dwieście jeden. Do sali, w której miałam chemię. Powiedziałam sobie, że tylko zajrzę przez okienko, żeby zobaczyć, kto siedzi przy moim stole. Co prawda, na czwartej lekcji chemię miała Isabel i wystarczyłoby ją o to zapytać. Po co więc teraz się tym zajmowałam? Gdyby moja najlepsza przyjaciółka zobaczyła tam kogoś robiącego przez całą lekcję notatki, na pewno by mi o tym wspomniała. Zwracała uwagę na takie rzeczy. Tym bardziej że wiedziała, że z kimś tam koresponduje. Mój znajomy musiał mieć więc chemię na drugiej lekcji.

Ale i tak chciałam spojrzeć.

Gdy zbliżałam się do sali, serce mi waliło. W klasie jednak nie paliło się światło i była zamknięta na klucz. Dlaczego? Trzymane przeze mnie klucze wpijały mi się w dłoń i ogromnie korciło mnie, by z nich skorzystać. Tylko po co? Żeby wcześniej odebrać list? Żeby sprawdzić, czy ten mój już zniknął? Oba powody wydawały się niewarte ryzyka.

Zrobiłam w tył zwrot i ruszyłam biegiem, żeby wrócić, zanim pani Clark uzna, że za długo mnie nie ma, i pozbawi mnie w przyszłości przywilejów związanych z kluczami.

\* \* \*

Kiedy nadeszła pora mojej lekcji chemii i stanęłam pod drzwiami, przekonałam się, że drzwi nadal są zamknięte, a sala wciąż pusta. Zauważyłam powiadomienie przyklejone do drzwi. Czy wisiało tam wcześniej? Musiało.

### DZISIAJ ZAJĘCIA LABORATORYJNE W SALI 301.

Laborki. Całkiem zapomniałam o laborkach. To oznaczało, że dziś nie będzie listu. Oznaczało to też, że nie miał okazji przeczytać mojego listu z wczoraj. Nie pamiętałam dokładnie, co w nim napisałam. Niejasno kojarzyło mi się, że spróbowałam upchnąć tam kilka żartów. Chyba nie pomyśli, że się z niego nabijam? Albo że na siłę staram się być zabawna?

Nie miało to jednak znaczenia. Nie chciałam się umawiać z tym chłopakiem. Zresztą wciąż jeszcze nie wiedziałam, kto to taki. I nie zamierzałam się nad tym głowić. Poza tym reguły to głupota.

– Tu jest napisane: „Dzisiaj zajęcia laboratoryjne w sali trzysta jeden” – powiedział Cade, wymawiając wolno każde słowo.

Odwróciłam się, mając ochotę strzelić go przy tym łokciem, ale trzymałam jednak ręce bezpiecznie przy sobie.

– Wiem, przeczytałam.

– Stoisz tu tak długo, że nie byłem pewien.

– To teraz mnie śledzisz?

Podniósł ręce i odsunął się w bok.

– Staram się ci tylko pomóc. Taki już jestem.

– Powinieneś przeddefiniować sobie pojęcie „pomóc”.

Uśmiechnął się i zaczął odliczać kolejne słowa na palcach prawej ręki.

– Wspierać, ratować, cieszyć urodą. Myślę, że wszystko do mnie pasuje.

– Na pewno cechuje cię jedna z tych rzeczy, która nie mieści się nawet w definicji.

– Cieszę się, że uważasz mnie za przystojniaka, Lily. Zawsze wiedziałem, że tak sądzisz.

Zarumieniłam się tym bardziej, że sama się w to wpakowałam.

Nachylił się.

– A to oznacza dwieście jeden... – wskazał siebie – ...do trzech.  
– Tu wskazał na mnie. – O ile prowadzisz punktację.

Lekko go odepchnęłam i odeszłam.

– Mam co najmniej pięć punktów – wymamrotałam.

Poszłam na laborki i zajęłam miejsce obok mojego partnera laboratoryjnego, Isaiaha. Wiedziałam, że pod długim stołem laboratoryjnym nie znajdę żadnego listu. Mimo to zajrzałam tam. Zobaczyłam jedynie rurki prowadzące do palników Bunsena. Najwyraźniej ja i mój korespondencyjny kolega siedzieliśmy w tej pracowni na całkiem innych miejscach. Nie oznaczało to jednak, że czułam rozczarowanie.

Isaiah podał mi gogle, mówiąc:

– Chyba tym razem to ja powinienem kontrolować płomień.

Poprzednio twój papierowy smok o mało nie uruchomił alarmu przeciwpożarowego.

– Dzięki.

Westchnęłam i zajęłam się pracą.

## Rozdział 16

Po lekcjach pierwsza zjawiłam się w bibliotece. Wybrałam stół z tyłu i położyłam na środku plecak. Już teraz zapowiadało się to lepiej niż poprzednia randka z Davidem, bo wszystko miało się odbyć poza moim domem. Żadnych rozsypanych lego ani stosów prania, ani braciszków z krwią na brodzie, a przede wszystkim zero niepanujących nad pęcherzem królików.

*Okej, powiedziałam sobie, poprawiając się na krześle. Isabel naprawdę usilnie stara się realizować misję, by cię urandkować. Też możesz się postarać.* Nie byłam tylko pewna, na czym miałyby to polegać. Na niegadaniu?

Gdy tak siedziałam, zastanawiając się, jak zachowywać się normalnie, uświadomiłam sobie, że właściwie to patrzę na gościa siedzącego dwa stoły przede mną. Nie na jakiegoś tam gościa, ale na Lucasa. Aż mi dech zaparło.

Całą uwagę poświęcał leżącej przed nim książce, przesuwał palec w dół strony. Miałabym więc okazję powiedzieć mu „cześć” lub zapytać, gdzie tu jest dział z literaturą faktu albo o coś w tym stylu. Dałabym radę.

Akurat gdy przekonałam siebie, że na pewno dam radę, przyszedł David.

– Hej – powiedział, kładąc plecak obok mojego.

– Cześć.

Usiadł i wyciągnął z plecaka książki. Obrzuciłam Lucasa jeszcze jednym bezcelowym spojrzeniem, a potem też usiadłam. Rozpięłam plecak i wyjęłam z niego podręcznik oraz zeszyt. Zasada niegadania na razie się sprawdzała – wszystko wyglądało mniej strasznie.

– Ta cisza jest trochę straszna, nie uważasz? – zapytał.

Ooo, chyba się nie sprawdziła.

– Nie. Mnie cisza pasuje. W końcu jesteśmy w bibliotece. To kolebka ciszy.

– Biblioteka to kolebka ciszy? – spytał David.

– Bo wszystkie słowa zostały już zużyte przez książki. – Tak

właśnie myślałam, kiedy byłam mała: że ludziom każe się być cicho, żeby książki nie mogły kraść im słów. Wyobrażałam sobie, że książki nie mogą istnieć bez słów. W istocie tak właśnie jest. Ale ja wymyśliłam sobie, że chodzi o słowa wypowiedane. Cóż... zawsze byłam dziwna.

– A ja myślałam, że w bibliotekach panuje cisza, bo ludzie próbują się uczyć – szepnął David.

– Tak też to można wytłumaczyć.

Pośmiał się trochę, a ja spojrzałam mu w oczy. Wydawał się autentycznie rozbawiony. To dobrze wróżyło. A może było na to za wcześnie?

Otworzył książkę.

– Isabel normalnie tak się spóźnia?

– Normalnie... to bardzo subiektywne określenie. – Tym bardziej że jeszcze nigdy nie umawialiśmy się na wspólną naukę w bibliotece.

– Naprawdę? – Zerknął na zegarek. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wpadła Isabel.

– Cześć, kochani. Sorki. Przedłużyła mi się matma, bo Sasha potrzebowała notatek z wczoraj.

– Sasha? – powtórzyłam, przewracając oczami. – Dziewczyna Cade'a?

– Nie wydaje mi się, żeby chodziła z Cade'em. A chodzi?

– Myślałam, że tak. – Poszukałam wzrokiem poparcia ze strony Davida, ale akurat przewracał kartki w podręczniku do chemii, jakby nie śledził naszej rozmowy.

– Choć to możliwe. I nic nie powiedziała. – Czy w głosie Isabel wyczułam zazdrość? Czemu Isabel miałyby być zazdrosna o Saszę?

– Nie wiedziałam, że kumplujecie się z Saszą – powiedziałam, też czując się trochę zazdrosna.

– Wcale się nie kumplujemy – odpowiedziała Isabel, otwierając książki – ale stale ktoś prosi mnie o notatki. Dobrze je robię.

– Przeniosła wzrok na Davida. – Już zaczęliście?

Skrzywiłam się ironicznie.

– Tak. Ci, którzy potrzebowali pomocy z chemii, przyszli wcześniej i wzajemnie się podszkolili. Z chemii jesteśmy teraz orły.

Isabel przewróciła oczami.

Nad ramieniem Isabel nadal widziałam Lucasa. Podniósł głowę, lekko się uśmiechając. Czy słuchał naszej rozmowy, czy rozbawiło go coś w książce?

Isabel walnęła mnie w ramię.

– Mam nadzieję, że już się przekonałeś, że Lily lubi żartować – zwróciła się do Davida.

– Przekonałem się – przyznał David.

– Rzeczywiście? – zapytałam.

– Tak.

Isabel znacząco poruszyła brwiami. Zignorowałam ją.

– Dlaczego przeciągamy dręczenie się chemią na godziny po lekcjach? – zapytałam, podnosząc długopis.

– Żeby nie powtarzać tego przedmiotu w przyszłym roku? – zasugerował David.

– Bingo. – Otworzyłam podręcznik.

– Co robicie w ten weekend? – zapytała Isabel, zamiast skupić się na chemii. – Powinniśmy coś wspólnie zorganizować.

Zerknęłam na Davida. Zastanawiałam się, czy wie, że Isabel próbuje nas wyswatać.

– Którego dnia? – zapytał.

– Nie wiem – powiedziała Isabel. – Wtedy, gdy wszyscy będziemy mieli czas.

Milczałam.

– W piątek orkiestra gra u nas na meczu – oznajmił David, kartkując podręcznik.

– Gracie na meczu futbolowym? – spytała Isabel, otwierając szerzej oczy. – Fajnie. Musowo przyjdziemy popatrzeć. Prawda, Lily?

– Hmm... Będę musiała się tylko upewnić, czy znów nie robię za opiekunkę dla dzieci, ale pewnie – powiedziałam z wahaniem.

– Zapowiada się fajnie.

– I może po meczu gdzieś razem wyskoczymy? – dodała Isabel. Była taka uparta.

David kiwnął głową i spojrzał na mnie niepewnie. Nie bardzo potrafiłam to rozszyfrować. Nie byłam pewna, czy chce, żebym przyklasnęła temu pomysłowi, czy woli się wymiksować z tego planu.

Uśmiechnęłam się na wypadek, gdyby to mogło pomóc, choć w rzeczywistości miałam ochotę powiedzieć: „Ja też miałabym ochotę się z tego wykręcić, ale chyba jeszcze niezbyt dobrze znasz moją najlepszą przyjaciółkę, bo wiedziałbyś, że nie ma dla nas nadziei”.

– Nasza orkiestra marszowa daje występ po pierwszej połowie  
– powiedział w końcu David, spoglądając na Isabel.

– Uwielbiam oglądanie orkiestr marszowych – oznajmiła Isabel.  
– Super jest patrzeć na te ich układy. Długo nad nimi pracujecie?

– Miesiącami – odparł.

– Lily uwielbia wszystko, co wiąże się z muzyką.

Wyraźnie nadal trzymałam się swojej strategii niegadania.

W końcu jednak wydobyłam z siebie głos:

– To prawda.

David się uśmiechnął.

– Muzyka i chemia. Jak one zbliżają ludzi.

Z jakiegoś powodu się zarumieniłam. „Muzyka i chemia”.

Dlaczego to powiedział?

Przypomniała mi się strona zatytułowana *Podejrzani* z końca mojego zeszytu. Jak dotąd zapisałam na niej dwie kandydatury. Chłopak imieniem George, z którym chodziłam na kompozycję, nawijał wczoraj rano o rozwodzie swoich rodziców i o tym, że napisze o tym piosenkę. Gdy to usłyszałam, serce mi zabiło. George może nie był ciachem, ale wydawał się niegłupi. Chętnie wzięłam go pod uwagę. Drugim podejrzanym był Travis z wuefu; podsłuchałam, jak mówił swojemu koledze, że na nauczycieli dobrze działa psychologia odwrócona. Nadawca listów do mnie też wspominał o psychologii odwróconej. Czepiałam się najdrobniejszych poszlak.

Teraz, siedząc w bibliotece, zastanawiałam się, czy nie powinnam dodać do listy podejrzanych trzeciego imienia: David.



## Rozdział 17

*No wreszcie, pomyślałam, zajmując w czwartek swoje miejsce na chemii. Nie byłam w stanie słuchać pana Ortegi nawet przez pięć minut, jak to zwykle robiłam przed czytaniem. Rozłożyłam list natychmiast.*

*Nie przewidziałem tych wczorajszych laberek. Zaskoczyły mnie. Może powinienem zacząć bardziej uważać na lekcji. To Ty mnie rozpraszasz. Problem w tym, że przez Ciebie nie mogę doczekać się chemii, na to przynajmniej wychodzi. To chyba istne wariactwo, że nie można się doczekać chemii? Możesz przestać być taka zabawna? Wydaje mi się, że to by pomogło. Zaczęłaś już pracować nad naszą pierwszą piosenką? Nad Porzuconym? Czytając list, ciężko odgadnąć, kiedy ktoś żartuje. Naprawdę piszesz piosenki?*

Ostatnie zdanie zmusiło mnie do zastanowienia. Chciałabym pisać piosenki. Tak naprawdę jednak jeszcze tego nie robiłam. Żadnej nie napisałam w całości. Miałam fragmenty tekstów i niekompletne melodie, ale nic skończonego. Otrząsnęłam się z tych rozmyślań i wróciłam do lektury.

*Jeżeli tak, jestem pod wrażeniem. Jeśli nie, może powinnaś się tym zająć. Wydaje mi się, że pasjonuje Cię muzyka, masz też smykałkę do pisania. Mnie też marzy się czasami, żeby odkryć swoją prawdziwą pasję. Coś, na czym się znam i w czym mógłbym odnieść sukces. Na razie wszystkie moje marzenia są nieco dalekosiężne. O nie, pan Ortega chce, żebyśmy wypełnili jakąś tabelkę wspólnie z naszym sąsiadem. Muszę spadać.*

Uśmiechnęłam się i sprawdziłam, że pan Ortega wypisuje na tablicy jakiś niekończący się wzór chemiczny. Momentalnie wzięłam czystą kartkę i napisałam:

*Uważasz pisanie piosenek za marzenie możliwe do zrealizowania? To miał być żart, prawda? Jak napisałeś, trudno to rozpoznać, czytając*

*list. Ale tak, to moja pasja. Gdyby tylko udało mi się wreszcie skończyć jakąś piosenkę, mogłabym stwierdzić, że je piszę! Jak dotąd, podobnie jak ty, oddaję się tylko dalekosiężnym marzeniom. Może nic w tej kwestii się nie zmieni, dopóki nie wyniosę się z domu. Tam nie da się pisać.*

*Tak przy okazji, jakie są te twoje dalekosiężne marzenia? Też takie, na których spełnienie nie pozwala, jak u mnie, życie rodzinne? Co tam u Ciebie w domu? Jakaś poprawa w stosunkach z mamą lub z tatą? Pisałeś, że Twój tata się wyniósł i od dawna się z nim nie widziałeś, ale przecież rozmawialiście, prawda?*

*Ups, teraz NAS pan Ortega prosi o wypełnienie tabel. Też muszę spadać!*

\* \* \*

Dwadzieścia cztery godziny to szmat czasu na myślenie nad odpowiedziami, których mój korespondencyjny kolega mógłby udzielić na zadane mu pytania. Wyszło na to, że zamartwiałam się nim przez resztę dnia i kawał nocy, głowiąc się, cóż to mogły być za dalekosiężne marzenia, skoro nie wierzył w ich spełnienie.

Następnego dnia w jego odpowiedzi przeczytałam:

*Tata dzwoni do mnie raz do roku, w pobliżu moich urodzin. Myślę, że może nie pamięta już dokładnej daty. Przez pierwsze kilka lat było ciężko, teraz to nawet zabawne. Obstawiam, jak blisko prawdziwej daty trafi. Jak dotąd najmniej przestrzelił tylko o dwa dni. Niezły wynik. W zeszłym roku zachowałem się wobec niego jak palant. Czulem się winny, a potem obwinałem się o poczucie winy. O ile to ma sens. Spisałem go na straty. Jest już tylko kimś, kto przewinął się przez moje życie. Nadal łoży na utrzymanie dziecka, co chyba mu się chwali. Może dzięki temu lepiej o sobie myśli. Chociaż było mi miło, kiedy mama się zgodziła, żeby za część tej kasy kupić mi samochód. Nieszczęsnym*

*skutkiem ubocznym tej decyzji jest to, że ilekroć jeżdżę, on mi się przypomina.*

*Dosyć biadolenia jak na jeden list. Jeszcze przestaniesz do mnie pisać, jeśli będę tylko narzekał. I co mi pozostanie? Słuchanie cięgiem pana Ortegi? A jak tam u Ciebie? Chyba trzeba mi tego, żebyś też sobie ponarzekała.*

Zafrasowałam się tym listem, a serce mnie zabolalo. Jego tata nie pamiętał dokładnej daty urodzin syna? Co z niego za ojciec? Taki, który wynosi się o pięć stanów od syna i nawet go nie odwiedzi.

Coś w stylu przyjętym przez mojego korespondencyjnego kolegę ułatwiło mu otwarcie się. Odpisując, przekonałam się, że dotyczy to i mnie.

*Mam ponarzekać? Moje powody do narzekań wydają się teraz mało znaczące w porównaniu z tym, z czym musisz sobie radzić. Znow wychodzi na to, że nie mam do zaoferowania żadnych głębokich mądrości. Weź się w garść? Głowa do góry? Jakie jeszcze mamy tandetne, bezużyteczne slogany?*

*Mój główny zarzut wobec mojego własnego życia jest taki, że w ogóle nie mam czasu dla siebie. Cała rodzina wydaje się decydować o każdej sekundzie mojego dnia. Kiedy mam wyjść, zjeść, pomyśleć. Nie chodzi o to, że jestem częstką życia zbiorowego. Tu wszyscy wokół decydują o moim losie i czasem mam wrażenie, że jestem tu tylko pasażerem.*

*Rozumiem, co miałeś na myśli, pisząc o maksimum biadolenia przypadającym na list. Odnoszę wrażenie, że właśnie je osiągnęłam. Przyda się zakończyć czymś weselszym. Dzisiaj jest piątek. To dobrze, prawda? Chociaż będziesz to czytać w poniedziałek, a poniedziałki są do kitu. Czyli tamta końcówka wcale nie byłaby wesola. A co z tym, że tylko dwa tygodnie szkoły dzielą nas od ferii z okazji Święta Dziękczynienia,*

*kiedy będziemy mieć tydzień wolnego? Cieszysz Cię tą myślą czy nie? Sama nie wiem, czy na Twoim miejscu wolałabym chodzić do szkoły czy siedzieć w domu? Przepraszam, to było niedelikatne. Niezbyt sobie radzę z takimi sprawami. Muzyka. To przynajmniej jest uniwersalny język, w którym zwykle ciężko mi coś schrzanić. Posłuchaj dziewiątego utworu z płyty kapeli zwanej Dead's the New Alive. To pomoże. Przynajmniej na trzy minuty i czterdzieści cztery sekundy.*

Złożyłam list, a kiedy wkładałam go na miejsce, poczułam, że sama popadam w nieco depresyjny nastrój. Piątki były najgorsze. Na to, żeby odpisać, trzeba było czekać cały weekend. Czy naprawdę zaczynałam już tęsknić za poniedziałkiem? Miałam chyba nie po kolei w głowie. Powinnam raczej przeżywać perspektywę oglądania dzisiejszego meczu futbolowego, na który puściła mnie mama. Z Davidem. Właśnie, mogłabym się też cieszyć na spotkanie z Davidem. To by uszczęśliwiło Isabel, a mnie może uda się uzyskać jakieś tropy wskazujące, czy jego imię powinno figurować na mojej liście podejrzanych, czy też nie.

## Rozdział 18

Wieczór był taki, jakie najbardziej lubiłam – na tyle chłodny, że należało wziąć kurtkę, a przy tym tak ciepły, że powinna być ona jak najcieńsza. Gdybyśmy tylko nie zmierzali teraz na stadion pełen rozwrzeszczanych kibiców. Oglądanie meczów futbolowych nie było moją ulubioną rozrywką.

Gabriel i Isabel szli kilka kroków przed nami, pod rękę, rozmawiając za cicho, bym mogła ich usłyszeć. Zastanawiałam się, czy nie snują jakichś planów na czas po meczu, kiedy to zgodnie z ich oczekiwaniami ja i David zapalamy do siebie szaloną miłością.

Isabel zauważyła, że zostałam w tyle, i przystanęła, wolną ręką łapiąc mnie pod łokieć.

– To będzie niesamowite – powiedziała, gdy dochodziliśmy do kasy biletowej.

– Mam nadzieję – przyznałam.

Zapłaciliśmy i weszliśmy na stadion, wspinając się po schodach na trybuny. Część widowni była wypacykowana farbą i trzymała transparenty. Byłam wdzięczna Isabel, że nam tego oszczędziła. Gdy zbliżyliśmy się do szczytu, zgiełk, który podczas naszej wspinaczki wydawał się stłumiony, wałnął we mnie niczym potężne tchnienie.

– Oto i orkiestra – zauważyła Isabel. Gabriel popatrzył na mnie, jakby oczekiwał mojej reakcji.

– Czadowe czapki. – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

\* \* \*

Do końca pierwszej połowy pozostało pięć minut, gdy Gabriel powiedział:

– Przed występem Davida powinniśmy kupić coś do jedzenia.

– Wy idźcie, mnie nic nie trzeba. – Uwielbiałam Isabel i Gabriela, ale potrzebowałam odtrutki po przedawkowaniu serdeczności, jaką mi oboje okazywali.

– Pewna jesteś? – spytała Isabel.

– Zdecydowanie.

Poszli do straganów z jedzeniem. Znów usiadłam i w otaczających mnie widokach zaczęłam szukać natchnienia do piosenki. *Światła w czerni. Czekając na wynik. Z miną jak należy. Odrobinę poflirtować.*

Inspiracji do tego ostatniego wersu dostarczył mi niestety Cade. Tak się złożyło, że zobaczyłam go, jak gawędził z jakąś dziewczyną. Kiedy mnie spostrzegł, poszukał mojego wzroku i puścił oko. Grrr. Wstałam, dochodząc do wniosku, że mam jednak ochotę czegoś się napić, i skręciłam w stronę przejścia, żeby dogonić Isabel. I o mało nie zaryłam twarzą w czyjąś klatkę. Będąc tak blisko, nawet pomimo ryku tłumu, słyszałam dźwięki dochodzące ze słuchawek Lucasa.

Wyciągnął je, szarpiąc kabelek.

– Przepraszam... Lily, prawda?

Jego bliskość odebrała mi głos. Prawdę mówiąc, jego obecność chyba zawsze tak na mnie działała. Ale co robił na meczu futbolowym? Za bardzo go nie znałam, lecz to na pewno nie była jego bajka.

Starłam się odpowiedzieć, wymyślić coś błyskotliwego... cokolwiek... byle coś powiedzieć, ale miałam pustkę w głowie. Udało mi się tylko zamknąć usta, otwarte co najmniej o sekundę za długo.

– Nic ci nie jest? – zapytał Lucas. – Uderzyłem cię?

Pokręciłam głową. Słuchawki zwisały mu blisko pach i korciło mnie, żeby za jedną z nich złapać, wetknąć ją w ucho i wreszcie poznać muzykę, której zawsze słucha, na szczęście jednak się powstrzymałam. I tak wystarczająco zrobiłam z siebie wariatkę. *Szybko, mózgu, podsuń coś błyskotliwego.* Moje myśli jednak krążyły bezładnie, nie dając się złapać.

Lucas błysnął idealnym, olśniewającym, rozbrajającym uśmiechem. Opuściło mnie całe napięcie, które dotąd więziło mi myśli. Gotowa byłam się odezwać. Gotowa byłam powiedzieć coś zabawnego i błyskotliwego. Nabrałam wreszcie tchu i otworzyłam usta.

– Lucas. – U jego boku pojawił się Cade. – Może zainteresuje cię przyjacielski zakład?

– Co? – Irytacja, z jaką Lucas spojrzał na Cade'a, sprawiła, że jeszcze bardziej go polubiłam.

– Możesz mi wierzyć, to będzie lepsze niż wszystko, co tutaj odstawiają. – Ruchem głowy wskazał mecz i z jakiegoś powodu to

poskutkowało. Lucas poszedł za nim, nieznacznie machając mi na pożegnanie.

Cade właśnie sprzątnął mi przed nosa moją pierwszą prawdziwą szansę na porozmawianie z Lucasem. Jeszcze jeden powód, by go nienawidzić.

– Nachosa? – zapytał Gabriel, podsuwając mi tackę z chipsami i stopionym serem. *Skąd się tu wziął?*

Isabel uczepliła się mojego ramienia, w wolnym ręku trzymając napój.

– Przegapisz występ.

Och, racja. Wróciłam na miejsce, próbując wypatrzeć Davida na boisku. Przez cały czas jednak boczyłam się na Cade'a i Lucasa.

\* \* \*

Gdy mecz dobiegł końca, Isabel, David, Gabe i ja wybraliśmy się do parku niedaleko domu Isabel. Gabriel bujał Isabel na huśtawce, a my z Davidem siedzieliśmy na stole piknikowym.

Podniosłam czapkę galową Davida, którą postawił obok siebie. Na szczycie jej tkwiło długie czarne pióro.

– O co chodzi z tym piórem?

– Wydajemy się wyżsi. – Nadal miał na sobie kompletny mundur członka orkiestry, w którym czuł się niezręcznie i się pocił. Ale wyglądał cudnie.

– Serio? To chyba powinnam zawsze w takiej chodzić. – Włożyłam ją sobie na głowę.

– Wydaje mi się, że tak naprawdę ma to coś wspólnego z dziejami orkiestr marszowych – wyjaśnił David. – Orkiestry marszowe wykorzystywane były w działaniach wojennych. Muzycy nosili mundury szczególnego kroju, żeby armie przeciwne mogły rozpoznać, że nie należy do nich strzelać ani nic takiego.

– Fajnie. Cieszę się, że na wojnie nie będą do ciebie strzelać.

David uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Teraz to już tylko tradycja.

Odchyliłam głowę, żeby zajrzeć pod daszek czapki.

– Podoba ci się granie w orkiestrze marszowej?

– Czasami. To masa pracy.

– Dzisiaj wypadło to dobrze, choć tak właściwie nie mogłam cię stamtąd wypatrzeć. – Nie byłam pewna, czy wyszło to tak, jak miało.

– To znaczy, dobrze się spisałeś... jak sądzę. Bo chyba, jeśli się nie mylę, chodzi u was o to, żeby nikt się nie wyróżniał, prawda? Wszystko powinno być takie... zuniformizowane. – Jak to jest, że twarzą w twarz z Lucasem nie potrafiłam znaleźć słów, a przy Davidzie płynęły niepowstrzymanie?

– Tak. Dzięki.

David nie był zbyt rozmowny i wciąż jeszcze nie potrafiłam określić, czy to przez nieśmiałość, czy też tak naprawdę nie miał ochoty tu być. Zdjęłam czapkę, obróciłam ją raz w dłoniach i odstawiłam.

– W sumie nic o tobie nie wiem – palnęłam. – Poza tym, że grasz na klarncie i nienawidzisz chemii. Co jeszcze należałoby wiedzieć o Davidzie? – Umilkłam. – Nawet nie wiem, jak masz na nazwisko.

– Feldman.

– Okej, Davidzie Feldman, przedstaw mi się w punktach.

– W punktach?

– Wiesz, twoje życie nie więcej niż w dziesięciu punktach.

– Okej, hmm... Moi rodzice się rozwiedli. Mam znacznie starszych brata i siostrę. Oboje mają już swoje rodziny i się wyprowadzili z domu. Moje ulubione książki to seria o Harrym Potterze.

– To się liczy za siedem punktów.

– Serio?

– Nie, ale to niesamowite. Też uwielbiam Pottera.

Uśmiechnął się, a ja uznałam, że jest jednak nieśmiały.

– Leć dalej – ponagliłam.

– Od siódmej klasy nie chorowałem i...

– Czeka, to wymaga pewnego rozwinięcia. Chodzi o to, że masz superodporny organizm, czy że od tak dawna nie wymiotowałaś.

– Od siódmej klasy nie miałem ani przeziębienia, ani grypy.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Biorę mnóstwo witaminy C.

– Prześlij mi, proszę, swoją dietę i sposób na życie.



– Zażartowałam, ale wyjął telefon, jakbym mówiła poważnie, i podał mi go.

Założyłam, że pragnie, żebym wpisała mu swój numer, i to zrobiłam.

– Jest już dziesięć? – zapytał, gdy mu oddawałam komórkę.

– Jeśli już skończyłeś, to tak, ale wydaje mi się, że ci przerwałam.

– Uśmiechnęłam się.

– Chciałem powiedzieć, że od siódmej klasy nie opuściłem żadnego dnia w szkole. Jeden z kiepskich skutków ubocznych niechorowania.

– Racja. Poza tym, jak możesz docenić to, że jesteś zdrowy, skoro zawsze tryskasz zdrowiem? Może powinieneś spróbować celowo się rozchorować. Zacząć całować chore osoby czy coś w tym stylu.

Po co mówiłam o całowaniu? Policzki mu pociemniały. Czyżby jeszcze nigdy się nie całował? Nie żebym ja była jakoś bardzo doświadczona w dziedzinie całowania, ale już to robiłam. I potrafiłam przynajmniej wymówić to słowo, nie rumieniąc się.

– A jeśli chodzi o ciebie? – zapytał.

– Nie jestem teraz chora, więc nie mogę ci pomóc.

– Nie, nie, chodzi mi o to, żebyś ty też przedstawiła się w punktach – wyjąkał.

Zamrugałam. Okej, może się trochę zarumieniłam.

– Aha, racja. Byłeś u mnie w domu, to jakbyś osiem punktów już znał. Ale pomyślmy... Oprócz gitary, rodzeństwa i zwariowanego domu jest jeszcze to, że lubię szyć. Zaopatruję się w sklepach z używaną odzieżą i nie mam oporów przed kupowaniem butów po kimś. Za dużo gadam do siebie, a w szkole nazywają mnie...

– Magnes – dokończył za mnie. – Dlaczego?

– To długa historia. Zasadniczo chodzi o to, że pewien szkolny palant, z jakiegoś powodu popularny, nadał mi to przezwisko, bo jestem beznadziejna z wufu. – O, mamy kolejny punkt: jestem beznadziejna z wufu. – I przyłgnęło do mnie.

– Co to za szkolny palant?

– Nie wiesz? Ludzie naprawdę tego nie wiedzą? Przecież chodzisz do naszej szkoły. – Przypominając sobie, jak Cade odciągnął Lucasa na

bok, zgrzytnęłam zębami. – Prawdopodobnie już mógł cię ostrzec, żebyś trzymał się z dala ode mnie. – Miałam wrażenie, że Cade traktuje to jak swoją indywidualną misję.

David potrząsnął głową przecząco.

– A jak myślisz, kim może być ten szkolny palant? – Gdy wyglądało na to, że nie rwie się do odpowiedzi na to pytanie, ponownie podniosłam jego czapkę. – Chcesz mi powiedzieć, że sobie w tym chodzisz i nigdy nikt się ciebie nie czepiał?

Roześmiał się.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie. Hej, sama chodziłabym do szkoły w takiej czapce, gdyby pasowała mi do reszty ciuchów.

– Naprawdę byś chodziła? No bo jesteś pewna siebie.

Zatkało mnie, a potem zakaszlałam.

– Bardzo śmieszne.

– Nie przejmujesz się tym, co myślą o tobie inni – stwierdził z powagą David.

– To, że ubieram się dziwacznie, nie oznacza jeszcze, że nie obchodzi mnie, jak ludzie mnie oceniają. A teraz przestań unikać odpowiedzi. Kto jest największym palantem?

– Pete Wise.

– Ten dryblas od piłki wodnej?

– Tak.

Warknęłam.

– Okej, to drugi w kolejności palant.

– Lyle Penner.

– Serio? Twój numer dwa to Lyle? To kto jest trzeci?

David wytrzeszczył oczy.

– Według ciebie ilu ludzi się mnie czepia?

Zaśmiałam się.

– Nie wiem. Przypuszczam, że tu zbyttno się od siebie nie różnimy. Ale nie wymieniałeś jeszcze największego chamidła. On czepia się wszystkich. Gdybyś chodził w tej czapce, nie byłoby siły, żeby nie nadał ci jakiegoś przydomka.

– Lily, zakładam ją tylko na występy – podkreślił David.

Wyczułam, że przesadziłam z żartami o czapce.

– W porządku. Nieważne. I tak powinnam udawać, że on dla mnie nie istnieje.

– I zostawisz mnie w niepewności?

Wierzyć mi się nie chciało, że jeszcze się nie domyślił.

– Cade Jennings.

– Cade? To on nadał ci przydomek Magnes?

– Tak. Bo to palant.

David chyba zadumał się nad tą etykietką, a potem powiedział:

– Mogę sobie chyba wyobrazić, że z czymś takim wyskakuje. Jest trochę za bardzo przejęty sobą.

– Trochę?

– Robi też szum i przegina. Ale nigdy nie był wobec mnie tak wredny, jak Pete czy Lyle.

– No a wobec mnie jest wredny. – Naburmuszyłam się. – I to zawsze, kiedy ma publiczność. To palant najgorszego sortu. Taki, który udaje, że robi coś dla twojego dobra, zapraszając cię do udziału w jakimś fajnym żarcie, a w rzeczywistości to z ciebie robi pajaca.

David pokiwał głową, a mnie przez myśl przemknęły wspomnienia tych niezliczonych chwil, gdy Cade traktował ludzi w ten sposób.

Z drugiego końca placu zabaw, gdzie Isabel i Gabe byli zbyt zajęci sobą (za co dałabym głowę), żeby się nami przejmować, dobiegł mnie wrzask przyjaciółki:

– Lily, daj już spokój z Cade'em!

– Pilnuj swojego nosa, Isabel – odkrzyknęłam ze śmiechem.

– Widzę, że temat nie jest nowy – oznajmił David.

Nie, nie był. I nie powinnam tracić na niego czasu.

– Pościgamy się na falistych zjeżdżalniach? – zapytałam go.

Popatrzył na swój mundur.

– Szanse nie byłyby chyba równe. Ten materiał jest superśliski.

Roześmiałam się.

– Zaryzykuję.

Uśmiechnął się i poprowadził mnie w stronę zjeżdżalni, gdzie po kilku wyścigach całkiem zapomniałam o Cadzie i o tym, jak ośmieszył mnie przy Lucasie na meczu futbolowym. Może zresztą chłopak, przy

którym nie umiałam wydobyć z siebie głosu, niezbyt się dla mnie nadawał.

Po tym, jak wszyscy wyszliśmy z parku, Isabel odwiozła mnie jako pierwszą i ciekawa byłam, czy David odprowadzi mnie do drzwi. Wieczór upłynął mi naprawdę fajnie. Ale kiedy samochód się zatrzymał, David nawet nie sięgnął do klamki. Wysiadłam i poszłam podjazdem sama.

## Rozdział 19

Przez następny tydzień listy na chemii były tak niesamowite, że odliczałam nimi dni.

W poniedziałek, od niego:

*Utwór dziewiąty z płyty Dead's the New Alive to coś, czego słucham co tydzień. Wierzyć mi się nie chce, że znasz tę kapelę. Nadajemy na tej samej muzycznej fali. Czy to nie wyjątkowe? Ile znasz osób nadających na tej samej muzycznej fali co ty? Bo ja może jedną. (To zabrzmiało jak fraza z piosenki, nie? Na tej samej fali nadajemy, mała. Musisz przyznać, że byłby z tego niesamowity tekst). Okej, skoro podpowiedziałas mi, jak za pomocą muzyki mam sobie radzić z moimi problemami z rodzicami, oto moje lekarstwo na twoje przeciążenie rodziną. Utwór jedenasty z płyty Serendipity. Dzięki niemu poczujesz się, jakbyś była całkiem sama w środku lasu.*

*Odpowiadając na inne twoje pytanie: co do ferii z okazji Święta Dziękczynienia, jestem na tak. Choć, jak już wiesz, moje życie rodzinne bywa żałosne, przerwa od szkoły to zawsze przerwa od szkoły. Zresztą i tak nie przesiaduję wtedy w domu. Spotykam się ze znajomymi, jeżdżę, łążę, czytam. A jeśli chodzi o samo Święto Dziękczynienia, kiedy jestem zmuszony siedzieć w domu i świętować, to robi się z tego jakaś parodia. Moja mama i ojczym zamawiają masę „domowego” jedzenia, przyjeżdżają dziadkowie, przyjeżdżają też ich znajomi. U jednego, zwykle u ojczyma, kończy się to wrzaskiem, u mojej mamy wypiciem za dużej ilości wina, a potem wszyscy chcielibyśmy móc udawać, że to był dzień jak co dzień. A jak tam u Ciebie? Mam nadzieję, że Twoje tradycje związane z Dziękczynieniem są fajniejsze od moich.*

Moja odpowiedź:

*Czy wariactwo można uznać za tradycję? Bo to u nas tradycja. Okej, mamy właściwie jedną: podwójny ślepy test smaku. Najpierw moja*

*mama i tata pieką ciasta dyniowe. Mogą być różne, ale oba dyniowe. Potem tną je na kawałki w innym pokoju i rozkładają na różnych talerzach. Po jednym dla każdego. Następnie zmuszają nas – dosłownie zmuszają – byśmy je jedli z zawiązanymi oczami. Wreszcie musimy powiedzieć, czyje jest lepsze. Nie możemy stwierdzić, że oba smakują tak samo albo że są równie dobre. Mowy nie ma. MUSIMY opowiedzieć się po jednej ze stron. To dosyć okropne. Dlatego moje rodzeństwo i ja urządzamy swój własny konkursik, zawsze staramy się typować tak równo, żeby wynik zależał od jednego głosu. A to z rodziców, które wygra, i tak się tym chełpi przez cały rok. Moi rodzice są dziwni.*

*Poza tym jest głośno, chaotycznie i męcząco. Ale jedzenie rzeczywiście jest domowe i dużo się śmiejemy. Myślę więc, że wygrałam, ale... Ty też się trzymaj.*

*Jestem przekonana, że nadajemy na tej samej muzycznej fali, bo utwór jedenasty z płyty Serendipity mam w ulubionych. (Tak jak w Twojej „piosence” o tej samej muzycznej fali. Choć chyba... nie). Ciekawe, w jakim procencie nasze playlisty byłyby takie same, gdybyśmy je porównali. Wolałabym, żeby nie okazało się, że są identyczne. Musisz wyklądać na stół coś nowego, co pomoże mi wzbogacić gust muzyczny, bo inaczej niczego nowego nie poznam! Pokazałeś mi Crooked Brookes, myślę więc, że na razie nic nam nie grozi.*

*We wtorek, od niego:*

*Dobrze, że nic nam nie grozi. Nie uświadamiałem sobie, że rozmowa o układaniu listy utworów może narazić nas na niebezpieczeństwo. Odczuwam potrzebę zapoznania Cię z jakąś nową kapelą, żeby nas zabezpieczyć na dalszych kilka tygodni. Choć może to cofnę. Ja już swoje zrobiłem. Gdzie nowa kapela od Ciebie? Naprawdę by mi się przydała. Miałem kiepskich kilka ostatnich dni.*

*Czy zdarzyło ci się usilnie starać się sprostać oczekiwaniom i za*

*każdym razem zawodzić? Zabrzmiało chyba niejasno i zagadkowo, prawda? Dobra, a więc chodzi o mojego ojczyma. To palant z superwymaganiami i wydaje mi się, że gdybym mógł postępować tak i być taki, jak tego ode mnie oczekuje, byłby miłszy dla mojej mamy lub szczęśliwszy, w każdym razie coś takiego. Wszedł w moje życie sześć lat temu, a ja nadal nie mogę wyczuć, czego dokładnie się po mnie spodziewa. Każe mi robić różne rzeczy i wydaje mi się, że robię dokładnie to, co chciał, ale on nigdy nie jest z tego zadowolony. Wiem, że pisałaś, że nie jesteś specem od dobrych rad, ale co byś zrobiła w takiej sytuacji?*

*We wtorek, ode mnie:*

*Nie wiem. Mam w sobie coś takiego, że lubię cieszyć ludzi, więc strasznie bym się czuła w takiej sytuacji. Wygląda na to, że może tak jest też z Tobą. Chyba starałabym się ze wszystkich sił, bo to najlepsze, co mogłabym zrobić. Ale wydaje mi się też, że to jego problem, a nie Twój. Jeżeli nie udało Ci się jeszcze określić, jakie są jego oczekiwania, muszą być niedoprecyzowane i dlatego nie sposób im sprostać. Próbowaleś z nim o tym porozmawiać? Zapytać go?*

*Przydałaby Ci się nowa kapela, żeby sobie z tym poradzić? Co powiesz na Better Than Yesterday? Czy to dla Ciebie coś nowego, czy znów się zsynchronizowaliśmy?*

*W środę, od niego:*

*Nie są dla mnie nowością, ale oczywiście ich uwielbiam. Synchronizacja kojarzy mi się jednak z NSYNC, a lepiej, żeby nie było ich na Twojej liście, bo to może oznaczać koniec między nami.*

*Zapytać ojczyma. Oto oczywiste rozwiązanie, na jakie jeszcze nie wpadłem. Wydawało mi się, że wystarczy, jeśli będę biegł tak szybko, jak*

*kazał, tak długo, jak zażądał, a w końcu go dogonię. Nie wiem zresztą, czemu tak mnie obchodzi, co sobie myśli. Jak już powiedziałem, to palant, zarówno w stosunku do mnie, jak i mojej mamy. Nie powinienem się w ogóle tym przejmować, zwłaszcza że to nic nie daje. A jednak z jakiegoś powodu jego uznanie nadal coś dla mnie znaczy. Ale podoba mi się Twoja rada. Powinienem spróbować z niej skorzystać. Czy to działa, kiedy rozmawiasz z rodzicami? A może podszeptujesz coś rodzicom? (Jeszcze kawałek tekstu: Na ucho szepcze rodzicom i tak rządzi światem). Każdy cynk się przyda.*

*W środę, ode mnie:*

*Hej, ja udzielam rad, a nie ich szukam. Cynk w kwestii rozmawiania z rodzicami... Hmm... Może warto pisać im listy, bo przeczytają je do końca i nie będą ci przerywać. Sama nie wiem. Ja do moich rodziców zwracam się dość często. Oto przykłady: Możesz podać mi masło? Mogę dzisiaj nie iść do szkoły? Pożyczycie samochód?*

*A tak na poważnie: czasem rozmawiam z mamą o ważnych sprawach. I w połowie przypadków to się sprawdza. Kiedy indziej jej życie jest akurat zbyt szalone, by mogła mnie wysłuchać. Bo nie ja jedyna w tym domu nie mam przestrzeni dla siebie.*

*Okej, dość już naszych pomniejszych życiowych problemów. Wróćmy do kwestii nadrzędnej: znalezienia niesamowitej kapeli, której jeszcze nie słyszałeś. Ooo! A może End Game lub Flight and Fight? Jeszcze prośba. Daruj już sobie układanie tekstów piosenek. Dobijasz mnie.*

*Czwartek (on):*

*Flight and Fight? Jeszcze ich nie słyszałem. W końcu coś znalazłaś. To oznacza, że nasze playlisty nie są identyczne! Jesteśmy uratowani. Wiem, że tak naprawdę podobają Ci się teksty moich piosenek. Bo jakby mogło być inaczej? Są genialne. A tak przy okazji, nie widzę, żebyś podsuwała jakieś teksty. Masz się czym podzielić? Zdradziłaś, że masz*



*napisane fragmenty piosenek. Powinnaś coś takiego umieścić w liście, żebym mógł poczytać.*

*A co do listu do ojczyma, pomysł jest naprawdę świetny. A przynajmniej mogę mu sprostać. Bo choć znam dziewczynę, która tylko pobieżnie przegląda listy, on, w odróżnieniu od niej, może przeczyta wszystko od początku do końca.*

*Czwartek (ja):*

*Mam nadzieję, że to nie do mnie pijesz, pisząc, że znasz dziewczynę pobieżnie przeglądającą listy. Ja czytam co najmniej połowę. To zupełnie coś innego niż pobieżne przeglądanie. Ten tydzień mierzę listami, uważam więc, że nie doceniasz ich wagi w moim życiu. A przynajmniej ich wagi na moich lekcjach chemii. A to prawie jak życie. A teraz, jako że jest prawie piątek, już myślę z niechęcią o bezlistowym weekendzie. A tak serio (nie za często to powtarzam?), uważam, że list do twojego ojczyma to wspaniały pomysł. Powinieneś tego spróbować, a jeśli podziela, daj mi znać. Wtedy może z miejsca przejdę na taką formę komunikacji z moimi rodzicami. Przekonuję się, że rozmawianie jest przereklamowane.*

*I mowy nie ma, żebym w liście umieściła jeden ze swoich tekstów. Z nikim się nie dzielę moimi niedokończonymi piosenkami. Podzielę się, kiedy napiszę tę doskonałą.*

*W piątek, od niego:*

*Z nikim się nie dzielisz swoimi piosenkami? Jak to, nikt jeszcze nie czytał żadnego z twoich tekstów? Jak mamy pisać piosenki, skoro nie chcesz, żeby ktoś ich słuchał? Musimy nad tym popracować.*

*Jestem zachwycony Flight and Fight, choć mają tylko trzy piosenki. Chyba że coś przegapiłem. Powiedz mi, że ukryli gdzieś jeszcze więcej utworów. Tak jak ty, mierzę ten tydzień listami i oboje doświadczymy dwudniowej posuchy. Gdyby tylko istniał jakiś sposób szybszego przesyłania listów za pomocą jakiegoś elektronicznego urządzenia, które koduje treść i przesyła ją drogą powietrzną. Ale to tylko szalone rojenia.*

W piątek, ode mnie:

*Przesyłanie listów drogą powietrzną? Jak wtedy, gdy do ogonów samolotów przywiązuje się transparenty? Myślałam, że to się sprawdza tylko przy reklamach wyprzedaży. Ale może naszym listom też by to posłużyło. Ciekawe, ile liczą sobie za słowo?*

Nie, niestety nie ma żadnych ukrytych piosenek Flight and Fight. Może powinieneś im podsunąć trochę swoich tekstów. Biorąc pod uwagę, jak niesamowicie piszesz, pewna jestem, że je zaakceptują. Ale powinnam przestać Cię drażnić tym tematem, skoro sama nie zamierzam dzielić się swoimi tekstami z Tobą ani z nikim innym. Masz rację. Jest coś, nad czym muszę popracować. Pewność siebie. W tym jestem kiepska. Jestem przewrażliwiona. Zwłaszcza na punkcie rzeczy, które wiele dla mnie znaczą. Chciałabym trzymać je przy sobie, nigdy się nimi nie dzielić, nie dając nikomu okazji do tego, żeby mnie osądzał.

## Rozdział 20

Siedziałam na łóżku, dusząc gryf gitary i wpatrując się w słowa piosenki, którą wreszcie udało mi się napisać. Staralam się teraz znaleźć dla nich idealną melodię.

*W sztuce czekania osiągnąłem szczyty.  
Ciasno obwiązałem swe serce rozbite.  
Żeby być na chodzie także i w tym dniu.  
Uśmiech krzywy nalepię na pysk.  
A na suszarce porozwieszam łzy.  
Wiedząc, że będziesz ze mną znów.  
Tylko że... w objęciach nic.  
Tylko że... me serce drży.  
Tylko że... ma dusza wrze.  
Tylko że... me gardło schnie.  
Bo w końcu się ocknąłem prawdą porażony:  
jednak rzeczywiście zostałem Porzucony.*

Piosenka nie była jeszcze skończona, ale byłam zadowolona z pierwszego wersu i refrenu. Poklepałam przypięty do ściany wycinek z gazety.

– Coraz bliżej ciebie – odezwałam się do niego.

Teraz pozostało mi tylko wziąć się w garść i przystać, żeby ktoś jeszcze posłuchał tej piosenki. Ale nie wszystko naraz.

Kiedy pisałam, mój umysł kreślił czyjś portret. To z niego wziął się ten wers o krzywym uśmiechu. Portret Lucasa. Tak właśnie patrzył na mnie na tamtym meczu futbolowym. Wiedziałam, że to nie on jest autorem listów – będąc w ostatniej klasie, nie miał już chemii – i nie o nim była ta piosenka. Ale jego twarz mnie zainspirowała. Ona i te listy. Mój korespondencyjny kolega wyraźnie przyniósł mi szczęście. Jego listy wprowadziły mnie w nastrój sprzyjający pisaniu piosenek. I choć w domu nieustannie coś mi przeszkadzało, ilekroć udawało mi się ponownie przeczytać któryś z nich, ten nastrój momentalnie wracał. To

było niezwykle. Dzięki temu czas się nie dłużył. Nie przeszkadzało mi nawet, że Isabel wyjechała, a ja przez cały weekend siedzę w domu. Nie chciałam opuszczać swojego gniazdka wypełnionego pisaniem i marzeniami.

\* \* \*

Czy gdybym w poniedziałek nucila sobie na szkolnym korytarzu, oberwałabym za to? Poniedziałki nie sprzyjały nuceniu. Lepiej było zapewne trzymać piosenkę w sobie. Serce i tak śpiewało, podskakując mi w piersi, kiedy szłam na chemię. Ledwie weszłam do klasy, zderzyłam się ze ścianą gwaru. Wszyscy gadali, esemesowali i się śmiali. Moje spojrzenie pomknęło na przód sali i przekonałam się, że mamy zastępstwo. Potem spojrzałam na swoje miejsce. Obok Lauren siedziała Sasha, normalnie zajmująca miejsce w drugim rzędzie.

Byłam załamana.

Przypomniałam sobie, że mamy przecież ustalony rozkład miejsc, którym nauczyciel na zastępstwie powinien się posłużyć przy sprawdzaniu obecności. Poszłam więc upomnieć się o swoje. Sasha i Lauren były w samym środku rozmowy, nie mogłam więc tego nie usłyszeć.

– Próbowałam – powiedziała Sasha. – Nie podziałało. Co jeszcze lubi? Słowo daję, nigdy w życiu nie musiałam tak ciężko pracować na to, żeby facet się ze mną umówił.

– Czemu go gdzieś nie zaprosisz? – zasugerowała Lauren.

– Tego też próbowałam. Śmiał się tylko, jakbym robiła sobie żarty albo coś.

Czyżby rozmawiały o Cadzie? Może Isabel miała rację. Może jeszcze nie chodził z Sashą.

Podeszłam do dziewczyn i chrząknęłam. Kiedy Sasha podniosła wzrok, obdarowała mnie uśmiechem.

– O, cześć, Lily – powiedziała Sasha. – Zamieńmy się. Ja mam drugi rząd, miejsce czwarte.

– Pan Ortega na pewno zostawił zastępstwu rozkład miejsc.

Wzruszyła ramionami.

– Obie dziś jesteśmy, więc to nie ma znaczenia. Niemożliwe, żeby

wiedział, która z nas jest która.

– Prawda. – *Chcę tylko przeczytać swój list.* Widziałam na blacie wypisane ołówkiem słowa, tak zauważalne, jakby ułożono je z neonowych rurek. Równie wyraźna była strzałka wskazująca spód blatu, jednoznacznie dowodząca, że coś się tam kryje. Czemu nie wytarłam stolika?

Wytrzeszczyła oczy.

– O co chodzi?

Gdybym teraz coś powiedziała, na pewno odkryłaby list.

– O nic.

Zawróciłam i zmusiłam się do pójścia do drugiego rzędu, myśląc o tym, że Sasha i Cade idealnie by do siebie pasowali.

Raz jeszcze się obejrzałam. Może nie powinnam się obawiać, że ona znajdzie list. Było przecież możliwe, że i mojego korespondencyjnego kolegę ktoś dzisiaj podsiadł. Wtedy nie zostawiłby listu.

A może Sasha zaraz go odkryje, bo wzrok miała wlepiony w blat, a głowę tak przekrzywioną, jakby czytała wypisane na nim słowa. Serce mi waliło. Lauren coś do niej szeptnęła i Sasha się roześmiała, skupiając się na czymś innym. Odetchnęłam z ulgą.

Przez resztę lekcji tak często oglądałam się za siebie, że Sasha w końcu dała mi znać chamskim gestem, co o tym myśli. Myślałam, że nic nie zauważy.

Pod koniec zajęć drzwi otworzyły się z piskiem i na salę wszedł Cade Jennings. Po prostu wspaniale.

– Mogę w czymś pomóc?

Cade przeskanował wzrokiem salę, kończąc na Sashy.

Uśmiechnęła się do niego, a on mrugnął. Wyglądało na to, że nie miała powodu tak się martwić. Cade podszedł kilka kroków bliżej i zwrócił się do nauczyciela:

– Kazano mi poinformować pana, że lekcja powinna się skończyć dziesięć minut wcześniej, żeby uczniowie zdążyli zgromadzić się na apelu.

– Naprawdę?

Kiedy Cade kontynuował ten swój kawał, zdaniem jego i jego

przyjaciół śmieszny, doszłam do wniosku, że choć jeszcze nie czytałam listu mojego korespondencyjnego kolegi, powinnam coś do niego napisać. Nie muszę się ograniczać do odpowiadania na listy. Napiszę do niego i podrzucę to, wychodząc.

Wyjęłam kartkę, podczas gdy nauczyciel na zastępstwie wertował swoje notatki, szukając potwierdzenia słów Cade'a.

*Już prawie nie ma czasu. A Twojego listu jeszcze nie czytałam.  
Długa historia.*

*Pamiętasz, jakiś czas temu chciałam zakończyć czymś pogodnym, a stanęło na tym, że opowiadałam o poniedziałkach i o tym, jakie są beznadziejne... w pewnym sensie grzebiąc to, co planowałam. Otóż cofam moją ocenę nieszczęsnych, niewinnych poniedziałków. Dziś rano, idąc do klasy, złapałam się na tym, że nucę. Czy nucenie w poniedziałki jest nielegalne? To ty jesteś za to odpowiedzialny.*

– Nic takiego tutaj nie widzę – oznajmił nauczyciel.

– I właśnie dlatego tu jestem, żeby pana poinformować – odparł Cade z tym swoim szerokim uśmiechem.

– Nazywasz się?

– Jack Ryan.

Powiedział to najzupełniej naturalnie, nie zaś niskim głosem wskazującym, że drwi sobie z nauczyciela. Za moimi plecami Sasha parsknęła śmiechem i wtedy właśnie nauczyciel zmarszczył czoło.

– Zaczekaj tu chwilę, młody człowieku.

– Chciałbym – zapewnił Cade – ale spieszę się na tajną misję.

– Ruszył do drzwi i wychodząc, pomachał Sashy. Roześmiała się i już go nie było.

Oburzony nauczyciel rozejrzał się po klasie.

– Ktoś zechce podać mi jego nazwisko?

Nikt się nie odezwał. Kusiło mnie, żeby to zrobić. Chciałabym, żeby Cade raz na jakiś czas dostał za swoje. Ale podobnie jak reszta klasy milczałam.

Zadzwoił dzwonek i się skrzywiłam. Pospiesznie dopisałam na kartce zakończenie: „Przepraszam, że tak krótko, za późno zaczęłam. Jutro nadrobię”.

Złożyłam list i powoli spakowałam swoje rzeczy. Teraz trzeba było tylko poczekać, aż wszyscy wyjdą. Wstałam i o mało nie wpakowałam się na podbródek Sashy.

– Masz coś do mnie? – warknęła.

Cofnęłam się o pół kroku. Powinna wiedzieć, że nie skwituje jednym chamskim gestem przyglądania się jej przez pierwszą połowę lekcji.

– Nie, nie mam.

– Wściekasz się, że cię podsiadłam? Chyba nie myślisz, że Lauren to twoja przyjaciółka, co?

Tego się nie spodziewałam.

– Nie – odpowiedziałam warknięciem.

– Cieszę się, że znasz swoje miejsce.

– Jakiś problem, dziewczęta? – zapytał nauczyciel na zastępstwie.

Na twarzy Sashy uśmiech pojawił się dopiero wtedy, gdy błysnęła nim przed nauczycielem.

– Nie, rozmawiamy o czekającym nas spotkaniu. Do zobaczenia.

– Odwróciła się, zabierając z sali swoje długie nogi i perfekcyjnie zrobione włosy.

– I tak nie chciałabym się z żadną z was przyjaźnić – powiedziałam o wiele za późno.

– Słucham? – zdziwił się nauczyciel.

– Nic takiego. – Poszłam na swoje stałe miejsce i przysiadłam, udając, że sznuruje but. Potem zamieniłam listy. Chwilę tam jeszcze zabawiłam, wpatrując się w blat, moją początkową platformę wymiany myśli z korespondencyjnym kolegą. Nauczyciel był zaabsorbowany pisaniem na tablicy, wyjęłam więc ołówek z gumką i wymazałam tyle, ile się dało na szybko.

Zadowolona, że nie będę już musiała się obawiać, że przeczyta to ktoś taki jak Sasha, podniosłam się i wyszłam.

Skreśliłam w pierwszy korytarz i przycisnęłam do piersi zdobyty właśnie list. Miło było mieć taką odskocznnię. Po spięciu z Sashą i akcji

pospiesznego wymazywania jeszcze waliło mi serce. Rozłożyłam list.

*Tak, powinnaś przestać wyśmiewać moje teksty piosenek. Myślę, że Flight and Fight doceniłoby moje sugestie. Już się szykowałam do napisania piosenki o wszystkim, czego nienawidzę w chemii. Byłaby naprawdę dobra. Okej, zgoda, skończę z tym. Może. Ale tylko jeśli zaczniesz mi pisać jakieś swoje teksty. Chcę je czytać. Nie pesz się, na pewno będę nimi zachwycony. Choć rozumiem to trzymanie ważnych spraw przy sobie. Mnie też ciężko się dzielić osobistymi sprawami... choć z jakiegoś powodu nie z Tobą.*

*Zastanawiałam się nad tą tradycją związaną z Dniem Dziękczynienia, o której opowiedziałaś mi kilka listów temu, i nad tym, jak mi się to spodobało. Może po prostu tęsknię za ciastem dyniowym. Może tęsknię za zwariowanym domem. Wygląda na to, że mamy całkiem odmienne problemy. Moja rodzina mnie ignoruje, Twoja jest aż nadto obecna. Może powinniśmy zebrać je do kupy i dzięki temu jakoś się dopełnią.*

*Może my już tak się dopełniamy...*

Ściana za moim plecami dobrze się sprawdzała w roli podpory. Miałam miękkie nogi. Może mój korespondencyjny kolega i ja wzajemnie się dopełnialiśmy. Może doskonale do siebie pasowaliśmy. Uśmiechnęłam się, ponownie przeczytałam ten list, potem starannie dołożyłam go do innych listów od niego, które miałam w plecaku.

Bujałam w obłokach przez całe dwie sekundy, bo wówczas uświadomiłam sobie, że aby do czegokolwiek doszło, musielibyśmy się najpierw spotkać. Ja na papierze nie byłam jednak taka sama jak w realu. To znaczy, zasadniczo taka sama, ale jednak mniej niezdarna. Powróciłam myślą do swoich dwóch spotkań z Davidem i do tego, jak strasznie niezręcznie się wtedy zachowywałam. Kimkolwiek był mój korespondencyjny kolega, to wiedząc już, kim jestem, niewątpliwie nie chciałby mieć już ze mną do czynienia. Choć może poznawanie kogoś najpierw przez listy było niezłym pomysłem.



Mogło wyjść na dobre... albo wręcz przeciwnie.

*Okej, Lily, uspokój się.* Przecież nie prosi cię o spotkanie. Stwierdził tylko, że moglibyśmy się dopełniać. To było po prostu jego spostrzeżenie. Powinniśmy kontynuować to, co jest. Bo to jest fajne. Nam jest z tym fajnie. Listy to świetna sprawa.

Albo... mogłabym przestać to ciągnąć, stawić czoło obawom i spotkać się z nim.

W kieszeni zawibrował mi telefon. Dostałam SMS-a od Isabel: „Gdzie jesteś? Spotkamy się gdzieś dzisiaj?”.

„Już idę” – odpisałam.

Kiedy pędziłam, żeby pójść z Isabel na obiad, korytarze były puste. Dlatego gdy pokonałam ostatni zakręt dzielący mnie od drzwi, stanęłam zaskoczona, widząc samotną sylwetkę na końcu korytarza. Lucas. Dziś miał na sobie ciemne džinsy i T-shirt. Ze słuchawkami na głowie kartkował podręcznik. Zmusiłam się, by iść dalej, choć serce tłukło mi się o żebra. Gdybym zaczęła go unikać, byłoby to zbyt oczywiste.

Może powinnam coś powiedzieć. Zaczęłabym od czegoś błyskotliwego w stylu: „Słuchasz muzyki? Super”. Trochę się z siebie pośmiałam. *Rzeczywiście błyskotliwie, Lily.* Nie, powinnam wymyślić coś naprawdę błyskotliwego. Ten jego T-shirt. Na pewno miał związek z jakąś niesamowitą kapelą. Oby z taką, której słuchałam, bo mogłabym przytoczyć jakiś tekst czy coś w tym stylu.

Zbliżyłam się do niego i przyjrzałam się koszulce. Na jej przodzie wyblakłym już błękitem wypisana była nazwa Metallica. Nic do wykorzystania. Rozczarowana opuściłam wzrok. I wtedy zauważyłam, że trzyma podręcznik do chemii. Uczył się chemii? Był przecież w ostatniej klasie. Mózg ostrzegł mnie, że za długo już stoję bez słowa.

Czym prędzej spojrzałam na niego. Przyglądał mi się, miał zdjęte słuchawki. Kiedy zdążył to zrobić?

– Cześć – powiedziałam.

– Hej.

– Jesteśmy sami na tym korytarzu. – *Co takiego, mózgu?*

*Zdecydowałaś się z siebie wydusić coś takiego? Wielkie dzięki.*

Ale kiedy Lucas obdarzył mnie swoim krzywym uśmiechem, uznałam, że to jednak jeszcze nie koniec świata.

– Rzeczywiście – odparł. – Ekstraglany.

Podniosłam nogę, jakby chciał z bliska przyjrzeć się moim martensom.

– Ze sklepu z używaną odzieżą.

Pociągnął za swój T-shirt.

– To też.

– Fajnie. Uczysz się chemii – powiedziałam jeszcze.

– Za drugim razem ma swoje uroki.

– Chodzisz na chemię...

Telefon znów rozbrzęczał mi się w kieszeni. Byłam pewna, że to Isabel. Lucas musiał też go usłyszeć, bo zwrócił uwagę na kieszeń.

– Isabel na mnie czeka.

Ponownie się uśmiechnął i pokiwał głową, jakbym starała się zakończyć tę rozmowę. Nie o to mi chodziło. Czułam jednak, że pozostało mi tak to rozegrać.

– Jeszcze... Jeszcze pogadamy – wyjąkałam.

– Jasne. – Gdy odchodziłam, znów wkładał słuchawki.

Czułam, że unoszę się nad ziemią. Lucas rzeczywiście mógł być... Nie, nie zamierzałam pozwolić swojemu mózgowi na snucie nierealistycznych scenariuszy tylko dlatego, że chciałam, żeby się ziściły. Ale... to przecież mogła być prawda. A przynajmniej mogłam dodać teraz Lucasa do listy możliwych wariantów.

Otworzyłam zeszyt na ostatniej stronie i napisałam tam jego imię, wielkimi literami. Gdy przeglądałam wszystkie poszlaki, miały one więcej sensu niż w przypadku tamtych, o których wcześniej pisałam. Serce zabiło mi mocniej. To mogłoby pasować. My moglibyśmy do siebie pasować.

## Rozdział 21

Następnego ranka obudziłam się uśmiechnięta i nie zmieniło się to nawet po przyjściu do szkoły. Postanowiłam w liście na chemii zasugerować korespondencyjnemu koledze, żebyśmy spotkali się twarzą w twarz. Miałam wrażenie, że sygnalizował taką chęć, a ja byłam już na to gotowa. Tak będzie idealnie. Zamierzałam mu nawet podpowiedzieć, gdzie powinniśmy się spotkać tego dnia po lekcjach – pod salą, w której mieliśmy kompozycję. Miałoby to symbolizować coś, co nas przede wszystkim zbliżyło – muzykę.

Westchnęłam radośnie, już wyobrażając sobie, jak Lucas czeka na mnie pod tą salą. Potem wróciłam do rozkładania korespondencji w przegródkach przypisanych poszczególnym nauczycielom w sekretariacie. Należało to do moich regularnych obowiązków jako pomocy biurowej na każdej czwartej lekcji. Uroczo bezmyślna czynność, nieprzeszkadzająca w marzeniach. Co zresztą dzisiaj mogłoby stanąć na przeszkodzie marzeniom?

Weszła pani Clark z kartonowym pudełkiem w rękach.

– Lily, chciałabym, żebyś to zaniósła panu Ortedze. To są arkusze powtórkowe, o których wydrukowanie prosił.

– Teraz?

Uśmiechnęła się.

– Nie, na następnej lekcji, kiedy już cię tu nie będzie. Oczywiście, że teraz.

– Ale pan Ortega ma teraz lekcję. Następną godzinę będzie miał wolną. Może więc powinna je zanieść pomoc biurowa z następnej godziny.

Pani Clark potrząsnęła głową.

– Potrzebuje ich już teraz. Korzysta z nich. Natychmiast.

– Aha.

Wepchnęła mi je w ręce.

– Proszę, pospiesz się.

Podniosłam się, ciężar pudła na moment wytrącił mnie z równowagi. Byłam prawie pewna, że mój korespondencyjny kolega ma

chemię na drugiej lekcji. Ale i tak brały mnie nerwy.

Wyszłam z sekretariatu, potem korytarzami i do budynku C. Potem weszłam do pracowni chemicznej i stanęłam z tyłu, nie spiesząc się z kolejnym krokiem. Widziałam w przednim rzędzie Isabel. Jej miejsce niezbyt nadawało się do dokonywania obserwacji. A w ostatnim rzędzie na moim siedzeniu tkwił jakiś chłopak z nisko pochyloną głową i coś pisał. Może tylko notował. Na pewno notował.

Pan Ortega machnął, żebym podeszła i wskazał swoje biurko. Podbiegłam tam i postawiłam pudło.

– Dzięki – powiedział nauczyciel i kontynuował lekcję.

Isabel uśmiechnęła się i mi pomachała. Postarałam się odpowiedzieć jej takim samym gestem i zaczęłam iść w stronę drzwi. Teraz tego chłopaka w tylnym rzędzie widziałam od przodu, nawet włosy spadające mu na czoło, kiedy wściekle zapisywał kartkę. Robił to tak jawnie. Dlaczego pan Ortega go nie upominał? *Bo robi tylko notatki*, powiedziałam sobie. Z wielkim zapalem... Śmiechu warte... Notatki z chemii.

Miałam wprawę w udawaniu.

Dlatego mogłam też udawać, że nie chodzi o Cade'a Jenningsa, choć nie ulegało wątpliwości, że nie pracował nad notatkami.

Całe udawanie jednak poszło psu na budę, kiedy zobaczyłam, jak składa tę kartkę na cztery i upycha pod blatem. Wybiegłam z sali, zanim mnie zobaczył, wcale się nie oglądając.

## Rozdział 22

Moim korespondencyjnym kolegą nie mógł być Cade.

Po prostu nie mógł.

Cade był gruboskórnym, samolubnym, aroganckim palantem. Nie miał nic z dowcipnego, myślącego chłopaka o wybitnym guście muzycznym. Moim korespondencyjnym kolegą powinien być Lucas. Przecież poprzedniego wieczoru już prawie sama siebie do tego przekonałam.

Cade zdecydowanie nie był kimś, kto mógłby stanowić moje dopełnienie. Głównie przez niego przestawałam nad sobą panować.

*Po co w ogóle wchodziłam wtedy do klasy?* – pytałam sama siebie z wściekłością, gnając korytarzem. Czemu nie poszukałam kogoś, kto doręczyłby za mnie tę paczkę? A teraz już nie mogłam tego nie wiedzieć. Skończyło się otrzymywanie idealnych anonimowych listów. Chciało mi się płakać. Chciało mi się wrzeszczeć. Miałam ochotę wrócić tam i powiedzieć Cade'owi, że nie wolno mu być dwiema całkiem różnymi osobami.

Poszukałam najbliższej łazienki, żeby zapanować nad nerwami. Nie pozwoliłam sobie na płacz. Cade Jennings nie będzie miał nade mną aż takiej władzy.

Oparłam się o wyłożoną kafelkami ścianę, pozwalając, by jej chłód przeniknął przez moją koszulkę i mnie orzeźwił. Całą długość przeciwległej ściany wypełniało lustro. Wśród szalonych fal moich włosów panował trochę większy nieład niż zwykle. Miałam na sobie zwyczajny brązowy T-shirt, obcisłe džinsy i ozdobione malunkami białe buty za kostkę. Była to jedna z moich zwyczajniejszych kreacji. Zdjęłam naszyjnik, który wieki temu zrobiła dla mnie Ashley, i przyjrzałam się zawieszkom – motylowi, kotu, kwiatkowi i nucie. W tym, czym ozdobiła ten naszyjnik, nie było ładu ni składu. Ot, wszystko, co w wieku dziesięciu lat uważała za słodkie. Teraz śmiała się ze mnie, że go noszę, ale ja go uwielbiałam.

Zacisnęłam naszyjnik w garści, mając nadzieję, że zaczerpnę z niego trochę pozytywnej energii lub czegoś w tym duchu. Ale moja

siostra miała rację. To było bezcelowe.

Zsunęłam się po ścianie i przyciągnęłam kolana do piersi. Nienawidziłam Cade'a Jenningsa. Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

*Dlaczego zawsze musi wszystko psuć?*

Wiedziałam, że ta myśl nie miała żadnego sensu. To, że Cade Jennings pisał te listy, powinno mi uprzytomnić, że nie jest kimś, za kogo zawsze go uważałam. Nie potrafiłam jednak pojąć, jak osoba z tych listów może być tym samym człowiekiem, który drwi z ludzi gorszych jego zdaniem od niego i który niesprawiedliwie potraktował mnie i moją przyjaciółkę. To nie mogła być prawda. To nie była ta sama osoba.

Do łazienki weszły dwie roześmiane dziewczyny. Na mój widok się zatrzymały. Wstałam, otrzepałam dżinsy i wyszłam.

\* \* \*

Na chemii bardzo powoli wyciągnęłam spod stolika jego list. Cała się trzęsłam. Po raz pierwszy miałam opory, by go przeczytać.

*Nucenie w poniedziałek? Czy kiedykolwiek w historii poniedziałków zdarzyło się już coś takiego? Wezmę na siebie winę za to, jeżeli Ty weźmiesz na siebie winę za to, że doprowadziłaś mnie do śmiechu w samym środku chemii.*

*Fatalnie, że nie będziemy mieli okazji przesyłania sobie listów w czasie ferii. Tydzień to szmat czasu. To znaczy, twój pomysł z samolotami niosącymi korespondencję między nami był niezły, miałem jednak na myśli tę nowinkę, którą dzisiejsze dzieciaki nazywają esemesowaniem. Co ty na to? A może mam być tylko facetem, który umila Ci lekcje chemii? Tak przy okazji, ten tytuł totalnie mi pasuje. Umilacz chemii. Nie. Kiepsko wyszło. Ty na pewno lepiej byś mnie nazwała. W końcu jesteś słowiarką. Słowiarką? Chyba jednak miałaś rację, zakazując mi pisanie tekstów.*

Ten list powinien mnie rozbawić, ale nabrałam po nim jedynie ochoty, żeby w coś przywalić. Złożyłam go dokładnie tak, jak wcześniej

zrobił to on i wetknęłam z powrotem pod blat. Cade nie wiedział, że pisuje do mnie. Równie dobrze więc adresatka jego listów mogła być dzisiaj nieobecna. I zamierzałam być nieobecna przez resztę roku szkolnego. Nie miałam ochoty odpisywać Cade'owi Jenningsowi. Nigdy więcej.

Kiedy lekcja dobiegła końca, wstałam, żeby wyjść.

– Lily! – zawołał pan Ortega. – Muszę z tobą porozmawiać.

Serce mi zamarło. Czyżby odkrył tę historię z pisaniem listów? Wpakowałam się w kłopoty za pisanie po blacie i marnowanie czasu na lekcji? Czy Cade znów miał zaciążyć na moim życiu? Gdybym mogła, zabrałabym wepchnięty pod stół list i związała. Nie chciałam, żeby pan Ortega go przeczytał. Gdy klasa opustoszała, powoli przeszłam na przód sali, gdzie za długim stołem czekał na mnie pan Ortega.

Chrząknął.

– Mam tu niezbyt pochlebny raport mojego zastępcy z dnia wczorajszego. Muszę powiedzieć, że jestem bardzo rozczarowany.

– Czym? – zapytałam.

– Przekazał mi, że nie tylko rozmawiałaś przez całą lekcję z Lauren, ale jeszcze wykonałaś wobec kogoś wulgarny gest, a po lekcji zaczepiłaś inną uczennicę.

Trochę za długo docierało do mnie, że nauczyciel na zastępstwie ze względu na naszą zamianę miejsc wziął mnie za Sashę.

– Aha, zamieniłyśmy się miejscami – wyjaśniłam. – Wziął mnie za kogoś innego.

– Przekazał też, że pod koniec lekcji wszedł młody człowiek, żeby zrobić mu kawał. To jeden z waszych kolegów, mimo to nie powiedzieliście mu, kto to taki.

– Nie jest moim kolegą – broniłam się, rumieniąc. Wyobraziłam sobie ten list pod stolikiem.

– To kto to był?

Czemu nie miałabym mu tego powiedzieć? Przecież nie byłam Cade'owi nic winna. Kompletnie nic.

– Nie powinnam tego mówić.

Pan Ortega zmarszczył czoło.

– Jestem bardzo rozczarowany. Przez dwa tygodnie będziesz

zostawać po lekcjach. Skrócę tę karę do jednego, jeśli znajdziesz w sobie odwagę cywilną i weźmiesz odpowiedzialność za swoje postępowanie.

– Ale...

– To wszystko.

\* \* \*

– Coś nie tak? – zapytała mnie Isabel na przerwie obiadowej.

Marzyłam o tym, żeby opowiedzieć jej, co się stało. Tylko o tym byłam w stanie myśleć. Nie wiedziałam jednak, jak zareaguje. Co zresztą miałabym gadać? Wyobraziłam sobie przebieg naszej rozmowy:

– Pamiętasz tamtego kolesia od korespondencji na chemii, o którym ci opowiadałam? To twój były. Pisywaliśmy do siebie z twoim byłym.

– Ten, którego nienawidzisz?

– Tak, ten, z którym zerwałaś, bo mnie nienawidził, a ja nienawidziłam jego. Ten, którego nadal nienawidzę. Okazuje się, że na papierze dobrze się dogadujemy. A nawet idealnie. I może przez resztę życia będziemy się spotykać listownie. Czad?

– Oczywiście, że czad, to znaczy, fajnie mi się z nim miziało i rozmawiało godzinami, a nawet miesiącami, ale hej, może być cały twój.

Nie. Nie tak by to wyglądało. Lepiej by więc było, żeby rozmowa na tak delikatny temat odbyła się nie na szkolnym gruncie. Na wypadek, gdybym miała się rozplakać albo gdyby ona rzuciła się na mnie z pięściami lub też nastąpiło coś równie dramatycznego.

– Możemy porozmawiać później? – zapytałam Isabel. – Po szkole. Muszę ci coś powiedzieć.

W jej brązowych oczach pojawiła się troska.

– Zabrzmiało to zagadkowo. Wszystko w porządku?

– Później. Później ci powiem.

Ścisnęła mnie za rękę.

– Okej. Później.



## Rozdział 23

Ten i tak długi dzień trwał jeszcze godzinę dłużej, bo przecież musiałam zostać po lekcjach. Podjeżdżając pod nasz dom, Ashley przyjrzała mi się uważnie.

– Jesteś dzisiaj jakaś osowiała. Odsiadka po lekcjach to nic takiego. Mnie przytrafiało się to prawie co miesiąc. To dobra okazja do odrobienia lekcji.

Nie miałam ochoty jej mówić, że nie ma to nic wspólnego z odsiadką po lekcjach, bo chodzi o to, że zawalił mi się świat zbudowany na pisaniu listów.

– Niezły pomysł – wymamrotałam.

– Zgadniesz, kto się ze mną umówił? – zapytała radośnie Ashley. Akurat miałam ochotę słuchać opowieści o jej, czy też kogokolwiek innego, życiu uczuciowym.

– Kto?

– Mark. Ten chłopak, który widział mnie z jedzeniem na zębach. Najwyraźniej udało mi się przeskoczyć dwa pierwsze etapy. Całe szczęście.

– Powiedział ci to? – zerknęłam na siostrę. – Mówił: „Ashley, najpierw uznałem cię za tajemniczą, potem za intrygującą, a później, gdy miałaś to jedzenie na zębach, odkryłem, że jesteś urzekająco zabawna. Zgodzisz się więc, żebym cię gdzieś zaprosił?”.

Ashley wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– W zasadzie tak właśnie było.

– To znaczy?

– Zaprosił mnie.

Złapałam plecak i wygramoliłam się z auta.

– Doszedł do tego najprawdopodobniej tak: „Hej, ta dziewczyna jest fajowa, warto więc z nią wyskoczyć. Bo przecież facetom tylko na tym zależy. Nie obchodzi ich osobowość ani zaintrygowanie”. – Sama słyszałam w swoim głosie gorycz, ale nie próbowałam się powstrzymywać.

– Oho. – Ashley uniosła brwi. – Doświadczona przez los?

– Tak, odblokowałam to osiągnięcie. Mam następny level.

– Słucham?

– Nic, nic. – Skierowałam się do swojego pokoju, licząc na trochę odprężenia z gitarą, zanim zadzwonię do Isabel.

Doszłam do pokoju. Powinno było do mnie dotrzeć, że coś jest nie tak, gdy zobaczyłam otwarte na oścież drzwi, a tym bardziej wysunięty w połowie spod łóżka futerał gitary. Powinno dotrzeć, ale nie dotarło. Wysunęłam futerał, absolutnie spokojnie. Zamki były otwarte, uznałam więc, że poprzedniego wieczoru ich nie domknęłam. Podniosłam wieko.

Najpierw rzuciło mi się w oczy, że wszystkie struny są luźne, a kilka całkiem zerwanych. To jeszcze nie wywołało u mnie popłochu, jedynie trochę rozzłościło. Struny łatwo wymienić. Potem jednak zobaczyłam zygzakowatą linię przecinającą w poprzek gryf, blisko pudła.

– Nie, nie, nie i nie. – Wyjęłam ją, a właściwie sam gryf, rozczapierzony na końcu jak grabie, kompletnie odłamany. Straciłam czucie w twarzy. – Nie! Mamo!

Mama bez tchu dopadła do drzwi.

– Co takiego? Co się stało? Źle się czujesz?

Podniosłam bezużyteczny teraz gryf.

Na jej twarzy niepokój przeszedł we współczucie.

– O nie. Co się stało?

– Jak to, co się stało? – wybuchłam, czując wzbierające łzy.

– Jonah się stał! Milion razy prosiłam, żeby trzymać go z dala od mojego pokoju.

Mama zmarszczyła czoło.

– Jonah to zrobił?

– A niby kto? Na pewno nie ja.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

– Już nic nie muszę wyciągać. Oto, co wyciągnęłam. – Wrzuciłam odłamany kawałek z powrotem do futerału i padłam na łóżko twarzą w dół.

– Och, kochanie. Coś wymyślimy.

– Co? – zapytałam stłumionym przez materac głosem. – Nie stać was na kupienie mi nowej gitary. Na tę pracowałam pół roku. Co tu

można wymyślić?

– Da się ją naprawić?

– Jest potrzaskana. To nie gładkie złamanie.

Materac się ugiął, bo mama usiadła obok mnie. Pogładziła mnie po plecach. Strąciłam jej dłoń. Zrozumiała sygnał.

– Tak mi przykro, Lil. Zaklepię dla ciebie wszystkie kiermasze – powiedziała czule. – Pomogę ci zarobić na nową.

Podniosłam głowę, ocierając oczy z łez.

– A czemu miałabym na nią zarobić? – zapytałam. – A to nie Jonah powinien pracować na kiermaszach, żeby mi ją odkupić?

– Ma siedem lat.

– Na tyle dużo, żeby wiedzieć, czego nie robić.

– Kochanie...

– Mamo? Możesz wyjść? Chcę zostać sama.

– Okej.

Nic więcej nie powiedziałam, a ona wstała i wyszła z pokoju. Słyszałam, że po zamknięciu drzwi zawołała Jonaha. Potem mieli rozmowę na korytarzu. Słuchałam jej z twarzą wciśniętą w materac.

– Jonah, czy połamane swojej siostrze gitarę?

– Co? Nie.

– Czy wszedłeś do jej pokoju i połamane jej gitarę?

– Nie! Nie połamane.

Świetnie, mamo. Dałaś mu szansę, żeby zaprzeczył. Rewelacja. Powinna wyjść od: „Wiem, że to ty połamane jej gitarę”, ale co tam. To już nie miało znaczenia. Była połamana. Przyznanie się Jonaha nic by nie zmieniło.

Usłyszałam zgrzyt klamki, a potem głos mamy:

– Daj jej teraz spokój. Później będziesz mógł porozmawiać.

Mama musiała wszystkim powiedzieć, że mają zostawić mnie w spokoju, bo przez resztę wieczoru nikt mnie nie nękał. Ani żywej duszy. Po latach szukania chwil samotności, wreszcie się doczekałam.

Wyjęłam zeszyt i przyjrzałam się piosence, którą zaczęłam. Nie mogłam teraz jej ciągnąć. Była o nim... o Cadzie. Wzdrygnęłam się. Umiałam tylko napisać piosenkę o Cadzie. Poszukałam czystej strony i przygotowałam ołówkę.

*Mówisz, że chcesz, by cię słyszano,  
więc list wypełniasz swoich słów pianą.  
Życie budujesz na oszukiwaniu,  
bo zależy ci w nim tylko na uznaniu.  
Ludzie mają cię widzieć tylko z jednej strony,  
wstuchani we wszystko, z czym zwrócisz się do nich.  
Bo ty łakniesz ich uwagi.  
To twe najsilniejsze dragi.  
Ty masz dwie natury,  
czyli dwa oblicza.  
Szukając kryjóWKi,  
dwie naraz zaliczasz.*

*I nienawidzę Cię, Cade, ponieważ jesteś największym palantem na tym świecie, i powinieneś na zawsze pójść w diabły i przestać mi wysyłać durne listy, w których udajesz kogoś fajnego i niezrozumianego.*

– Grrr. – Nawet moje protest songi zainspirowane Cade’em były lepsze niż to, co pisałam, zanim się nim zajęłam. Przekreśliłam te słowa na krzyż dwiema głęboko wrytymi w papier liniami. Potem przeszłam na ostatnią stronę zeszytu i wykreśliłam wszystkich moich podejrzanych. *Czemu to nie mogłeś być ty?* – pomyślałam, skreślając Lucasa.

Zerwałam ze ściany wycinek z gazety i zmięłam go w kulkę. Gdybym nawet potrafiła dokończyć jedną z piosenek, to i tak nie udałoby mi się napisać muzyki. A poza tym mowy nie było, żebym wystąpiła z piosenką mającą coś wspólnego z Cade’em. Cisnęłam tę kulkę w głąb pokoju. Dramatyzowałam, ale tym razem czułam, że to usprawiedliwione. Wszystko się pochrzaniło.

Wygrzebałam z kieszeni telefon i zadzwoniłam do Isabel.

– Hej, Lil! – powiedziała.

– Hej. – Myślałam, że udało mi się ukryć łzy, ale kiedy dodała: „Co się stało?”, pojęłam, że mi to nie wyszło.

– Jonah zniszczył moją gitarę.

– O nie! Jakim cudem?

– Nie wiem. Wykręca się, ale jest połamana. Kompletnie

połamana.

– Tak mi przykro – powiedziała cicho Isabel. – Wiem, jak bardzo kochałaś swoją gitarę. Jak ciężko na nią pracowałaś.

– Właśnie.

– Twoja mama zapewne ci ją odkupi, prawda?

– Nie stać jej na to, Iz. Przed wypłatą nie stać jej nawet na szpulkę nici dla mnie. – Do oczu znów napłynęły mi łzy. – A to nie jest jakaś tam szpulka nici.

– Totalna beznadzieja.

– Wiem.

– Ojej, Lil. Będzie dobrze.

– Rzecz w tym, że to było właśnie to coś, rozumiesz? – Łzy spływały mi po policzkach i nie potrafiłam ich powstrzymać. – To coś, w czym byłam naprawdę dobra. To coś, co dawało mi poczucie idealnego spokoju i szczęścia. Niewiele mi trzeba, ale tego czegoś potrzebuję. – Nie byłam już pewna, czy nadal mówię o gitarze.

– No to znajdziesz sposób, żeby zdobyć następną – oświadczyła z naciskiem Isabel. – To może potrwać, ale dasz radę.

Wiedziałam, że ma rację.

– Dam.

– Gdybym mogła, sama bym ci ją kupiła.

Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Od ciebie, Iz, czegoś takiego bym nie przyjęła.

– Wiem.

Pociągnęłam nosem i wytarłam go w rękaw.

– To co mi chciałaś powiedzieć na przerwie obiadowej? – zapytała Isabel po chwili.

Zawahałam się i zrozumiałam, że pragnę tę rozmowę przeprowadzić twarzą w twarz.

– Jesteś bardzo zajęta? – spytałam. – Mogłabym wpaść?

– Oczywiście, że możesz.

– Okej. Dam ci znać, kiedy dojadę.

Rozłączyłam się, pozbierałam listy od Cade'a i ruszyłam w stronę drzwi.

## Rozdział 24

Wpatrywałam się w Einsteina na suficie u Isabel, bo na nią wolałam nie patrzeć. Już lepiej, żeby osądził mnie Einstein.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Okej... – Isabel przeniosła się na krzesło przy biurku.

– Pamiętasz, że na chemii z kimś korespondowałam? – zwróciłam się do Einsteina.

– Tak. Chodzi o tę dziewczynę?

– O dziewczynę? – Osobę, z którą do siebie pisałyśmy, tak dawno temu przestałam uważać za dziewczynę, że trochę mi zajęło, żeby to sobie przypomnieć. – Nie. To znaczy tak, ale odkryłam, że to nie dziewczyna.

– Jak to odkryłaś?

– Z jednego z listów wynikało, że to chłopak. Sorki. Myślałam, że ci powiedziałam.

– Nic się nie stało.

Odczekałam chwilę. Czekałam na pisk podniecenia lub radosny pomruk. Na coś, co wskazałoby, że według niej dobrze się stało, że koresponduję z chłopakiem. Ale się nie doczekałam. Milczała. Pewnie dlatego, że wyglądałam na zrozpaczoną.

Usiadłam prosto, żeby widzieć jej twarz. Minę miała równie poważną, jak ja.

– Pamiętasz, jak lata temu zerwałaś z chłopakiem, bo przez niego psuło się między nami? – zapytałam od razu.

Kiwnęła głową.

– Masz na myśli Cade'a?

– Tak.

Zaśmiała się.

– Pewnie, że pamiętam. – Zawahała się i dodała: – Nie chciałabym, żebyś myślała, że Cade i ja zerwaliśmy tylko przez ciebie. Owszem, oboje tak się na siebie cały czas użalaliśmy, że miałam już tego dosyć. Ale między mną a Cade'em i tak by się nie ułożyło, nawet gdybyś nie była zamieszana w tę sprawę.

Przytaknęłam, a potem wyrzuciłam z siebie:

– To z Cade’em do siebie pisujemy.

Isabel milczała.

– Z Cade’em Jenningsem – powtórzyłam dla wzmocnienia efektu, nie do końca jeszcze wierząc w to, co mówię. – To z nim piszemy do siebie na chemii.

Przyciągnęłam sobie na kolana torbę, którą po wejściu rzuciłam na jej łóżko. Wygrzebałam z niej wszystkie listy i podałam Isabel. Moja najlepsza przyjaciółka jednak nawet nie spróbowała po nie sięgnąć.

– I zamierzam przestać z nim korespondować. Już teraz – oświadczyłam. – Dzisiaj mu nie odpowiedziałam, choć do mnie napisał. W ogóle już nie będę do niego pisała.

Nadal się nie odzywała, a ja odkryłam, czego w tej jej minie brakuje – zaskoczenia.

Wtedy mnie olśniło.

Isabel wiedziała.

Mówiłam jej, że z kimś koresponduję. A Cade, który na chemii był z nią w jednej grupie, pisał listy, ani trochę nie dbając o dyskrecję. No i się zorientowała. Na takie rzeczy Isabel zwracała uwagę.

Wstałam, wpychając listy znów do torby.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – chciałam wiedzieć.

– Ponieważ go nienawidzisz, a wydawałaś się taka podekscytowana tą korespondencją.

– Od jak dawna wiesz?

– Słowo daje, że od niedawna.

– Czemu nic mi nie powiedziałaś? Gdy zobaczyłam go dziś przy tym stoliku, poczułam, jakbym oberwała z liścia w twarz. Małe przygotowanie mnie na ten widok nie byłoby od rzeczy.

Isabel uniosła rękę.

– Wiem. Liczyłam na to, że z czasem z jego listów zaczniesz wynikać, że nie jest tym, z kim chciałabyś korespondować. Bo przecież go nienawidzisz.

Zmarszczyłam czoło.

– Pewnie, że go nienawidzę, ale w listach jest inny...

Isabel jeszcze bardziej spochmurniała.

– Zaczekaj. Spodobał ci się? Przez te listy?

Aż mną rzuciło.

– Nie! Wcale nie. Co ty mówisz? W życiu.

Isabel pokiwała głową, widać było, że jej ulżyło.

– A David ci się podoba, prawda?

– David... jest w porządku... sympatyczny...

Isabel westchnęła.

– Tworzylibyście idealną parę, gdybyście tylko dali sobie szansę.

– Czemu tak nalegasz, żeby zeswatać mnie z Davidem?

– zapytałam, opierając dłonie na biodrach.

Isabel wzruszyła ramionami, ale wyraz jej twarzy mówił wszystko.

– Uważałam, że bardziej będzie do ciebie pasował.

– Bardziej niż kto? – dociekałam.

– Niż ta druga opcja.

– Czyli Cade?

– Tak!

Uszła ze mnie cała para i do tego mnie zamurowało. Kierowała nią zazdrość. Nie chciała, żebym się dowiedziała, że koresponduję z Cade'em, bo była o niego zazdrosna. Chociaż nie chodzili ze sobą od dwóch lat i przestał się jej podobać, nadal czuła zazdrość.

– Przepraszam – podkreśliła znowu, cichszym głosem. – Ale to nie powinno mieć znaczenia. Przecież nie znosisz Cade'a, tak? Byłoby to zbyt niefortunne, biorąc pod uwagę całokształt. Przypominam, że dwa lata temu rozstałam się z nim ze względu na ciebie.

– Przecież nie rozstaliście się ze względu na mnie... Przed chwilą temu zaprzeczyłaś.

Wbiła wzrok w podłogę, potem szybko podniosła głowę, ale ja już swoje wiedziałam. Zerwała z nim ze względu na mnie. Dlatego że nie potrafiłam go polubić. Zawsze podejrzewałam, że to przez to, ona jednak stale zaprzeczała. I oto teraz miałam pewność.

– Wiesz, już nie będę wam wchodzić w paradę – ucięłam.

– Możecie do siebie wrócić.

Zatkało ją.

– Jestem teraz z Gabrielem. Nie potrzebuję powrotu tamtego.

– Ale i tak nie chcesz, żeby coś mnie z nim łączyło.



- Mówiłaś, że ty tego nie chcesz.
- Bo nie chcę. – Co się ze mną porobiło? – Już sobie pójdę.
- Ruszyłam w stronę drzwi.
- Lily, zaczekaj.
- Akurat teraz nie mogę tego zrobić.
- Ale jakoś przez to przejdziemy, prawda?
- Tak – zapewniłam ją natychmiast. – Ale nie akurat teraz.

\* \* \*

Było dopiero wpół do dziewiątej, a ja już leżałam w łóżku, wpatrzona w sufit. Tam w górze nie było osadzających mnie oczu, a jedynie gładka przestrzeń, a i tak czułam się fatalnie. Westchnęłam.

Czemu tak się wkurzyłam na Isabel? Jeden powód znałam – okłamywała mnie. Celowo. Zraniła mnie tym. Czy mogłabym znów jej uwierzyć?

Ale... czy nie gryzło mnie coś więcej niż ta utrata zaufania?

Może też, choć to mało prawdopodobne, chciałabym, żeby przyznała, że nie ma nic przeciwko temu, żebym zainteresowała się Cade'em.

Nie żebym była nim zainteresowana. Bo nie byłam.

A jednak w jakimś sensie rozumiałam zaborczość Isabel. Przed dwoma laty to ja doprowadziłam do rozpadu jej związku z Cade'em. Nie byłam dobrą przyjaciółką.

W domu wokół mnie panował hałas – w łazience obok moi bracia myli się przed snem, mama przez dwie minuty pokrzykiwała na nich, żeby umyli zęby, Ashley na korytarzu chichrała się przy telefonie, a tata apelował do niej, żeby robiła to ciszej. Zmusiłam się do zamknięcia oczu i wsłuchiwałam się w ten domowy harmider, żeby zagłuszyć zgiełk panujący w mojej głowie. Jutro na pewno będzie lepiej. Gorzej być nie może.

## Rozdział 25

*Wiesz, jakie to rozczarowanie, kiedy wyciągasz coś, co powinno być listem, którego się spodziewasz, i widzisz jedynie swój własny charakter pisma? Straszny dół. Pewnie jesteś chora. Dla Ciebie też to na pewno nic miłego, ale możesz sobie wyobrazić, przez co przechodzę. Żal mi Cię, że chorujesz. Mam nadzieję, że szybko z tego wyjdiesz.*



*Okej, a więc tak, to coś wyżej wygląda jak niekształtny żółw lub coś w ten deseń, ale to miała być miska z zupą. A to coś, co przypomina łebek żółwia, to łyżka. Już to widzisz? Nie? Więcej nie będę bawił się w rysowanie. Przepraszam, że przysporzyłem Ci dodatkowych cierpień, gdy dochodzisz do siebie po chorobie.*

*A teraz mały quiz. Jakiej muzyki słuchasz, kiedy jesteś chora? Tej samej co na co dzień czy jakiejś innej? Kiedy sam jestem chory, słucham strasznie rzewnej muzy. Nie wiem, skąd mi się to bierze, bo jak jestem zdrowy, nie znoszę takiej muzyki. Możliwe, że pomaga mi się nad sobą poużalać. Będziemy musieli więc ułożyć jakieś rzewne piosenki dla naszych fanów, żeby mieli czego słuchać, kiedy będą chorzy. Coś takiego jak... Już myślałaś, że wstawię tu jakiś swój tekst do piosenki, zgadza się? A ja przecież dostałem już nauczkę. I tego nie zrobię.*

*Jak tam życie rodzinne?*

Zamknęłam oczy. Nie miałam zamiaru odpisać. Absolutnie nie. Te listy pisał Cade. A on mnie nienawidzi. Ja też go nienawidzę.

Złożyłam list i wsunęłam z powrotem na miejsce. Jeśli przestanę do niego pisać, z czasem również mu przejdzie. Powinnam też przestać

je czytać. Wiedziałam o tym. To nie w porządku rezygnować z pisania, ale nadal oddawać się lekturze. Tyle że niezależnie od świadomości, kto je pisze, wciąż wywoływały u mnie dreszczyk, skłaniały do przytakiwania i uśmiechów rozbawienia.

Nie życzyłam sobie, żeby coś łączyło mnie z Cade'em. Nie miałam ochoty odkrywać, że jest zabawny. Znałam go od innej strony. I nie obchodziło mnie, czemu publicznie tak się właśnie zachowuje. Był już na tyle dorosły, by nie traktować ludzi jak śmieci tylko dlatego, że jego tata i ojczym źle się z nim obchodzili.

A ja byłam na tyle dorosła, by wyznać mu szczerze, że nie zamierzam już z nim korespondować.

Wyjęłam dwa listy spod stolika, wrzuciłam je do torby i spojrzałam na leżącą przede mną czystą kartkę. Nie zamierzałam być wredna. Nie chciałam go upokorzyć ani nic takiego, choć on tak by właśnie ze mną postąpił. Byłam ponad to.

*Nie chorowałam, ale i tak dziękuję za zupę żółwiową. Narysowana była tak okropnie, że mogłaby prawie uchodzić za dzieło sztuki. Prawie. A ja mam za sobą kilka fatalnych dni.*

Kiedy pisałam to ostatnie zdanie, zapiekło mnie pod powiekami. Miałabym ochotę opowiedzieć mu wszystko, co się wydarzyło. Napisałabym: „Najpierw odkryłam, że Ty to Ty. Potem mój braciszek połamał moją jedyną szansę na pogodzenie się z tym faktem, a z moją najlepszą przyjaciółką pokłóciłyśmy się jak jeszcze nigdy, a więc ona też nie pomoże mi przez to przejść”. Na to się jednak nie zdobyłam. Zastanawiałam się, jakich rad udzieliliby mi w sprawie mojego brata, w sprawie Isabel. Bo to przecież Cade Jennings. On miał miliony przyjaciół. Całe zastępy. A ja tylko Isabel.

*Pokłóciłam się z moją najlepszą przyjaciółką. Poza tym mój braciszek zniszczył coś bardzo dla mnie ważnego. Coś, czego nie da się łatwo zastąpić. Więc tak się na niego rozgniewałam, że kiedy próbował mnie dziś rano uściskać na przeprosiny, odwróciłam się do niego plecami. I nienawidzę siebie za to, że tak zrobiłam, ale nadal jestem na niego zła.*

Tym razem uroniłam łzę i zaraz ją starłam. Wciąż jeszcze miałam do siebie żal, że rano odwróciłam się plecami do Jonaha. Wyglądał na tak zgnębionego, a ja nie potrafiłam przewyciężyć złości na tyle, by go pocieszyć. I nawet nie przypuszczałam, że oczekuje się ode mnie, że to zrobię, ale sądząc po minie mamy, dla niej było to oczywiste. Temu dzieciakowi wszystko uchodziło na sucho. Może powinno do niego w końcu dotrzeć, że nie wszystko da się załatwić uściskami. No nie, znowu starałam się usprawiedliwić swoje poranne zachowanie.

*A potem pomyślałam sobie: to był tylko przedmiot. Rozumiesz? A mój braciszek to człowiek. Przedmiot nie może być ważniejszy od człowieka...*

A ty, Cadzie Jenningsie, nie możesz być ważniejszy niż moja przyjaźń. I jeszcze bardziej nienawidzę cię za to, że wchodzisz między nas. Tak właśnie powinnam napisać. Ale nie napisałam, skończyłam za to słowami: „Ale przynajmniej nie byłam chora”.

Nie taki list zamierzałam napisać. Ten, do którego zasiadłam, powinien zawierać zdanie: „Więcej nie będę co Ciebie pisać”. A to, co napisałam, nijak nie kojarzyło się z takimi słowami. Dlaczego więc złożyłam go i schowałam w stałym miejscu?

Po prostu potrzebny mi był ten ostatni list. Żeby móc oficjalnie zakończyć całą sprawę.

\* \* \*

Musiałam porozmawiać z Isabel. Znalazłybyśmy jakieś rozwiązanie. Trzeba było tylko dłużej o tym pomówić. Poprzedniego dnia za szybko wyszłam, nie przyjmując do wiadomości, że ja też mogę być czemuś winna. Właśnie to uświadomiłam sobie po lekcji chemii. Powinnam przeprosić Isabel, że musiała zerwać z Cade'em, bo byłam zbyt niedojrzała (i może nadal jestem), by pogodzić się z jego istnieniem, i że miała pełne prawo nie życzyć sobie, bym z nim korespondowała. Miałam nadzieję, że takie wyznanie może wszystko

naprawić. Tyle tylko, że nie znalazłam Isabel tam, gdzie zwykle czekała na mnie na przerwie obiadowej. Nie odpowiadała też na moje SMS-y. Nigdzie nie było jej widać. Prawdopodobnie mnie unikała.

Polazłam w stronę wózka z jedzeniem. Planowałam kupić sobie jakieś żarełko i poszukać spokojnego miejsca w bibliotece, żeby tam zjeść i porozmyślać.

Po mojej prawej stał David oparty o drzewo, skręciłam więc w lewo i obeszłam go szerokim łukiem. Wyczuwałam, że David spotykał się ze mną w jakimś sensie tylko dlatego, że wyświadczał tym przysługę Isabel. Żeby utrzymać mnie z dala od „tej drugiej opcji”. A ja nie potrzebowałam randek z litości.

Do wózka z kanapkami wiodły trzy kolejki, a ja wybrałam najgorszą z możliwych. Początkowo jeszcze tego nie wiedziałam. Po chwili jednak tuż za mną stanęli Cade, Sasha i reszta ekipy.

Wolałabym sobie pójść, ale to byłoby zbyt jednoznaczne... i zbyt cienkie.

Wyciągnęłam komórkę i udawałam, że czytam SMS-y.

Z tyłu doleciał mnie głos:

– Niezłe szorty.

To była Sasha. Wiedziałam, że chodzi jej o mnie. A raczej o dzinsy, w których ucięłam nogawki i naszyłam łąty. Nie zamierzałam się odwracać, żeby się upewnić, że o mnie mowa, ale gdy Cade się roześmiał, wzięła mnie taka złość, że to zrobiłam.

Otaczał ramieniem Sashę i to było coś nowego, bo kiedy widywałam ich wcześniej, to ona wieszała się na nim. Zastanowiło mnie, co się zmieniło. Spojrzałam mu prosto w oczy, tak jakby to z jego ust wyszedł ten komentarz, i powiedziałam:

– Przepraszam, nie zrozumiałam. Nie znam palanckiego.

Nawet nie mrugnął, przekrzywił jedynie głowę i odparł:

– A ja myślałem, że biegle nim władasz.

Coś takiego nie powinno mnie zabołeć. Przywykłam. Nasłuchałam się znacznie gorszych rzeczy. A jednak zabołało i nie chciałam, żeby to dostrzegł. Wyszłam z kolejki, niepewna, dokąd dalej iść, i nagle zobaczyłam Lucasa; siedział wśród kolegów i słuchał muzyki. Obecny i nieobecny zarazem.

Pomaszerowałam tam. Kiedy stanęłam przed nim, szarpnęłam za kabelek słuchawek. Spadły mu na kolana, a on, zaskoczony, spojrzął mi w oczy.

– Chcesz się gdzieś wybrać? – wypaliłam.

– Co? Teraz?

– Nie. W piątek, w ten piątek. Pojutrze. W Phoenix dają koncert w klubie bez ograniczeń wiekowych. Gra nowa kapela. Wybierzesz się ze mną? – Już zaczynały mnie zżerać nerwy, bo dochodziłam do siebie po tym brawurowym natarciu. Wszyscy znajomi Lucasa wpatrywali się we mnie w milczeniu. On też wbił we mnie wzrok.

– Pewnie – odpowiedział.

– Na pewno?

– Tak, wybiorę się. Spotkamy się tam o ósmej?

– Okej. O ósmej w piątek.

Gdy odchodziłam, udało mi się powstrzymać przed wrzaskami z radości i szalonymi podskokami.

## Rozdział 26

Następnego ranka, gdy szłam na pierwszą lekcję, Isabel podbiegła do mnie z determinacją w oczach. Kiedy mnie dogoniła, przystanęłyśmy obie.

– Nadeszła pora – powiedziała.

Uśmiechnęłam się, a ona wręczyła mi kilka kartek. Czyżby napisała do mnie list?

– Co to jest?

– Ostatnia rzecz, o jakiej myślałam zeszłej nocy przed położeniem się do łóżka.

Rozłożyłam kartki. Były to ogłoszenia przedrukowane z serwisu Craigslist. „Gitara akustyczna, mało używana. W doskonałym stanie. Nowe struny. Świetne brzmienie. 150 \$. Do negocjacji”. Inne były podobne do tego pierwszego, różniły się ceną.

Znów się uśmiechnęłam. Te ceny były o wiele przystępniejsze niż cztery stówy, ale i one przekraczały moje możliwości. Zerknęłam ostrożnie na Isabel, świadoma, że to podarunek na pojednanie, ale mając też sobie za złe, że nie przygotowałam niczego takiego.

– Przepraszam – powiedziałyśmy równocześnie. Potem na naszych twarzach pojawił się uśmiech.

– Pozwól, że ja zacznę – rozpoczęła. – Powinam ci wyjawić, że to Cade. – Rozejrzała się i zniżyła głos. – Strasznie mi przykro, że tego nie zrobiłam. To było nie w porządku z mojej strony i mogę sobie wyobrazić, jak się czułaś, kiedy odkryłaś, z kim dzielisz się swoimi przemyśleniami. I nawet nie przyszło mi do głowy, że możesz opowiadać mu o takich sprawach, o których akurat on nie powinien się dowiedzieć. Naprawdę myślałam, że to tylko listy o muzyce.

– Ja też cię przepraszam. Powinam pokazać ci te listy, bo wtedy byś to wiedziała. I naprawdę ogromnie mi przykro, że weszłam wam w paradę, kiedy byliście parą.

Potrząsnęła głową tak mocno, że jej włosy poleciały najpierw w jedną stronę, potem w drugą.

– Nie. Nie obwiniaj się o to, proszę cię. W ten sposób można

rozbić tylko coś, co się już rozpadło.

Uściskałam ją, wierząc w jej szczerą, choć przecież wiedziałam, że do pewnego stopnia nadal uważała, że stało się to przeze mnie. Nie miałam jednak o to do niej pretensji, bo wiedziałam, że w pewnym sensie tak właśnie było.

– Jesteś najlepszą przyjaciółką na tej planecie. – Podniosłam ogłoszenia z Craigslist. – I dziękuję też za to.

– Wiem, że te tutaj nie dorównają twojej gitarze – powiedziała Isabel, kiwając głową. – Oszczędziłaś dość, by kupić naprawdę niesamowity instrument. Ale to też coś, prawda?

– Tak. Są idealne. Może za kilka tygodni będę mogła sobie na taką pozwolić. – *Może uda się to nawet przed końcem konkursu*, pomyślałam, czując przyływ nadziei. A gdybym wygrała, stać by mnie było nie tylko na gitarę. – Dziękuję, Iz.

– Nie ma za co – odparła z uśmiechem.

Gdy wkładałam kartki do plecaka, akurat rozległ się pierwszy dzwonek.

– A tak w ogóle... umówiłam się z Lucasem.

Isabel wytrzeszczyła oczy.

– Umówiłaś się? Kiedy?

– Wczoraj – odpowiedziałam, już czując zdenerwowanie.

– Zaprosiłam go na ten weekend na koncert. – Odwróciłam się do niej.

– Obiecuj mi, proszę, że wy z Gabrielem też się ze mną wybieriecie.

– Oczywiście! – Isabel objęła mnie. – Wierzyć mi się nie chce, że się z nim umówiłaś.

– Mnie też nie! I że się zgodził. – Wciąż jeszcze byłam w szoku.

– Nic dziwnego, że się zgodził. – Isabel mnie szturchnęła. – Cały czas próbuję ci to powiedzieć. Gdy jest się Lily Abbott, nie trzeba się uciekać do korespondowania po kryjomu.

Roześmiałam się zawstydzona.

– Nie dajmy się ponieść.

– No a jak to było? – zapytała.

– Co: jak było?

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Przecież przestałaś korespondować z Cade'em? Dobrze cię znam.



Pewnie poczułaś potrzebę wyjaśnienia mu tego w liście. Co napisałaś?  
Załamalam rękę.

– Jeszcze nie byłam w stanie mu tego wyjaśnić. Ale to zrobię. Na pewno.

– Wiem, że to zrobisz. W końcu chodzi o Cade’a Jenningsa. O śmiertelnego wroga numer jeden. – Zaśmiała się, raz jeszcze mnie uściskała, a potem się odwróciła i poleciała na swoją pierwszą lekcję.  
– Do zobaczyska.

Dobrze powiedziane. Śmiertelny wróg numer jeden.

*Tak mi przykro. Wygląda na to, że dotknęło Cię coś gorszego od choroby – że złapałaś doła. Mogę Ci jakoś pomóc? Nigdy jeszcze nie brałem się za łby z najlepszym przyjacielem, ale na pewno nie jest to fajne. Jestem jednak przekonany, że w końcu się ułoży.*

*Co takiego zniszczył Twój brat? Nie mam młodszego rodzeństwa, nie muszę więc obawiać się czegoś takiego. Wiem jednak, jakie bywają dzieciaki. Od pierwszej klasy, w ramach wolontariatu, pomagam przy treningach dziecięcej ligi. Z dzieciaków potrafią być małe cholery, ale nawet to lubię. Są fajne. Czekał, zaczęło się przecież od tego, że Ci współczuję. Dzieciaki są do kitu. Powinniśmy się rodzić dorośli. Lepiej? A tak na poważnie, gdybym miał coś nie do zastąpienia i by mi to zniszczono, na pewno bym się wkurzył. Nie gryź się więc swoją reakcją na zachowanie braciszka. Jak brzmiała ta niesamowita rada, jakiej udzieliłaś mi kilka listów temu? Weź się w garść. Głowa do góry. Do tego ta genialna piosenka, na której posłuchanie namówiłaś mnie kilka listów temu. Posłuchaj jej.*

To było to. Jego ostatni list, jaki przeczytam. Mogłam sobie więc pozwolić, żeby wywołał u mnie lekki uśmiech. Gniew jednak zaraz powrócił, bo przypomniałam sobie ten jego wczorajszy komentarz z przerwy obiadowej, dotyczący „biegłości w palanckim”. A po ponownej lekturze listu znowu złagodniałam. Takie to wszystko pokręcone.

Ni stąd, ni zowąd zaczęłam się zastanawiać, co tam u niego. Przez kilka ostatnich listów rozmawialiśmy tylko o mnie. Ciekawa byłam, czy w każde świąteczne ferie liczył na telefon od taty. Cóż to za koszarne uczucie: być porzuconym przez kogoś, od kogo oczekuje się miłości. A teraz ja też przymierzałam się do tego, żeby go porzucić.

Potrząsnęłam głową. Nienawidziłam go też za to, że zmusił mnie, bym go żałowała. Za to, że pokazał mi się z innej strony. Czułam, że właśnie to – ta osoba z listów – to jego prawdziwa natura. Ale co z tego, że to wiedziałam? Nigdy publicznie nie ujawniał tej strony siebie. Odpisałam mu.

*Wiesz, Twoja niesamowita rada okazała się właśnie tym, czego potrzebowałam. Wzięłam się w garść, a w chwili gdy podniosłam głowę, poczułam się o sto procent lepiej. Któżby pomyślał, że taka drobna rada tyle zdziałała? A przy okazji, „namówić” to dość mocne określenie. Wydaje mi się, że tylko zasugerowałam Ci posłuchanie tamtej piosenki. Jeśli moje sugestie budzą u Ciebie niepowstrzymane pragnienie dostosowania się do nich, to już Twój problem.*

*Nie no, naprawdę czuję się dziś trochę lepiej. Rano pogodziłyśmy się z przyjaciółką. Wydaje się, że jest dobrze. Jeśli jeszcze nie tak całkiem, to wkrótce będzie, jestem tego pewna. Z bratem trzymamy się na dystans. Wiem, że niedługo zmiękne, bo to w końcu oczko w głowie całej rodziny, i choć bywa wkurzający, uwielbiam tę jego buźkę. Choć jeszcze nie przyznał się do tego, co zrobił. A mnie ciężko znieść ludzi, którzy w jednej sytuacji postępują tak, a kiedy indziej kompletnie inaczej. Jak tylko się określi, poczuje się o wiele lepiej.*

Zgoda, może to ostatnie stwierdzenie świadczyło o postawie bierno-agresywnej, ale nic na to nie mogłam poradzić. Musiałam to z siebie wyrzucić. Wetknęłam list w stałe miejsce i nawet udało mi się przez resztę lekcji skupić na chemii.

## Rozdział 27

Twoje siedzenie po lekcjach naprawdę utrudnia mi życie.

– Cześć, Ashley, mnie też miło cię widzieć. – Zatrzasnęłam drzwi auta, a siostra wyjechała z parkingu. – Skąd ten pośpiech?

– Muszę zdążyć do pracy.

– To czemu nie przyjechała po mnie mama?

– Ma jakiś kiermasz rękodzieła, ale nie tu w mieście.

– W czwartek po południu?

– Szczegółów nie znam. Ją zapytaj.

Umilkłam. Potrafiłam wyczuć, kiedy moja siostra kończy temat.

Podniosłam rękę i ściągnęłam z włosów przytrzymującą je gumkę, a potem przeczesalam je palcami.

– Mama mówiła, że ktoś dziś wpadnie po Wyatta, żeby go zabrać na jego pierwszy trening w klubie bejsbolowym – dodała Ashley. – Masz więc dopilnować, żeby zaraz coś zjadł.

– Okej.

– A kolacja, mam wrażenie, będzie taka, jak lubisz.

Oznaczało to płatki z zimnym mlekiem.

– Okej.

Zatrzymała się tylko na tyle, żebym zdążyła wydostać się z samochodu, i już jej nie było.

– Dzięki za podwózkę – powiedziałam jej tylnym światłem.

W domu wrzasnęłam w stronę pokoju telewizyjnego:

– Wyatt, jemy. Masz trening bejsbola.

Potem poszłam do siebie i zamieniłam dzinsy na luźne szorty, bluzkę na koszulkę na ramiączkach, a balerinki na wełniane zakolanówki. Te skarpety to dlatego, że miałam ochotę ubrać się jak na lato, gdy praktycznie rzecz biorąc, zbliżała się zima. Arizońska, ale jednak zima. Czułam się fajnie aż do momentu, gdy potknęłam się o skraj futerału gitary. Warknęłam na niego i całkiem wkopałam pod łóżko. Skrzypnęły drzwi.

– Oj, proszę pukać – powiedziałam. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam w szczelinie drzwi Jonaha.

Otworzył je szerzej, ale nie przestąpił progu. Powinnam rozłożyć szeroko ręce i pozwolić, by do mnie podbiegł, ale tego nie zrobiłam. Obdarzyłam go krzywym uśmiechem.

– Tak?

– Nałożysz mi płatki?

– Koleś, sam umiesz to zrobić.

Marszcząc czoło, spojrzał w kierunku przestrzeni pod moim łóżkiem.

– Ja tego nie zrobiłem.

Westchnęłam.

– Jonah, to bardzo ważne, żeby umieć się przyznać, kiedy robimy coś złego. Bo skoro nie chcesz mi powiedzieć, co zrobiłeś, jak miałabym uwierzyć, że ci przykro?

Wysunął dolną wargę.

– Przykro mi, że mnie nienawidzisz.

Ponowne westchnienie.

– Jestem zła, bo mam połamaną gitarę, a także dlatego, że bez pytania ruszasz moje rzeczy. Ale nie nienawidzę cię. Nigdy bym cię nie znienawidziła.

– Ja tego nie zrobiłem.

Szkoda gadać. Któregoś dnia prawda wyjdzie na jaw. Ale nawet wtedy nie będzie to miało znaczenia. Moja gitara nadal będzie połamana.

– Dobra już, idź zjeść.

Usiadłam na łóżku i podłączyłam swój telefon do wieży stereo, podkręcając głośność na tyle, ile mogłam wytrzymać. Słuchanie Blackout niekoniecznie sprzyjało relaksowi, na jaki liczyłam – bo przywodziło na myśl Cade'a oraz listy. Nie zamierzałam jednak pozwolić mu na zepsucie mi mojej ulubionej kapeli. Jeszcze bardziej więc podgłośniłam muzykę.

Otworzyłam zeszyt i przyjrzałam się rysunkowi, który zaczęłam podczas swojej odsiadki. Nie byłam pewna, co mi się w tym szkicu nie podoba.

W drzwiach pojawił się Jonah. Poruszał ustami, ale słyhać było jedynie muzykę. Wyłączyłam więc piosenkę.

– Ktoś przyszedł – oznajmił.

– No, dobra. – Wstałam. Pomyślałam, że mama jednego z kolegów Wyatta z drużyny przyszła po mojego brata.

Gdy wyszłam za załom korytarza, w otwartych drzwiach stał jednak Cade Jennings.

Na pewno było po mnie widać szok. Na twarzy Cade’a też malowało się całkowite zaskoczenie. Byłam zszokowana do tego stopnia, że zatrzęsłam mu drzwi przed nosem.

Skąd tutaj Cade? Czyżby poznał prawdę na temat listów? Serce mi waliło. Chyba było za późno, by lecieć się przebrać. Już widział mnie i moje zakolanówki. Cofnęłam się o krok i wtedy usłyszałam, że Cade trzykrotnie zastukał. Spróbowałam jeszcze przyglądzić niesforne włosy, dałam sobie z tym spokój i otworzyłam drzwi.

Początkowe zaskoczenie Cade’a ustąpiło miejsca normalnemu u niego samozadowoleniu. Obrzucił spojrzeniem moje włosy i ubranie.

– Stul dziób – przezornie uprzedziłam komentarz.

– Nic nie mówiłem.

– Ale twoja twarz tak.

– Serio? I co ci powiedziała?

– Wiesz, co mi powiedziała.

Zaśmiał się, a potem wzruszył ramionami.

– Po co przyszedłeś? – zażądałam wyjaśnień.

– Mam być trenerem Wyatta. Dzisiaj jest trening.

– Aha. – Brr. Cade trenerem mojego brata? Nic dziwnego, że tak się zdziwił na mój widok. Widocznie nie wiedział, że jestem siostrą Wyatta. – Okej. Tylko bądź dla niego miły... Proszę – dodałam.

Cade pozwolił sobie na ironiczny uśmieszek.

– Będę. Siostry się nie wybiera.

Zirytowana westchnęłam.

– Racja. Pójdę po niego.

Miałam nadzieję, że Cade zostanie przy drzwiach, ale zamiast tego poszedł za mną do kuchni. Wyatta jednak tam nie było, jedynie Jonah siedział przy stole, zajadając swoje płatki.

Zerknęłam na Cade’a i zobaczyłam, że ogląda podeszwę swojego drogiego snikersa. Najwyraźniej wdepnął w kupkę płatków Fruity Pebbles. Rewelacja. Przyglądałam się, jak wyciera stopę w płytki

podłogowe, a potem opiera się o ladę, o mało nie przewracając sterty miseczek, w połowie jeszcze pełnych mleka.

Jęknęłam w duchu. Oto w moim domu był Cade i znów mnie osądzał, uzupełniając swoją listę o nowe kryteria. Zebrałam miski i wstawiłam do zlewu.

Do kuchni wbiegł Wyatt.

– Cześć, trenerze! – zwrócił się do Cade’a. – Jestem gotów!

– Ty na pewno jesteś Wyatt.

Brat kiwnął głową, potem spojrzał na mnie.

– Coś nie tak, Lily? – zapytał. – Wyglądasz na wściekłą.

– Naprawdę?

– Jeszcze się wściekasz, że Jonah...

– ...zjadł resztę płatków Lucky Charms? – wtrąciłam szybko.

– Tak, wściekam się.

– Nie zjadłem reszty płatków Lucky Charms! – zaprotestował Jonah od stołu.

– To gdzie są?

Jonah mruknął: „Nie wiem” i wrócił do jedzenia swoich płatków.

Wyatt zmarszczył nos i prawdopodobnie chciał zaprzeczyć temu, co powiedziałam, więc się odezwałam:

– Lepiej już idź. Nie chcesz się spóźnić.

Cade skierował się do drzwi, a ja zatrzymałam Wyatta.

– Hej – szepnęłam. – Nie wspominaj swojemu trenerowi o mojej połamanej gitarze, okej?

– Dlaczego? – zapytał szeptem Wyatt.

*Bo gdyby zaczął za dużo o tym rozmyślać, mógłby dojść do wniosku, że historia z połamaniem mojej gitary przez mojego brata zanedo kojarzy mu się z pewnym listem, który niedawno czytał.*

– Dlatego że nie chcę, żeby źle myślał o Jonahu.

– Nie lubiłby Jonaha, gdyby się dowiedział? – zapytał Wyatt.

– Po prostu nie powinniśmy przy innych mówić źle o Jonahu.

– Okej – obiecał Wyatt i pognął do drzwi.

\* \* \*

Od dwóch godzin niecierpliwie czekałam na powrót braciszka.

Usiłowałam zająć uwagę szyciem, potem pisaniem i wreszcie rysowaniem, ale nic to nie dawało. Kiedy około wpół do ósmej zobaczyłam podjeżdżający samochód Cade'a, otworzyłam drzwi wejściowe i stanęłam na ganku, wypatrując nadbiegającego Wyatta. Zaczekałam, aż się odwróci i pomacha Cade'owi. Gdy tylko Cade odjechał, zapytałam:

– I co? Jak było?

Wyatt promieniał.

– Było wspaniale! Uwielbiam bejsbol. Wszyscy dostaliśmy ksywki. Chcesz poznać moją?

To oczywiste, że Cade wszystkim nadawał ksywki.

– Tak – potwierdziłam, już teraz zaniepokojona.

– Różowa Błyskawica!

– Różowa błyskawica?

Wyatt podniósł nogę. Z boku jego bejsbolowego buta z korkami widniała jaskraworóżowa łyżwa Nike. Mama pewnie kupiła je, jak wiele innych rzeczy, w sklepie z używaną odzieżą.

– No. Kiedy trener Cade tak mnie nazwał, dzieciaki uznały, że to śmieszne. I śmiały się. Ale potem już wszystkim się podobało.

Ze względu na brata zdusiłam w sobie gniew. Nie chciałam, by źle się z tym poczuł. A było to przezwisko, z którego wszyscy będą się śmiać całymi tygodniami i przypominać sobie, że się im spodobało.

– To wesoła ksywka – powiedziałam w końcu.

– No. Dobra jest.

– Tak, leć pod prysznic.

Już wychodził, ale się zatrzymał.

– Lily?

– Tak, Wyatt?

Wbił wzrok w podłogę.

– Mmm... Nieważne.

Zmarszczyłam czoło. Czyżby przez Cade'a poczuł się głupio? Wolałam go nie pytać, bo może tak nie było. Chciałabym jednak, żeby mój braciszek zdobył się na porozmawianie o tym ze mną. Żeby wiedział, że nie musi tego znosić w samotności.

– Pewien jesteś, że nie chcesz mi nic powiedzieć? – spytałam

łagodnie.

Wyatt powoli pokiwał głową.

– Tak, jestem pewien.

Wyattowi może taka rozmowa nie była potrzebna, ja jednak zamierzałam na ten temat porozmawiać. I to u samego źródła.

\* \* \*

W piątek przed lekcjami przeczesalam korytarze, nie miałam bowiem pewności, jak wyglądają poranki Cade'a. Wiedziałam, że już jest, bo zauważyłam jego samochód na parkingu. Zazwyczaj starałam się unikać Cade'a, dzisiaj jednak było całkiem inaczej. Krew mi wrzała. Nawet oczy mnie piekły.

Stał samotnie, wpatrzony w swoją szafkę, jakby zapomniał szyfru lub coś w tym stylu.

Podeszłam prosto do niego i dziabnęłam go palcem w ramię.

– Jak śmiałeś?

Odwrócił się do mnie, na jego twarzy malowało się znużenie.

– O co ci chodzi?

– Przeważałeś mojego brata Różową Błyskawicą? Żeby dzieciaki go wyśmiewały?

Brwi Cade'a podjechały do góry.

– Tak właśnie powiedział? Że dzieciaki go wyśmiewały?

– Tak. Powiedział, że się z niego śmiały.

– Przez chwilę.

– A nie śmiałyby się w ogóle, gdybyś nie nadał mu takiego przezwiska – wyrzuciłam z siebie.

– Serio? Naprawdę tak myślisz? A widziałaś buty, w jakich twój brat chodzi? Wiedziałem, że kpiliby sobie z niego. Musiałem uciąć to już na początku.

– Wychodząc z tym jako pierwszy?

– Podkreślając, że to celowe. A nawet hitowe.

To, co zamierzałam powiedzieć, cokolwiek to było, gdzieś mi uciekło. Stałam tylko i gapiłam się na Cade'a.

– Nie ma za co – powiedział. – Mamy to już z głowy? Uwolniłaś już świat od domniemanej nieprawości? – Zanim zdołałam



odpowiedzieć, już szedł gdzieś dalej. Odwrócił się jeszcze i dodał:

– A w ogóle kto kupił mu te korki? To tego kogoś powinnaś się czepiać.

– I odszedł, nie czekając na moją odpowiedź.

Warknęłam, a potem spojrzałam na jego szafkę, której w końcu nie otworzył. Czy zapomniał o tym dlatego, że mu przeszkodziłam, czy zanim nadeszłam, już coś z niej wyjął? A jeśli tak, to czemu nadal tam stał i się w nią wpatrywał? Ale nie zamierzałam przejmować się Cade'em. Nie potrzebował mojej troski. Sam aż za dobrze się o siebie troszczył.

## Rozdział 28

Gdy podczas czytania listów od Cade'a wyobrażałam sobie jego twarz, tyleż mnie to wkurzało, co sprawiało dziwną satysfakcję. Wkurzałam się, bo dobrze wiedział, jakie z niego ciacho, co musiało mnie złościć. Czułam satysfakcję, bo fajnie było móc powiązać słowa z jakąś twarzą. Stawały się dzięki temu bardziej osobiste.

Nawet jeśli ta twarz była wkurzająca...

*Pogodziliście się z Twoim bratem? To już prawie Święto Dziękczynienia. Nie wiem, czemu miałyby to mieć coś wspólnego z pogodzeniem się z bratem, ale święta zawsze wydają mi się dobrą okazją... właściwie chyba do wszystkiego. Jest Dzień Niepodległości, zbierzmy rodzinę przy stole i się najedzmy. Jest Wielkanoc, lepiej więc wybaczymy sąsiadowi, który zniszczył nam płot. Jest Dzień Prezydenta, to kupmy kanapę. Moja mama w ostatni Dzień Prezydenta kupiła kanapę. Nawet nie wiedziałem, że potrzebna nam kanapa. Dlatego myślę, że kupiła ją dlatego, że akurat było święto. Chyba zbaczam z tematu. O co mi chodziło? Już Święto Dziękczynienia (no prawie). Dobra pora, żebyś zrobiła to, co zamierzasz zrobić. Ja też zrobię swoje.*

Tak właśnie zakończył ten list. Ogólnikiem sprawiającym, że umierałam z ciekawości, czym było to jego „swoje”. Co zamierzał zrobić?

Zagryzłam wargę. Czy nie zaklinałam się, że już mu nie odpiszę? Cóż jednak znaczył jeden list więcej wobec wszechrzeczy?

*Co takiego zamierzasz zrobić? Wysłuchać całej dyskografii Pink Floyd za jednym posiedzeniem? Ja o czymś takim myślałam. Może to właśnie będzie moje zadanie na Święto Dziękczynienia, bo z bratem w pewnym sensie się pogodziliśmy. A przynajmniej ja pogodziłam się z tym, że nigdy nie przyzna się do tego, co zrobił. Bo to jednak mój brat. Właśnie tak. Do pełnego załatwienia sprawy brakuje jeszcze oficjalnych uścisków. Bez nich nie może się obyć żadne pojednanie, bo uściski mają magiczną moc uzdrawiającą.*

*Poza tym nie miałam pojęcia, że w Dzień Prezydenta kupuje się kanapy. Moja rodzina ma trochę do nadrobienia. A skoro mowa o nadrabianiu... Co u Ciebie? Wszystko gra?*

Wsadziłam list na miejsce, zła na siebie. Czułam się jak jakiś ćpun, który nie może uwolnić się od nałogu. Przez to jeszcze bardziej wkurzałam się na Cade'a. Ale przecież to był ostatni dzień przed świątecznymi feriami. Tydzień wolnego na pewno pozwoli mi wyjść z nałogu. Będzie niczym detoks. *A jeszcze lepszym detoksem,* pomyślałam z uśmiechem, *będzie wyjście z Lucasem.* Za jakieś osiem godzin będę żyła już tylko tym.

\* \* \*

*Siedzenia po lekcjach dzień czwarty. Jeszcze tylko sześć. Jak dotąd nie jest aż tak źle,* wyliczałam w myślach, otwierając drzwi, by zacząć odsiadkę.

A gdy już tam weszłam, zobaczyłam Sashę; zajmowała miejsce, na którym zwykle siadałam, na tyłach sali.

Oczywiście, że mnie podsiadła. Specjalizowała się w tym.

Zastanawiałam się, co takiego zrobiła, że dziś tutaj wylądowała. Chociaż w sumie powinna być tu stałym klientem, bo przecież odsiadywałam wyrok właśnie za nią.

Zajęłam miejsce po przeciwnej stronie sali. Obok Sashy siedziała śliczna dziewczyna z ostatniej klasy. Nie wiedziałam, jak się nazywa, ale obie trajkotały na potęgę. Spróbowałam się od nich odciąć, szkicując w zeszyte projekt bluzki. Wszelkie topy szyje się o wiele trudniej niż spódnice, gotowa jednak byłam się z tym zmierzyć. Wymyśliłam sobie krótką bluzeczkę z szerokim dekoltem. Zeszłego wieczoru wyciągnęłam swoją maszynę do szycia i wyszukałam w resztkach najlepszy materiał. Teraz pozostawało tylko wykombinować, jak to zrobić.

Wspaniale sobie radziłam z blokowaniem donośnego głosu Sashy, gdy nagle wymówiła to imię: Cade.

Nastawiłam uszu.

– To teraz chodzisz z Cade’em? – zapytała dziewczyna z ostatniej klasy.

Mnie też to zaciekawiło. Ołówek zastygł mi nad kokardą, którą właśnie rysowałam.

– Tak – odparła radośnie Sasha.

– Jak to się zaczęło?

– Któregoś dnia ni stąd, ni zowąd umówił się ze mną. To było urocze.

– Czemu?

– Czemu co?

– Czemu się z tobą umówił?

– A czemu nie? Powinnaś spytać, czemu z tym tyle zwlekał.

W końcu dotarło do niego, co traci.

Wróciłam do rysowania. No i świetnie. Wspaniale. Sasha i Cade zostali parą. Na świecie zapanował porządek. Cade znalazł kogoś, kto idealnie do niego pasował.

## Rozdział 29

Kapela Frequent Stops grała głośno, ale niesamowicie. Byłam zdecydowana, żeby po powrocie do domu zgrać sobie kilka ich piosenek. Ciekawiło mnie, czy Cade już o nich słyszał. Mogłabym do niego napisać i poradzić mu, by dodał Frequent Stops do swojej playlisty.

Nie, nie mogłabym. Co mi odbiło?

Zerknęłam na Lucasa. Jego strój klubowy niewiele się różnił od szkolnego, brakowało jedynie słuchawek – miał na sobie džinsy i T-shirt. Byliśmy tu już od godziny. Do Phoenix przywieźli mnie Isabel z Gabrielem, przy czym Isabel przez całą drogę gadała, najwyraźniej widząc, jaka jestem stremowana. Moje zdenerwowanie jednak okazało się raczej nieuzasadnione. Lucas czekał na mnie na zewnątrz, długowłosa i uroczo kudłata, i nawet obdarzył mnie niespiesznym uśmiechem. Przedstawiłam go Isabel oraz Gabrielowi i weszliśmy do środka, zaopatrzeni w czerwone opaski na nadgarstkach, świadczące, że jesteśmy niepełnoletni.

Teraz wszyscy staliśmy pięć metrów od estrady, trochę za blisko, by głośniki umożliwiały nam normalną konwersację. Przekonywałam siebie, że nie podprowadziłam nas tutaj celowo.

Nawet tego dowiodłam, inicjując rozmowę.

– Podoba ci się ta kapela? – wrzasnęłam do Lucasa.

– Co? – Stulił dłoń w trąbkę przy uchu i nachylił się do mnie.

– Podoba ci się ta kapela?

Kiwnął głową.

– Dużo słuchasz takiej muzyki?

– Co?

– Taka muza ci pasuje? – zapytałam, gdy znów się nachylił, ocierając się o mnie ramieniem.

– Różną lubię – odpowiedział.

– Ciekawe, na ile podobne są nasze playlisty.

– Co?

– Nieważne. – Może jednak podprowadziłam nas tu celowo.

Isabel klepnęła mnie w ramię, a potem gestem zasygnalizowała

picie z kubka.

– Idziemy po coś do picia. Zaraz wracamy.

– Okej.

Lucas powiedział coś, czego nie rozumiałam. Może oboje powinniśmy wziąć przykład z Isabel i przejść na gestykulację?

– Co? – Tym razem to ja nachyliłam się do niego.

– Chciałabyś też się czegoś napić? – zapytał, wskazując Isabel i Gabriela, zbliżających się do baru za naszymi plecami. Wielkiego tłoku dziś nie było, bo tak to zwykle bywa w przypadku mniej znanych kapel.

Na estradzie frontman łkał do mikrofonu, a pot płynął mu z czoła.

– Nic mi nie trzeba. Może, jak będą mieli przerwę  
– odpowiedziałam.

Lucas albo mnie tym razem usłyszał, albo zrozumiał gesty, bo też skupił się na tym, co działo się na scenie.

\* \* \*

W uszach nadal mi brzęczało, a w piersi pulsowało, choć przecież byliśmy już na zewnątrz, na samym końcu parkingu, po przeciwnej stronie ulicy. Otaczający nas wieczór przynosił spokój. Koncerty zawsze mnie nakręcały w najlepszy możliwy sposób. Nie należałam do tych, co to muszą stać w świetle reflektorów i się popisywać. Wystarczyłoby mi do szczęścia, gdyby ktoś inny śpiewał ułożone przez mnie słowa, tchnął życie i pasję w moje nuty.

Zatrzymaliśmy się przy samochodzie Lucasa, granatowym fordzie focusie. Nie w takim aucie go sobie wyobrażałam. Według mnie wyglądał raczej na gościa ze sfatygowaną corollą. Ale nie o to chodzi, że do większości znanych mi ludzi pasowały ich samochody. Sama przeważnie jeździłam minivanem mamy... Tyle w temacie dopasowania.

Isabel kilkakrotnie przetykała sobie uszy palcami wskazującymi.

– Powinni wręczać przy wejściu zatyczki. – Mówiła strasznie głośno, na pewno dzwoniło jej w uszach.

– Jakbym słyszał babcię! – zadrwił Gabriel, choć sam też mówił nienaturalnie głośno.

Zachichotałam.

– Było świetnie – stwierdził Lucas z tym swoim krzywym

uśmiechem.

Uśmiechnęłam się.

– Fantastycznie. Słyszałeś ich już wcześniej?

– Nie, myślę, że to jacyś miejscowi. Dość nowi.

– Kiedyś będziemy mogli powiedzieć, że znaleźliśmy ich, zanim jeszcze stali się wielcy.

– Racja. I będziemy mogli się tym szczycić – oznajmił Lucas, a ja się roześmiałam.

Gabriel pokiwał głową.

– Może wtedy Lily będzie już równie sławna i też będzie mogła się tym szczycić.

Lucas okręcił kluczyki wokół palca, a potem zacisnął je w dłoni.

– Grasz w jakiejś kapeli? – zapytał mnie.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

– Ona gra na gitarze i pisze muzykę – wtrąciła Isabel.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

– Kiedyś tak było... Znaczący, próbowałam. Ale z tym już koniec.

Połamano mi się gitara.

Lucas przekrzywił głowę na bok.

– Da się naprawić?

– Nie jestem pewna. Jest nieźle potrzaskana.

– Znam dziewczynę ze sklepu muzycznego, która naprawia gitary.

Dam ci na nią namiary.

– Naprawdę? Byłoby cudownie. Dziękuję.

Lucas skinął głową.

– Połamana gitara to koszmar.

Miałam już przyznać mu rację, ale zawahałam się, bo dotarło do mnie, co właśnie powiedział.

– Czekał. Ty też grasz?

– Gram.

– Ekstra – rzuciłam.

– Naprawdę ekstra – przyznała Isabel, szeroko się do mnie uśmiechając.

– Postaram ci się dać na nią namiary jeszcze w tym tygodniu

– deklarował Lucas. – Ale nie wiem, czy będą mieć sklep otwarty, bo

Dziękczynienie i te sprawy.

- W porządku. W przyszłym tygodniu też będzie dobrze.
- Prześlę ci wiadomość, jak już będę miał jej numer.
- Droga powietrzną? – zapytałam ze śmiechem.
- Nie, SMS-em – odparł zdezorientowany.
- To taki żart... Samoloty... Wyprzedaje... Nieważne, pewnie,

SMS będzie w sam raz. – *Lily, skończ z nawiązywaniem do swoich listów, bo mało kto rozumie, o czym mówisz.*

Wymieniliśmy się numerami telefonów, potem otworzył samochód i wyciągnął rękę. Nie byłam pewna, co oznaczało to wyciągnięcie ręki, ale wtuliłam się w nią tak, że mnie objął.

- Dzięki, że przyszedłeś. Było fajnie.
- Rzeczywiście fajnie. Do zobaczenia.

Kiedy odjechał, ścisnęłam Isabel za rękę, a ona odwzajemniła mi się tym samym. Miałam randkę z Lucasem! I wymieniliśmy się numerami. I mnie objął!

Było idealnie.

Wreszcie mogłam wyjść poza etap korespondencyjnego kolegi.



## Rozdział 30

Dlaczego on jest w domu? – zapytał tata, przechodząc nad królikiem. Ashley i ja byłyśmy w salonie, oglądałyśmy film dokumentalny o mrówkach ognistych (jej pomysł, nie mój), który dziwnie mnie zafascynował.

Mama, siedząca przy stole, gdzie nawlekała koraliki, tworząc naszyjnik, wyjaśniła:

– On potrzebuje ruchu. Gdyby miał większą klatkę... – Spojrzała błagalnie na tatę.

– Nie wybuduję królikowi rezydencji.

– Czy ja mówiłam o rezydencji? Dziewczęta, mówiłam o rezydencji?

Podniosłam rękę.

– Nas w to nie mieszajcie. Ten królik to samo zło. Trzymam stronę taty.

– Tu nie ma żadnych stron – odpowiedzieli jednocześnie mama i tata.

Ashley popatrzyła na mnie, uniosła brwi, a potem zapytała:

– A więc nie będziemy musiały już głosować? W ogóle?

Tata się roześmiał.

– To tylko gry i zabawy. Nastawcie się na to, że za dwa dni będziecie głosować na najlepsze ciasto. Udoskonaliłem swój przepis.

Ashley wstała.

– Rusz się, Lily. Przejdziemy się.

– Ale ja nie chcę. Mrówki ogniste. – Wskazałam telewizor.

Pociągnęła mnie za rękę.

– Rusz się.

– Dobra. Idziemy na spacer.

Gdy byłyśmy w pół drogi do przecznicy, zapytała:

– Czemu wyrzuciłaś ten wycinek z gazety?

– Słucham? – odpowiedziałam pytaniem, choć usłyszałam ją doskonale.

– Ten, który od tygodni widziałam u ciebie na ścianie.

– Nie wyrzuciłam go – zaprzeczyłam. – Nadal jest w naszym pokoju, gdzieś w kącie... Ciasno zwinięty w kulkę.

Ashley strzeliła mnie biodrem.

– Sądzę, że powinnaś w końcu przemóc obawy i zacząć dzielić się swoimi piosenkami.

– Zamierzałam. Ale gitara mi się połamala, więc nie mogę. – Nie wspomniałam, że Lucas zna kogoś, kto może byłby w stanie ją naprawić. Nie chciałam robić sobie nadziei, bo przecież nic z tego może nie wyjść.

– Załatw sobie nową gitarę – poradziła Ashley, gdy skręcałyśmy za róg.

– Wiesz, że mnie na to nie stać.

– Wypożycz.

– Ja...

Poklepała mijaną właśnie skrzynkę pocztową, jakby ta stanęła po jej stronie w tym sporze.

– Tak właśnie myślałam. Uczepiłaś się pierwszego pretekstu, jaki pozwolił ci wykręcić się od tego konkursu.

Skrzywiłam się zirytowana.

– Ashley. Moja gitara jest połamana. Ten instrument jest mi niezbędny, żeby dopisać pół piosenki. Uważam, że to wystarczająco dobry powód.

– W porządku. Jeśli to jedyna przyczyna, to w Święto Dziękczynienia będziesz mogła podzielić się z rodziną tekstem piosenki, nad którą pracowałaś.

Zawahałam się, potem potwierdziłam:

– W porządku. Tak zrobię.

– Świetnie. Będą wtedy u nas babcia i dziadek.

– Wiem.

– I ciocia Lisa z dziećmi. I wujek James, też z dziećmi.

– Wiem. – Czy chciała mnie zniechęcić, czy tylko zmusić do tego, bym przyznała, że jestem przerażona?

– I Mark.

– Wiem... Zaczekaj... Kto?

– Ten kolega z pracy. To zaczyna być na poważnie.

– Serio? – Moja siostra nigdy z nikim nie chodziła na poważnie,

więc zaskoczyło mnie to. – Ten koleś, który dostrzegł, że masz na zębach jedzenie?

Szturchnęła mnie.

– Zamknij dziób.

Roześmiałam się.

– Żartuję sobie. To super, Ash.

– Dlatego zaprosiłam go na świąteczny obiad.

Pokiwałam głową. Chłopak na obiedzie z okazji Święta Dziękczynienia to rzeczywiście byłaby nowość.

– Jeśli lubisz tego chłopaka, trzymaj go jak najdalej od naszego domu – poradziłam. – Zwłaszcza w święta.

Zaśmiała się, jakbym żartowała, ale jej śmiech szybko ustąpił miejsca zaniepokojeniu.

– O nie. Masz rację. Popełniłam błąd.

Potwierdziłam.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby mu powiedzieć, że ma nie przychodzić.

– Przez jeden dzień nasza rodzina chyba może być normalna, prawda? – zapytała z nadzieją Ashley. – To nie powinno być trudne. Zdarzały nam się już nawet długie okresy normalności. – Wyczuwało się w tym zwątpienie.

– Sama kopiesz sobie grób.

– Będzie dobrze. – Machnęła ręką. – Będę przecież na miejscu i wszystkim pokieruję.

– „Nie zwracaj uwagi na człowieka za kotarą”.

– Nie wyskakuj z niczym takim, dopóki nie wyjdzie.

– Nie mogę cytować *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*? Wszyscy znają *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. A jeśli on nie zna, to powinnaś się ucieszyć, że odkrywamy to na tak wczesnym etapie waszego związku.

Przyłożyła dłoń do czoła.

– Masz rację. Nie powinien przychodzić.

– Właśnie.

– Nie przyjdzie... Ale ty i tak podzielisz się z nami swoją piosenką w Święto Dziękczynienia.

\* \* \*

– Co zrobiłaś? – Nalewałam do miski gorący sos i o mało nie ochlapałam nim blatu. Odrobina wylądowała mi na nadgarstku i starłam ją, zanim zaczęło parzyć.

– Lily, proszę cię – westchnęła mama. – Nie dramatyzuj. Myślałam, że go znasz.

– Znam go i właśnie dlatego nie chcę go widzieć u nas na świątecznym obiedzie.

– Cóż, twój brat go zaprosił, a on przyjął zaproszenie.

Ashley wrzuciła sobie do ust oliwkę.

– Wyatt zaprosił go na obiad z okazji Święta Dziękczynienia? Dziwne.

– Widzisz. To jest dziwne – podchwyciłam. – Zadzwoń więc do Cade'a i powiedz mu, że nastąpiła zmiana planów.

Cade Jennings, mój wróg i były korespondencyjny kolega, nie może pojawić się u nas na obiedzie z okazji Dziękczynienia.

– Co za Cade? – zapytała ciocia Lisa z niemowlakiem u boku, nie przerywając mieszania słodkich ziemniaków. Przyjechała z trójką dzieci godzinę temu, razem z dziadkami. Mój wujek, jego żona i czworo ich narybku zjawili się poprzedniego wieczoru. I nadal czekaliśmy na drugą siostrę mamy.

I najwyraźniej też na Cade'a.

– To kolega Lily – wyjaśniła mama.

Zrobiło mi się gorąco.

– Nie. Nie kolegujemy się. To trener Wyatta od bejsbola.

– Postawiłam obok ziemniaków miskę z sosem. – Mamo, nasza rodzina jest zbyt szalona, żeby przyjmować gości – spróbowałam jeszcze przemówić jej do rozsądku. A swoją drogą czemu nie idzie na ten świąteczny obiad do Sashy? Nie mógłby dręczyć innej rodziny?

Nacierająca teraz z tacą warzyw Ashley oznajmiła:

– Pogadają sobie z Markiem.

– Co? Myślałam, że przekonałaś Marka, żeby został w domu – zdumiałam się.

– Nie, nie przekonywałam. I wszyscy dzisiaj mają być normalni, okej? Normalni!

Ashley wymaszerowała z kuchni, prawdopodobnie po to, by nakazać reszcie rodziny „normalność”. Tyle że nasza rodzina nie wiedziała, co to znaczy. Przydałyby się bardziej szczegółowe instrukcje.

Wytarłam ręce w ściereczkę do naczyń i złapałam się na tym, że idę do łazienki, by zbadać w lustrze swój wygląd. Badanie zakończyło się nałożeniem większej ilości tuszu, odrobiny różu i błyszczyka. Nie dla Cade’a, a z powodu Święta Dziękczynienia.

Zadzwoił dzwonek u drzwi, a ja zamknęłam oczy, mobilizując się w duchu taką oto mową:

*Cieszę się, że Cade może spędzić Święto Dziękczynienia poza domem. Potrzebuje tego. A ja przez to jedno popołudnie go zniosę.*

*Prawda?*

Znów rozległ się dzwonek.

Czyżby nikt inny nie wiedział, jak otwiera się drzwi?

Byłoby jednak prawdopodobnie lepiej, gdybym to ja je otworzyła. Będę mogła uświadomić Cade’owi, czego ma się spodziewać, a może nawet go odprawić.

Otworzyłam więc drzwi wejściowe i wyszłam na zewnątrz, gdy Cade stał już z uniesioną ręką, szykując się do zapukania. Miał na sobie całkiem przyzwoite spodnie i elegancką koszulę z krótkim rękawem. Uczesał się, a w ręce trzymał opakowane pudełko.

Spojrzał nad moim ramieniem na zamknięte drzwi i zauważył:

– Zaprosił mnie twój brat.

– Wiem. Uprzedził cię, jaki szalony jest nasz dom?

– Nie.

– No to dostałeś ostrzeżenie. Jeśli chcesz, możesz się wycofać, zanim ktokolwiek się dowie, że przyszedłeś. – Chciałam jeszcze dodać, że nie mam pewności, czy nasz dom rzeczywiście stanowi lepszą opcję niż jego własny. Oznaczałoby to jednak ujawnienie, że wiem, z kim koresponduję.

– Obiecałem twojemu bratu, że przyjdę – powiedział Cade.

– W porządku. Ale chciałabym mieć dzisiaj fajny dzień, zawrzyjmy więc rozejm, okej? Nie wojujmy dzisiaj... bo to Święto Dziękczynienia.

– Bo to Święto Dziękczynienia? – zapytał, unosząc brew.

Nie zamierzałam cytować fragmentu jednego z jego listów. Samo tak wyszło. Ale i tak nie mógłby odgadnąć, że to jego cytuję. Byłam ostatnią osobą, którą posądziłby o tę korespondencję.

– O ile taki ogrom samokontroli nie jest dla ciebie zbyt ciężki – dodałam, próbując zatuszować swoje słowa.

– Już tą uwagą zerwałaś rozejm – stwierdził Cade, lekko się uśmiechając.

– Rozejm nabierze mocy po wejściu do domu.

– I skończy się w chwili, gdy wyjdę?

– Tak.

– Umowa stoi. – Wyciągnął rękę jak do uścisku.

Gotowa byłam zlekceważyć tę wyciągniętą rękę, uznałam jednak, że w dziedzinie sympatycznego zachowania nie dam mu forów.

Uścisnęłam mu dłoń.

– To świetnie.

Gdy próbowałam cofnąć rękę, przytrzymał ją.

– Ładnie wyglądasz.

– Słucham? – wykrztusiłam. – Nie przeginaj. Mówiąc, żebyśmy nie wojowali, nie sugerowałam, że mamy sobie prawić komplementy.

Jego twarz z wolna rozjaśnił uśmiech.

– Byłoby zabawnie. I czuję, że mogłoby ci to przyjść znacznie trudniej niż mnie.

– Dlatego że ty przywykłeś do udawania? – Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć więcej.

– Nie, dlatego że sprawiasz wrażenie niezdolnej do bycia miłą.

– Puścił moją rękę i otworzył sobie drzwi, zostawiając mnie na ganku, wpatrzoną w niego.

Zawarliśmy ten rozejm czy nie? Przypieczętowanie rozejmu obelgami nie wyglądało na obiecujący początek.

Miał jednak rację, nie byłam pewna, czy mnie na to stać.

– Słuchajcie, przyszedł Cade! – zawołałam, wchodząc za nim.

– Trenerze! – Z głębi korytarza nadbiegł Wyatt. Wyglądało na to, że korci go, żeby uściskać Cade'a, ale tylko wyciągnął piąstkę, żeby zrobić żółwika. Cade się dostosował. Pojawił się Jonah i też chciał żółwika.

– Jestem Jonah. Mam siedem lat i za dwa lata będziesz mnie trenował – powiedział Cade’owi.

– Miejmy nadzieję – odparł Cade – ale mogę być już wtedy na studiach.

– To zawsze możesz przyjeżdżać, żeby mnie trenować – zapewnił go Jonah.

– Mam nadzieję, że mi się uda. Wyatt, zaprowadź mnie do swojej mamy. Mam dla niej prezent.

– Dlaczego przyniosłeś jej prezent?

– Bo to uprzejmie przynosić ludziom prezenty, gdy nas zapraszają.

– Ja nigdy jeszcze tego nie robiłem – zadumał się Wyatt. – Chyba że na urodziny, ale to nie są urodziny.

Cade otoczył Wyatta ramieniem.

– Masz rację.

Poszli dalej, a ja odetchnęłam głęboko. Byłam w stanie dać radę. Musiałam tylko widzieć w Cadzie chłopaka, z którym koresponduję i w którego zapatrzony jest mój braciszek, a nie gościa, który drwił ze mnie na korytarzach szkolnych i ostrzegał przede mną innych.

Miałam już sprawdzić, czy mamie nie potrzeba pomocy w kuchni, gdy znów zadźwięczał dzwonek u drzwi. Zawróciłam i otworzyłam. Na ganku stał jakiś chłopak z butelką musującego cydru. Włosy miał w nieładzie, za to ubranie bez jednego zagniecenia i na tyle szykowne, że uznałam, iż taka fryzura jest celowa. Biorąc pod uwagę to, co przez większość dni działo się z moimi włosami, powinnam zresztą łaskawym okiem patrzeć na cudze niesforne fryzury.

– Cześć – powiedziałam.

– Jestem Mark.

Kolega Ashley... A może jej chłopak?

– Racja, ten od przedniego zęba.

Zmarszczył czoło.

– Przepraszam?

– Nic, nic. Wejdz, proszę. Ja jestem Lily.

– Aha – przytaknął, jakby właśnie zrozumiał jakąś zagadkę. Co też ta moja siostra o mnie naopowiadała i co zdążyło znaleźć potwierdzenie, choć powiedziałam tylko dwa zdania?

– Ash! – wrzasnęłam, cofając się w głąb domu. – Przyszedł... twój chłopak!

Ashley wtargnęła do przedpokoju w chmurze perfum i lakieru do włosów. Nigdy nie pojmowałam, co w jej fryzurach wymagało lakieru, ale zużywała go mnóstwo.

– Mark! Cześć! Och, to dla nas? – Gestem wskazała trzymaną przez niego butelkę. – Dziękuję. – Splotła się z nim palcami i poprowadziła w głąb domu.

Od kiedy to nasz dom stał się przystanią dla gości łaknących świątecznego obiadu? I to takich, co przychodzą z prezentami? Zapowiadało się najdziwniejsze ze wszystkich Święto Dziękczynienia.



## Rozdział 31

To, że naszych gości cechowała jakaś ogłada towarzyska, w niczym nie zmieniło manier mojej rodziny. Ledwie tata wypowiedział słowo „amen”, moi bracia i mali kuzyni dokonali nalotu dywanowego na blat zastawiony jedzeniem. Zanim ktokolwiek inny zdołał się ruszyć, już przekopali wszystkie kawałki indyka.

Kuchnia zatętniała życiem – mama ze wszystkiego zdejmowała pokrywki albo odwijała z folii, tata wołał o ciemne mięso, siostra napełniała szklanki i kieliszki, dziadkowie, nie wstając od stołu, dyrygowali, ciotka mocowała się z córeczką, sadzając ją w wysokim krzeselku, niemowlę wydzierało się, jakby je zarzynali, dwoje jego rodzeństwa biegało wokół lady, a wujek musztrował swoje dzieciaki. Cade stał jak przykuty do podłogi, nie bardzo wiedząc, co robić. Wizyty w moim domu wymagały uprzedniego treningu.

Spojrzałam na zegar na kuchence. Była czternasta pięć. Godzina – tyle dawałam Cade’owi, zanim znajdzie pretekst, by wyjść. Mogłam się założyć o moją połamaną gitarę.

Spojrzałam na niego ironicznie.

– Ostrzegałam cię. A jeśli chcesz się załapać na jedzenie, to musisz wziąć się do dzieła.

Zrobił to. Wystarczyły dwa kroki i miał już talerz, który fachowo zapełniał. Prześlizgując się między innymi, dotarł do końca blatu, gdzie czekała na niego Ashley z napojem. Teraz to mnie przymurowało do podłogi. Pusty koszyk po bułeczkach drwił z mojego amatorskiego i zbyt długiego zwlekania. Na talerzu Wyatta piętrzyły się trzy zapobiegliwie zgarnięte bułeczki, toteż chwyciłam jedną z nich, przechodząc.

– Hej!

Poklepałam go po główce, odgryzłam kawałek i sięgnęłam po talerz. Stół był już obłożony, tak samo stołki przy ladzie. Po zapełnieniu talerza wyszłam więc na zewnątrz, bo przy stole piknikowym dało się swobodnie zjeść nawet w listopadzie, jako że mieszkaliśmy w Arizonie – w stanie, który co roku latem podejmował próby wykończenia wszystkich swoich mieszkańców, a zimą traktował ich tak łagodnie, że

o tym zapominali.

Przechodząc, podrzuciłam królikowi do klatki trochę zielonego groszku. Potem usiadłam. Wkrótce dołączyła do mnie Ashley (ze swoim chłopakiem). A trochę później przyszedł Cade. Ścisnęło mnie w żołądku. Był gościem Wyatta. Nie powinien więc siedzieć z nim w domu?

Mark chyba stracił trochę pary, a szaloną fryzurę miał bardziej przygładzoną, niż gdy przyszedł.

– O wiele tutaj spokojniej – zauważył, rozglądając się z ulgą.

– Nie na długo – odparłam.

– Cóż, ja też nie mogę długo zostać – oznajmił.

Łał, dziesięć minut, a Mark już planował odwrót.

– Nie możesz? – zapytała Ashley.

– Nie mówiłem ci? Dziadkowie się mnie spodziewają.

Czekałam, że Cade powie coś podobnego, iż uczepli się tak dogodnego pretekstu, zanadto jednak zajmowało go jedzenie.

– Chyba się jeszcze nie znamy. – Ashley zwróciła się do Cade’a.

– Jesteś trenerem Wyatta, zgadza się?

Cade podniósł głowę i przełknął.

– I kolegą Lily – odpowiedział, puszczając do mnie oko.

– To twój kolega? – spytała Ashley, a jej zdziwienie zabrzmiało nieco obraźliwie.

– Raczej znajomy – odparłam chłodno. „Którego z wzajemnością nienawidzę” – o mało nie dodałam, ale powstrzymałam się w porę.

– Obracamy się w zupełnie innych kręgach.

Z impetem otworzyły się kuchenne drzwi i wypadł z nich Jonah z dwojgiem kuzyniątek. Maluchy poleciały prosto na trawę, Jonah natomiast podszedł do klatki.

– Hej, trenerze! – zawołał. – Chcesz zobaczyć Królika Lwa?

– Chodzi ci o Króla Lwa? – zapytał Cade.

– Nie, o królika.

Cade spojrzał na mnie, a ja się uśmiechnęłam.

– O królika – powtórzyłam.

– No, oczywiście. – Cade kiwnął głową Jonahowi. – Teraz go widzę. Czadowy.

Jonah otworzył klatkę, a my obie z Ashley powiedziałyśmy

jednocześnie:

– Nie wyjmuj go.

– Przecież go trzymam. – Jonah wydobył królika i podszedł pokazać go Markowi i Cade’owi.

– Jedliście kiedyś królika? – spytał Mark. – Smakuje naprawdę pysznie.

Jonah rozdziawił usta, a Ashley szturchnęła Marka ze śmiechem.

– On tak żartował, Jonah – wyjaśniła.

Mark o chwilę za późno kiwnął głową.

– Tak. To był żart. Nie zjemy Króla Lwa.

– Królika Lwa – sprostował Cade, zanim zdążył to zrobić Jonah.

Podrapał królika za uszami, Jonah zaś najwidoczniej uznał, że Cade ma ochotę potrzymać zwierzaka i zostawił mu go na kolanach. Cade, wyraźnie zaskoczony, stęknął i nie zdążył w porę złapać królika. Ten wskoczył na stół i w niespełna pięć sekund wdepnął we wszystkie nasze talerze, podczas gdy my wyciągaliśmy ręce, a mimo to nie mogliśmy go dopaść.

W końcu wstałam i go chwyciłam. Podnosiłam jednak tego straszego zwierzaka po raz pierwszy i nie przypuszczałam, że tylne łapy potraktują mnie jak trampolinę, a pazury wpiją mi się w ręce. Wrzasnęłam i wypuściłam królika, a ten zaraz pognał w głąb podwórka.

Obejrzałam swoje ręce. Większość zadrapań była powierzchowna, ale jedno dłuższe ozdobiły kropelki krwi. Gdy podniosłam wzrok, Cade i znajdujący się tuż za nim Jonah uganiaли się za Królikiem Lwem.

– Poważnie, królik to pychota – podsumował Mark, a potem zaśmiał się z własnego żartu. – Tylko powiedzcie słowo.

Cade dał nura, wyciągając ręce, i udało mu się tak idealnie wylądować, że złapał tę małą zarazę. Jonah zaczął wiwatować, a kuzyniátka, które przed chwilą włączyły się w pogoń, podskakiwały, klaszcząc. Cade, wciąż na ziemi, przetoczył się na plecy, tuląc królika do piersi. Kiedy Cade głaskał go po futerku, ten rozbójnik wyglądał jak potulne kocię.

– Jeszcze cię obsika – zawołałam.

Cade się roześmiał, jakbym żartowała, i oto siedział na trawie, pieszcząc królika, z trójką dzieciaków u boku. I wcale nie był to taki

słodki widok. Za nic bym tego nie przyznała.

Cade urwał kilka źdźbeł trawy i spróbował nakarmić nimi królika.

– On nie lubi trawy. Je marchewki i sałatę, i kuleczki

– poinformował go Jonah.

– Co za kuleczki? – zdziwił się Cade.

– Nie wiem; takie, co brzydko pachną.

Cade znowu wybuchnął szczerym śmiechem i wszystkie dzieciaki poszły w jego ślady. Cieszyło mnie, że się dobrze bawi. List o typowym dla jego domu Święcie Dziękczynienia nie należał do pogodnych.

Uznałam, że mogę się dziś cieszyć jego radością. Jutro znów będzie po staremu.

Jonah uwolnił Cade'a od królika i wsadził zwierzaka do klatki. Ashley i Mark zanieśli do domu skażone naczynia. Kuzyniątka wróciły do wyszukiwania chwastów przypominających kwiatki. Cade nadal wylegiwał się na trawie, z rękami splecionymi pod głową i skrzyżowanymi nogami. Moje nogi zaś nabrały własnego rozumu, bo doprowadziły mnie do niego.

Zerknął na mnie zmrużonymi oczyma.

– Słodki jest ten twój braciszek.

– I dobrze o tym wie. To prawie tak samo jak pewien mój znajomy – mruknęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

– Nie mówisz o mnie, prawda? – zaśmiał się Cade. – Bo przecież mamy rozejm.

To był tylko żart... w pewnym sensie... Ale to prawda, mamy rozejm.

– Masz teraz na kolanach plamę od trawy.

Podniósł nogę i się przyjrzał. Potem ją opuścił i poklepał trawę obok siebie.

– Usiądź.

Zwykle nie toleruję rozkazów, ale znów wyglądało na to, że mój mózg nie panuje nad ciałem. Usiadłam. Cade przetoczył się na bok w moją stronę, opierając się na łokciu. A potem na mnie patrzył. Tak długo, że zaczęłam się czuć nieswojo pod jego spojrzeniem.

Nie chciałam odezwać się pierwsza, ale nie mogłam temu zaradzić.

– Powinieneś pomyśleć o zarabianiu na życie łapaniem królików.

Jesteś w tym niezły.

Uśmiechnął się.

– To byłoby prawie tak męskie, jak zostać kowbojem.

Roześmiałam się.

– A jakie w ogóle masz plany zawodowe? – zapytałam, uświadamiając sobie, że tego tematu jeszcze nie poruszaliśmy w naszych listach.

– Jakbym słyszał mojego tatę – westchnął Cade.

Zwróciłam uwagę na to, że nie powiedział „ojczym”, założyłam jednak, że to o nim mowa.

– To miała być odpowiedź?

– Bejsbol. To jest mój plan na teraz. A jeśli usłyszysz o naborze na łapaczy królików, daj mi znać.

Potrafię rozpoznać unika. A już przywykłam, że Cade mi się zwierza (przynajmniej w listach). I chociaż nie miało to żadnego sensu, trochę mnie zabolalo, że nie chce robić tego teraz, twarzą w twarz.

Ale przecież nie otworzyłby się przede mną, przed Lily. Nie zaliczałam się do tych, których lubił. I nie mnie przecież uważał za autorkę listów.

– Jesteś jeszcze głodny? – zapytałam, zmieniając temat. – Pewnie w domu jest jeszcze co jeść.

– Nie, nic mi nie trzeba. Prawdę mówiąc, przed przyjściem tutaj jadłem w domu.

– To dlaczego przyszedłeś? – dociekałam.

– Ponieważ zaprosił mnie twój brat. To dobry dzieciak.

Przesunęłam dłonią po czubkach traw, tak by mnie połaskotały.

– To był jedyny powód?

Chciałam, żeby zaczął mówić o domu. Wygadał się, jak robił to w listach. Jeżeli miał dziś kiepski ranek, chciałam o tym usłyszeć. Możliwe, że pragnęłam dowieść mu, że ze mną też może rozmawiać.

– Chciałabyś, żebym miał inny? – Przekrzywił głowę i kącik ust podniósł mu się w półuśmiechu. Dotarło do mnie, co właśnie zasugerowałam, jeśli nie brać pod uwagę listów.

– Nie! Oczywiście, że nie – wyjąkałam, marząc o tym, by aż tak się nie rumienił. – Zastanawiałam się tylko, czemu twój rodzice nie

przekonali cię, żebyś został w domu. Moi w Święto Dziękczynienia za nic by mnie nie puścili.

Emanująca z niego aura pewności siebie zdawała się opadać. Znów wyciągnął się na trawie.

– Tak... Moi rodzice też na pewno by chcieli, żebym został w domu. Mama lubi, gdy spędzamy czas razem.

– Lubi? – Inaczej przedtem mówił... czy raczej pisał.

– Oczywiście. Która mama tego nie lubi?

Ten chłopak zbudował wokół siebie mur nie do przebycia. Pojęcia nie miałam, czego trzeba, żeby go skłonić do bycia autentycznym poza listami.

– Nie wszystkie mamy są dobre. Ojcowie też nie.

Cade ani nie zacisnął powiek, ani nawet nie mrugnął. Zamiast tego odwrócił głowę i znów mi się przyjrzał.

– Ręka ci krwawi.

Spojrzałam na nią i zobaczyłam kilka czerwonych kropelek.

– O, królik mnie uzał. Nic wielkiego.

– Chyba powinnaś to przemyć. Nie wygląda na najczystsze zwierzaka na świecie.

Uświadomiłam sobie, że rozmowa dobiegła końca, gdy Cade osłonił ręką oczy, jakby szykował się do popołudniowej drzemki. Zabolało mnie to bardziej, niż się spodziewałam.

## Rozdział 32

Było wpół do szóstej, a Cade wciąż jeszcze siedział u nas w domu. Dawałam mu godzinę, a wytrzymał ponad trzy. Kompletnie przegrałam zakład z samą sobą. Mark poszedł dawno temu. Nie doczekał nawet corocznych opowieści moich dziadków o minionych obiadach świątecznych, łącznie z tą, jak moja wówczas nastoletnia mama ogłosiła strajk głodowy w obronie indyków. Niewątpliwie nie dotrwał też do ciasta, które mieliśmy właśnie zjeść.

Ciasto. Etap imprezy, który od godziny starałam się opóźnić, licząc na przeczekanie Cade'a. Bo nie powinien być świadkiem naszej rodzinnej tradycji, którą tak wiernie opisałam mu w liście. Lada moment sobie pójdzie. Na pewno. Tak właśnie sobie myślałam przez ostatnie sto dwadzieścia minut. Minut wypełnionych tym, że kuzyniątka czepiały się nóg Cade'a, utrudniając mu poruszanie się. I tym, że tata objaśniał mi szczegółowo, jak wykonał stojący teraz w salonie regał na książki. Oraz tym, że mama posłużyła się nadgarstkiem Cade'a, dopasowując długość „męskiej bransoletki”, nad którą pracowała. Powiedziała mu to głośno i wyraźnie:

– Planuję zrobić męską bransoletkę. Pokaż, proszę, nadgarstek.

Przestałam liczyć, ile razy się zarumieniłam.

I ile razy Cade wyglądał na zakłopotanego lub rozbawionego. Zastanawiałam się tylko, ile z tego trafi później w formie opowieści do Sashy.

– A tak przy okazji, gdzie Sasha? – zapytałam nagle, gdy siedzieliśmy naprzeciw siebie na kanapach, a nadgarstek Cade'a wciąż jeszcze opasany był wykonaną przez mamę plecionką z brązowego rzemienia.

Wzruszył ramionami.

– Sprawy rodzinne. Gdzie Lucas?

– Lucas? Skąd ty...? Czemu miałabym wiedzieć, gdzie podziewa się Lucas?

– Widziałem was tamtego wieczoru na koncercie.

Żołądek podskoczył mi do gardła.

– Na Frequent Stops? Też tam byłeś? Wiedziałam, że...

– Umilkłam, zanim dokończyłam „ci się spodobają”.

Cade przekrzywił głowę.

– Wiedziałaś, że co?

– Że tam będziesz. Słyszałam, jak Sasha coś o tym mówiła.

– Sasha się tam nie wybierała.

– Och... Ale na pewno wiedziała, że tam będziesz.

– Wiedziała.

– Lucas i ja... – Czy naprawdę musiałam wyjaśniać relację łączącą mnie z Lucasem, czy raczej jej brak, właśnie Cade’owi? Nie należało mu się takie wyjaśnienie. A już na pewno nie w obecności mojej mamy. Ona wiedziała tylko, że wybrałam się na koncert z Isabel, Gabrielem i jeszcze kimś ze szkoły. Na szczęście teraz nie zwracała na nas uwagi. – ...dobrze się bawiliśmy – dokończyłam pośpiesznie. – Dobrze się bawiliśmy.

Mama przekręciła rękę Cade’a.

– Nie ruszaj się. Muszę przynieść zapieczęcie. – Wstała i wyszła, a w salonie pierwszy raz w dniu dzisiejszym zapanowała cisza.

W sąsiednim pokoju leciał film, który miał zająć dzieciaki. Ciocie, wujek, tata i dziadkowie przenieśli się do kuchni, żeby pozmywać po obiedzie, a Ashley zniknęła nie wiadomo gdzie.

Ruchem głowy wskazałam nadgarstek Cade’a.

– Przepraszam za mamę.

– Fajnie jest. Mam męską bransoletkę.

Uśmiechnęłam się.

– Nie sądzę, żebyś mógł ją zatrzymać. Uznała cię za modela.

– Za modela?

– To stwierdzenie faktu, a nie komplement.

– Bo gdybyś miała mnie komplementować, szlag by cię trafił.

Roześmiałam się.

– Może nie szlag, ale mój mózg na pewno by jakoś zaprotestował.

Jego to nie rozbawiło, za to przyjrzał się pleciance na nadgarstku.

– Daj już spokój. Przecież nie muszę ci mówić, jaki z ciebie przystojniak, bo i tak o tym wiesz.

– Dobrze się czujesz? Może masz coś z głową? – zapytał Cade.



Kopnęłam go w nogę, a on się roześmiał.

– Uważasz mnie więc za przystojniaka? – Oczy Cade’a rozbłysły.

– Jak chyba każda dziewczyna.

Zaskoczyło mnie, że policzki mu lekko poróżowiały. Nie miałam pojęcia, czemu miałby się czuć skrępowany. Byłam przekonana, że i tak to wiedział. Przeczesał dłonią włosy. Potem powiedział szeptem, ale tak, bym mogła to usłyszeć:

– Ty nie jesteś każda.

Czym prędzej spojrzałam mu w oczy, bo nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam. Tylko się ze mną droczył, jak przez cały ten dzień? Co chciał przez to powiedzieć? To miała być obelga? Nasz rozejm się skończył?

Do pokoju wpadła mama.

– Przepraszam, przepraszam. Nie mogłam znaleźć tego zapięcia. A teraz do końca filmu zostało już niecałe pięć minut, później zaś zabieramy się do robienia ciasta. – Mrugnęła do mnie.

– Nie! – To słowo samo wyskoczyło mi z ust.

Mama, mocująca właśnie haczyk do rzemienia, zamarła.

– Słucham? O co chodzi?

– Jeszcze na to nie pora.

– Już czas. Robi się późno.

– Normalnie robimy to tylko w gronie rodzinnym.

– Lily. – Mama zgromiła mnie wzrokiem.

I właśnie ten moment wybrała sobie Ashley, żeby się zmaterializować, trzymając przed sobą mój zeszyt.

– Już pora – powiedziała z uśmiechem.

Kompletnie zapomniałam, że zobowiązałam się przeczytać tekst swojej piosenki. Ogarnęło mnie przerażenie.

– Nie. Absolutnie nie. – Poderwałam się i dopadłam ją, wydzierając jej zeszyt.

– Obiecałaś – powiedziała Ashley.

Mowy nie było, żebym mogła teraz czytać tekst piosenki. Jedyny ukończony aż w połowie dotyczył właśnie Cade’a. A on był tu z nami.

– Rozmyśliłam się.

– Wiedziałam, że tak będzie.

– Nie, ja zamierzałam, ale...

Ashley obrzuciła mnie pełnym rozczarowania spojrzeniem i wyszła z pokoju, a tuż potem zeszła się reszta rodziny, w tym tata trzymający opaskę na oczy. Staralam się szybko coś wymyślić. Bo inaczej wszystko wyszłoby na jaw. Gdyby do tego doszło, Cade nabrałby pewności, że to ja jestem autorką listów. I ogarnęłaby go zgroza. Do tak wielkiego objawienia nie mogło dojść na oczach całej mojej rodziny, której członkowie wreszcie dowiedzieliby się, co naprawdę sądzi się o mnie w szkole.

– To coś szczególnego – zwróciłam się do taty, w panice podnosząc głos. – Nie wydaje mi się, że powinniśmy dzielić się tym z ludźmi z zewnątrz.

– Lily – powiedział tata, marszcząc czoło do poziomu świadczącego o dezaprobachie.

– Ogromnie mi przykro – zwróciła się do Cade’a mama, przepraszając za mnie.

Cade wstał, zdjął z przegubu plecionkę i podał mamie.

– Nie ma sprawy. Nic się nie stało. I tak już czas, bym się stąd zabrał. To przecież Święto Dziękczynienia. Mama też chce mnie widzieć w domu. Dziękuję, że mogłem tak długo u państwa gościć. Było wspaniale.

Zachowywałam się okropnie. Wyganiałam Cade’a, bo się przestraszyłam, że jutro znów będzie dawnym sobą. Że ja wrócę do dawnej siebie. Że nie był taki, za jakiego go zawsze uważałam. Że okazał się taki, jakim chciałam go widzieć. Jakiego pragnęłam w nim odkryć. Tego się przestraszyłam.

Kiedy wychodził, poszłam za nim, usiłując wymyślić dobry powód, dlaczego zmusiłam go do wyjścia, a zarazem uniknąć wyjawienia prawdziwej przyczyny. Był już przy drzwiach.

– A więc nasz rozejm miał ograniczenia czasowe? – zapytał, nie odwracając się. – Czy może nadeszła godzina, kiedy z powrotem zmieniasz się w...

Nie dokończył zdania, ale potrafiłam je sobie uzupełnić. Dzięki temu nie musiałam szukać wytłumaczenia. Zamiast tego otworzyłam drzwi i powiedziałam:

– Nie jestem w stanie znieść twojej obecności dłużej niż trzy godziny. – Od razu żałowałam, że to wyszło z moich ust. Miałam ochotę wyjawic, że wcale tak nie myślę. Że tak naprawdę było mi z nim dziś całkiem miło.

– Normalnie dziewczyny tak nie mówią, ale ty przecież nie jesteś taka normalna, co? – zapytał z krzywym uśmiechem.

– Do widzenia, Cade.

– Cześć, Lily.

Skinął głową i poszedł ciemną ścieżką w stronę samochodu. Zamknęłam drzwi wejściowe i oparłam się o nie czołem. Ich chłód uświadomił mi, że twarz mnie pali. Nie do końca jednak byłam pewna, czy to ze wstydu, czy ze złości.

– Lily! – zawołała mama z pokoju. – Zaczynamy.

– Idę.

Ciasto, którym raczyłam się przez następny kwadrans, nie było tak dobre, jak zazwyczaj. Najwyraźniej poczucie winy zostawia zły posmak.

## Rozdział 33

Była sobota po Święcie Dziękczynienia, a ja siedziałam przy ustawionej na kuchennym stole maszynie do szycia, wykańczając spódnicę. W kieszeni zabrzączał mi telefon. Wyjęłam go i zobaczyłam na ekranie imię Isabel.

– Cześć – powiedziałam.

– Wpadniesz? – Tak właśnie mnie przywitała.

Zaśmiałam się.

– Nie mogę. Opieka nad dziećmi. – Zapiszczała mikrofala.

– Poczekaj sekundkę. – Zgarnęłam ze stołu pokrowiec i narzuciłam go na maszynę. Zbliżyłam się do mikrofali, akurat gdy ta znów zapiszczała i otworzyłam z rozmachem drzwiczki, ukazując cztery pęknięte hot dogi.

– Wyatt, za długo je tam trzymasz.

– I tak je zjem.

Wyjęłam je, położyłam na stole przed nim i Jonahem, razem z butelką keczupu.

– Smakują tak samo – zwróciłam się do Jonaha, zanim zaprotestował. – Jedz. A tego nie dotykaj. – Pokazałam mu stanowisko z szyciem na drugim końcu stołu, a potem znów skupiłam się na telefonie.

– Może ty wpadniesz? – zapytałam Isabel.

– Tak! Zaraz będę – zapewniła, a na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Padłyśmy sobie w ramiona zaraz po jej przyjeździe, jakbyśmy nie widziały się od wieków. Bo wydawało się, że od koncertu minęły stulecia.

– Jak wypadło Święto Dziękczynienia u Gabriela? – zapytałam ją, gdy już weszła.

– Wesoło. Mogłam spędzić tam tylko kilka godzin. Wiesz, jak moi rodzice podchodzą do świąt. – Weszłyśmy do salonu i klapnęłyśmy na kanapę.

– Wiem – przyznałam. – Zaskoczyło mnie, że w ogóle cię puścili. Dużo było ludzi?

– Tak. Chmara dzieciaków. A jak u ciebie?

– Przyszedł Cade. – Czułam, że muszę opowiedzieć jej z najdrobniejszymi szczegółami o wszystkim, co miało związek z Cade’em, żeby sobie nie pomyślała, że coś przed nią ukrywam.

– Co? – Jej mina i ton świadczyły o ciężkim szoku. – Jak to?

– Zaprosił go Wyatt. – Wiedziała już, że Cade był w tym sezonie trenerem bejsbola mojego brata.

– Niemożliwe – jęknęła.

– Możliwe.

– I? – dopytywała, robiąc coraz większe oczy.

– I Cade spędził tu ponad trzy godziny.

Jej dłoń poszybowała do góry, żeby zakryć usta.

– Współczuję. To musiał być okropny dzień.

Pokręciłam głową.

– Nie. Wręcz przeciwnie. Zawarliśmy rozejm i dzień okazał się miły.

– Rozejm? – Roześmiała się. – To był twój pomysł czy jego? Nieważne, nie wiem, po co pytam. Totalnie wygląda na twój.

Szturchnęłam ją w ramię.

– A to co miało znaczyć?

– Tylko to, że masz pomysły. A więc, łał, już się z Cade’em dogadujecie? To jakiś cud. Sądzisz, że to ma coś wspólnego z listami? Wie, że to ty je pisałaś?

– Nie, nie ma o tym pojęcia. A z wybicciem północy, no, z chwilą jego wyjścia, rozejm się zakończył. Już się nie kumplujemy. W końcu to on i jego dziewczyna skazali mnie na dwa tygodnie odsiadki po lekcjach. Mam prawo mieć żal.

– Nigdy mi nie wyjaśniłaś, jak to się stało.

– Nauczyciel na zastępstwie i błąd przy ustalaniu tożsamości. Isabel się uśmiechnęła.

– To jak z powieści detektywistycznej.

– Szkoda, że tak nie było. Bo w każdym razie wyszło głupio. Sasha mnie podsiadła, a potem wyrabiała okropieństwa, które szły na moje konto. – Położyłam Isabel nogi na kolanach. – Ale to już nieważne. Sprawa zakończona.

– Jak ci się układa z Lucasem? – spytała Isabel.

Zmarszczyłam czoło, bo uświadomiłam sobie, że dzisiaj ani chwili o nim nie myślałam.

– Nie dzwonił ani nie esemesował.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– Minął przeszło tydzień! – zaprotestowałam.

– Ale mamy weekend ze Świętem Dziękczynienia. Może wyjechał z miasta lub coś takiego – powiedziała. – Będzie dobrze.

Zdjęłam z poduszki na kanapie luźną nitkę.

– Ale... jeśli mi się z nim nie ułoży, i tak będzie fajnie.

– Już teraz spisujesz go na straty, jakby to nie zadziało?

– Ależ skąd.

– Spisujesz. Usiłujesz się chronić, spisując na straty coś, co nawet się nie zaczęło.

– Wcale nie. Chodzi o to... Nie chcę, żebyś się mną przejmowała, jeśli nic z tego nie wyjdzie. Niepotrzebny mi Lucas do szczęścia.

Szczęśliwa mogę być i z nim, i bez niego... albo też z kimś innym.

Jej ciemne brwi podjechały w górę.

– Z kimś innym? Z kim?

Skąd ten mój rumieniec?

– Tak ogólnie. Mówię hipotetycznie.

– Aha. – Pokiwała głową, wzięła głębszy oddech, a potem stwierdziła: – A więc... z Cade'em.

– Nie, zdecydowanie nie z Cade'em! – oświadczyłam, zagłuszając jej kolejne słowa, które wcale do mnie nie dotarły, bo zaprotestowałam zbyt żarliwie. – Co takiego?

Przekrzywiła głowę.

– Powiedziałam: biorąc pod uwagę Święto Dziękczynienia.

– Aha. No tak, Święto Dziękczynienia. A co konkretnie? – Policzki nadal miałam czerwone i starałam się unikać jej wzroku. Opuściłam nogi na podłogę i zabrałam się do układania w stos czasopism rozrzuconych na ławie.

– A w ogóle o czym rozmawialiście z Cade'em? – zapytała Isabel.

– Sama nie wiem. O króliku. O moim braciszku. O jego rodzinie.

– No, to ostatnie nie do końca odpowiadało prawdzie. Próbowалам

wyciągnąć z niego coś na temat rodziny, ale czym prędzej uciał temat. W listach jednak wiele rozmawialiśmy o jego rodzinie i nasunęło mi to pytanie, które musiałam zadać Isabel. – Kiedy ty i Cade byliście razem... dużo opowiadał o swoich rodzicach?

– O swoich rodzicach? Właściwie to nie. – Isabel wysunęła stopy z japonki i podwinęła nogi pod siebie. – Że są bogaci i wiele podróżują, ale więcej naprawdę nie pamiętam. A czemu pytasz?

– Jego ojczym był dla ciebie miły?

– Ojczym? A to nie jego prawdziwy tata? Bo mówi do niego „tato”. I jest właścicielem Jennings Insurance. Cade ma na nazwisko Jennings.

– No, ma. Ale...

Czyżby Cade nie mówił nikomu, że jego rodzice się rozwiedli? Doszłam do wniosku, że skoro jego tata wcale tu nie przyjeżdżał, a on sam nie wędrował od jednego rodzica do drugiego, niczego nikomu nie musiał wyjaśniać, jeżeli nie chciał. W jednym z listów wspomniał, że bardzo ceni swoją prywatność.

– Wiesz, jak się nad tym zastanowić, to masz rację – stwierdziła Isabel, przechylając głowę na bok. – Raz wspomniał coś o ojczymie, ale tak na marginesie. Chyba więc jego ojczym go usynowił. I dlatego nosi teraz jego nazwisko.

– Nie jestem pewna.

– Nie wiem, czy naprawdę dobrze znał swojego prawdziwego tatę. Oni się rozwiedli na długo przed tym, jak się tu przeprowadził.

*Wcale nie tak długo.*

– No... może.

– Nadal nie potrafię wyjść z podziwu, że wy dwoje wytrzymaliście ze sobą przez trzy godziny! – zawołała Isabel, zerkając na mnie.

– Chodzi mi o to, że kiedy ja z nim chodziłam, nie mogliście wysiedzieć razem w jednym pokoju dłużej niż kilka minut bez obrzucania się obelgami.

– Wiem. – Kiedyś z nim chodziła. Isabel i Cade byli kiedyś parą. Naprawdę tak było. I nie szło tu o jakąś zamierzchłą przeszłość. Cade naprawdę spotykał się z moją najlepszą przyjaciółką. – Bez obaw, nie skończyliśmy z obrażaniem siebie. Prędzej świnię zaczną latać.

Isabel wyjrzała przez okno.

– A nie zaczęły? Dałabym głowę, że jadąc tu, widziałam jedną na niebie.

– Bardzo śmieszne.

Isabel uśmiechnęła się i objęła mnie za szyję.

– Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą też. Tylko się upewnię, że bracia są gotowi do snu, i możemy obejrzeć jakiś film.

\* \* \*

Miałyśmy za sobą już połowę filmu, gdy dotarł do mnie sens czegoś, co wcześniej powiedziałam Isabel. Chodziło o powód, dla którego dostałam odsiadkę po lekcjach. W chwili, gdy Cade wszedł do pracowni chemicznej, Sasha siedziała tam, gdzie zwykle ja. Zobaczył ją na moim stałym miejscu. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że to on jest autorem listów. To dlatego wtedy wszedł – nie żeby robiąc kawał, skrócić lekcję swoim znajomym, a żeby się przekonać, kto na tym miejscu siedzi. Pomyślał sobie, że koresponduje z Sashą.

Roześmiałam się.

– O co chodzi? – zapytała Isabel.

Wierzyć mi się nie chciało, że Cade uznał Saszę za autorkę tych listów. W ogóle do niej nie pasowały. Ale listy Cade’a też nie bardzo się z nim kojarzyły. Siadłam prosto, bo dech mi zapało. To dlatego w końcu się z nią umówił? Bo myślał, że ma do czynienia z autorką listów? Ta myśl niespodziewanie obudziła we mnie złość. Zapewne uszczęśliwiło go, że autorką listów okazała się piękna i popularna dziewczyna. Złotemu chłopcu wszystko układało się idealnie.

– O co chodzi? – spytała ponownie Isabel.

– Coś mi się właśnie skojarzyło. – I objaśniłam jej związek zamiany miejsc z listami.

Wpatrywała się we mnie z podziwem i zgrozą.

– To koszmar.

– Myślisz? Może lepiej, że sądzi, że to ona.

– A czy w takim razie nie wkurzy się na Saszę, gdy listy przestaną przychodzić?



Wzruszyłam ramionami.

– Może pomyśli, że przestała pisać, bo już są razem. Może pomogę mu tak pomyśleć.

– Nie zrobisz tego – jęknęła.

– To nic trudnego. Ludzie z łatwością przyjmują to, w co chcą uwierzyć. A on chce w to wierzyć. Chce, żeby osobą piszącą do niego listy okazała się Sasha.

Isabel posmutniała, ale nie zaprzeczyła.

## Rozdział 34

Siedząc w poniedziałek na chemii, zastanawiałam się nad swoim planem. Bo choć wiedziałam, że Cade pragnie, by autorką listów okazała się Sasha, raczej trudno będzie przekonać go, że tak jest w istocie. Wystarczyłoby, żeby zapytał ją o pewne szczegóły. Czy ma młodsze rodzeństwo? Czy lubi tę samą muzykę co on? Zaraz by się zorientował. Już zresztą powinien wiedzieć, choćbym nic więcej nie napisała. Chyba że... Siedząc tamtego dnia na moim miejscu, Sasha widziała zapisany blat. Może coś jej się skojarzyło. Zapytana przez Cade'a o listy, mogłaby wówczas udawać, że wie, o co chodzi. Dopasować się do tego.

Sięgnęłam pod stolik. Myślałam już, że wyleczyłam się z tego po tygodniu przerwy, tym bardziej wiedząc, że autorem listów jest Cade. Ale serce i tak mi zabiło, gdy wyczułam tam nowe zawiniątko.

Przesłuchałaś za jednym posiedzeniem całą dyskografię Pink Floyd? Pomysł był naprawdę niesamowity. Żałuję, że na niego nie wpadłem. U mnie stanęło na tym, że napisałem list do mojego taty. Wiem, że miałem napisać do ojczyma. Ale kiedy do tego usiadłem, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę muszę porozmawiać z tatą. Telefon może zignorować, ale zlekceważyć list jest znacznie trudniej, prawda? W każdym razie napisałem do niego i wysłałem list w czasie ferii. Teraz pozostaje mi tylko czekać. Odkąd zaczęliśmy korespondować, przywykłem do czekania na odpowiedź. Trochę nauczyło mnie to cierpliwości. Nie bardzo. Nie mogę się doczekać. Potrzebuję odskoczni. Święto Dziękczynienia spędziłem w cudzym domu, bo musiałem oderwać myśli od własnych spraw (nie wspominając o tym, że jak wiesz, u mnie ten świąteczny obiad wypada fatalnie). Było miło. Dawno nie miałem okazji się przekonać, czym jest prawdziwa rodzina. A ci ludzie to uosobienie takiej prawdziwej rodziny. Jak z obrazka. Kojarzysz tego gościa, który malował klasyczne sceny z życia Amerykanów, wyglądające aż za dobrze, żeby były prawdziwe? Mam wrażenie, że tak naprawdę ten świąteczny obiad był jego dziełem. To było to. To był mój najlepszy świąteczny obiad od niepamiętnych czasów. A jak było u Ciebie?

Miałam mieszane uczucia. A więc dobrze było mu u nas w domu i z tego powodu zrobiło mi się nawet ciepło. Ale to, jak przedstawił moją rodzinę i jej niemal doprowadzające do frustracji wariactwo, prosiło się o drwiny.

Odpisałam:

*Masz na myśli Normana Rockwella? Na pewno jednak nie spędziłeś Świąta Dziękczynienia z rodziną z obrazu Normana Rockwella. Żadna rodzina nie jest idealna.*

O mało nie walnęłam: „a już na pewno nie moja”, ale się zawahałam. Czy podważając wiarygodność jego opisu, zdradziłam, że spędził to święto ze mną? Nie, sądził przecież, że koresponduje z Sashą.

*Cieszę się, że była to dla Ciebie odskocznia. Potrafię zrozumieć, czemu jej potrzebowałeś. Ciężko jest czekać na odpowiedź nawet przez jeden dzień. Nie wyobrażam sobie, co czujesz, czekając tak długo. Twój tata odpisze. Na pewno. Czy liczysz, że napisze coś konkretnego? Albo zrobi? Czy po prostu chcesz dowiedzieć się, co dzieje się obecnie w jego życiu? Mam nadzieję, że nie spróbowałeś napisać dla niego piosenki, bo nigdy już nie odpisze ;) A tak na serio, Twoje listy są bardzo poruszające. Nie sposób nie odpowiedzieć na nie.*

Tak przynajmniej było ze mną. Nie potrafiłam przestać z nim korespondować, niezależnie od tego, co wiedziałam i za kogo mnie brał. Rzucił bowiem na mnie jakieś zakłęcie nakazujące pisanie listów.

\* \* \*

Listy od Cade'a nie tylko domagały się odpowiedzi, ale też wypełniały mi wyobraźnię pomysłami na teksty piosenek. Jakiś okrutny kaprys losu sprawił, że dobre teksty przychodziły mi do głowy jedynie po wymianie myśli z Cade'em. Dzisiaj też nie było inaczej. Odsiadując karę po lekcjach, napisałam całą zwrotkę.

*Zaczarowałaś mnie,  
grając w sekretów grę.*

*I niech to się nie kończy.  
Nie pozwól jej zakończyć.  
Zaczarowałeś mnie.  
Dobrze, że mało wiesz,  
bo sam byś ją zakończył.  
Lecz niech to się nie kończy.*

Pisanie tak mnie pochłonęło, że dopiero trzaśnięcie drzwi uświadomiło mi, że nauczyciel wstał i wyszedł. Zapowiadał, że wyjdzie? Moje spojrzenie powędrowało ku wiszącemu na ścianie zegarowi. Przed nami było jeszcze pół godziny. Nie usłyszałam też, jak zakradła się za mnie Sasha, również odsiadująca ten wyrok. Nie spodziewałam się więc, że wyrwie mi spod pachy mój zeszyt.

– Co tam sobie piszesz? – zapytała i zaczęła czytać na głos napisany właśnie przeze mnie tekst.

Serce załomotało mi w piersi i strasznie zapragnęłam się zerwać, wyrzucić jej z rąk zeszyt i gdyby się udało, strzelić ją nim w łeb. Wiedziałam jednak, że właśnie o to jej chodzi. Czułam, że spodziewa się, iż będę ganiać za nią po całej sali, podczas gdy ona będzie czytała wyjątki z mojego zeszytu, wywołując salwy śmiechu uczniów, którzy śliniąc się w oczekiwaniu na przedstawienie, wbijali wzrok raz w jedną, to znów w drugą. Od lat znałam język szkolnych dręczycieli. Płaciłam tym za chodzenie w używanych ciuchach i z włosami, które od pierwszej klasy broniły się przed wszelkimi próbami poskromienia. Aż za dobrze znałam już ten język. Dlatego, choć byłam spanikowana, siedziałam twardo na miejscu, starając się nie dać niczego po sobie poznać.

Sasha uciekła w najdalszy kąt sali, oczekując, że za nią pogonię. Stamtąd, zaśmiewając się, wyrzeszczala dwa ostatnie wersy:

– Bo sam byś ją zakończył! Lecz niech to się nie kończy!

Dałabym wszystko, żeby się tak nie czerwienić. Ziściły się moje najgorsze obawy. Nie pozwoliłabym czytać swoich tekstów nawet najbliższym mi osobom.

Przyjaciółka Sashy z ostatniej klasy, wciąż jeszcze siedząca z tyłu, śmiała się wraz z nią.

– Co to takiego? Wiersz? Wiersz stalkerki-dziwaczki?

Myśli pracowały mi na najwyższych obrotach, starałam się przypomnieć sobie, co jeszcze było w tym zeszycie. Czy w ostatnim protest songu, napisanym po tym, jak odkryłam, że autorem listów jest Cade, padło jego imię? Padło czy nie?

O nie, padło.

Wystarczyłoby, że cofnie się o dwie strony. Tę, którą teraz czytała, od tamtej dzieliły tylko dwa projekty ubrań. I kiedy wreszcie wróci tu pan Mendoza? Wypad do łazienki nie powinien trwać tak długo.

Sasha, nadal z uśmiechem, przewróciła kartkę. Serce prawie we mnie zamarło. Gdybym się teraz zerwała i przesadziła dwa stoliki, zapewne zdążyłabym ją dopaść. W końcu to ona przyszła w szpilkach.

Pokazała wszystkim mój szkic bluzki.

– Teraz już wiemy, skąd u Lily taki okropny gust, jeśli chodzi o modę.

Powinny już ją znudzić te gierki. Nie reagowałam na nie. Inne osoby na sali też nie wykazywały entuzjazmu. Na tym etapie mój zeszyt powinien więc polecieć na podłogę lub zostać ciśnięty znów na mój stolik.

– Zawsze mnie ciekawiło, czemu stale siedzisz z nosem w tym zeszycie – ciągnęła Sasha. – A teraz wiemy. Z powodu kiepskich rysunków i jeszcze gorszych wierszy.

Wiedziałam już, że brakiem reakcji niczego nie osiągnę. Sprawa wykraczała poza ten dzień. Mój zeszyt nie dawał jej spokoju od długiego czasu. Nie chodziło jej tylko o to, żeby mnie upokorzyć. Pragnęła zaspokoić ciekawość. Będzie więc grzebała dalej.

Żołądek podjechał mi do gardła. Pora na nowy plan.

Plecak Sashy stał na podłodze przy stoliku, który zajmowała jeszcze kilka chwil temu. Jeśli był w nim jej telefon, na pewno poszłaby na wymianę.

Przewróciła kolejną kartkę. Tak jakby czytała gromadzie przedszkolaków książkę z obrazkami, podniosła ją znów, by wszyscy zobaczyli. W połowie wykończony szkic spódnicy.

Wstałam. A jak tylko ruszyłam w stronę jej plecaka, drzwi sali się otworzyły i wszedł pan Mendoza.

– Moje panie – powiedział – niewątpliwie istnieje absolutnie zasadny powód, dla którego opuściłyście swoje miejsca. To mnie jednak nie obchodzi. Jeden dzień dłużej dla każdej z was.

Po wyrazie twarzy Sashy poznałam, że nie zamierza mi oddać zeszytu. Wracając już na miejsce, przewróciła kartkę.

– Ona ukradła mi zeszyt – oznajmiłam, odwracając się gwałtownie do nauczyciela.

– To jest mój zeszyt – odezwała się Sasha, zanim zareagował. Czytała właśnie tekst piosenki. Wędrowała oczami po kolejnych wersach i najwyraźniej doszła do wzmianki o Cadzie, bo nagle przestała i spojrzała na mnie.

– Oddaj Lily jej zeszyt – nakazał ostro pan Mendoza.  
– Natychmiast.

Nie posłuchała, a nawet wertowała go dalej. Widziałam, jak przekrzywia głowę, czytając notatki, które robiłam czasem na marginesach, by pomóc sobie przy pisaniu tekstów. Czyżby czytała to, co napisałam o tacie Cade'a? O jego domu? Zmartwiałam.

– Sasha – warknął pan Mendoza.

Sasha zatrzasnęła zeszyt i rzuciła go w moją stronę. Wylądował z trzaskiem na podłodze obok mnie. Podniosłam go i otworzyłam na jednej ze stron, które na pewno czytała. I chociaż część słów przekreślał tam wielki iks, większość nadal była całkiem czytelna. Przyjrzałam się im. Odnosiły się do korespondencji z Cade'em. Gdybym nie dopełniła swojej piosenki całkiem zbędną tyradą, nie wiedziałaby, do kogo się odnosi. Ale dopełniłam, więc się dowiedziała. I nie miałam pojęcia, jak spożytkuje tę wiedzę.

## Rozdział 35

Przywalenie komuś na terenie szkoły skutkowałoby natychmiastowym zawieszeniem. A mnie nie marzyło się zawieszenie. Tak właśnie sobie mówiłam, idąc po odsiadce na parking.

Wyszłam z sali pierwsza i musiałam dotrzeć do domu, nie oglądając się na Sashę, bo nie ręczyłabym za siebie. Przejście na parking niewiele mi dało, bo nie czekała tu na mnie dzisiaj ani moja siostra, ani mama.

Wyjęłam komórkę i napisałam do Ashley: „Ktoś mnie odbierze?”.

– Lily – powiedział ktoś za mną. To była Sasha.

Szybko się odwróciłam twarzą do niej. Potem cofnęłam się o krok, a dłonie zacisnęłam w pięści. Dwie pięści aż rwące się do bitki.

– Co?

– On wie, że to ty?

Mój żołądek wywinął kozła.

A więc wszystko sobie powiązała. Należało tylko zdecydować, co odpowiedzieć. Jeśli potwierdzę, pójdzie z tym do Cade’a. Jeśli zaprzeczę... Co wówczas? Co wtedy nastąpi? Powiadomi go? Czy będzie dalej udawać, że to ona pisze listy... O ile zaczęła się już pode mnie podszywać.

Musiałam podjąć decyzję.

– Nie. Nie wie. – Za nic jednak nie powiedziałabym jej, że ją o to posądza.

Sasha uśmiechnęła się ironicznie.

– Tak właśnie myślałam. Lauren opowiadała, że prawie co dzień na chemii piszesz i czytasz listy. Nie wiedziała tylko, z kim korespondujesz.

A więc Sasha skojarzyła sobie to wszystko nie tylko na podstawie moich tekstów. Także Lauren opowiedziała jej o mojej korespondencji.

– Gdyby Cade wiedział, że to ty, padłby trupem – kontynuowała Sasha. – Nie znosi cię.

– Wiem. – W gardle rosła mi gęła. Sama nie wiedziałam czemu. Nie usłyszałam przecież niczego nowego. Czemu moja złość przeradzała się w smutek? Dlaczego od chęci przywalenia jej przesłam do

marzenia, by zaszyć się w łóżku i nigdy już z niego nie wstać?

– Gdybyś usłyszała choć połowę z tego, co o tobie wygaduje, odechciałoby ci się na niego lecieć – dodała bezlitośnie.

– Nie lecę na niego. Mam... chłopaka. – To ostatnie słowo niemal wykrztusiłam. Bo przecież Lucas nie był moim chłopakiem. Ale akurat teraz musiałam tak go przedstawić.

– Z tych wierszy wynika coś innego.

– Nie lecę na niego.

– Nie powiem Cade'owi, że to ty, ale masz przestać do niego pisać.

On jest teraz ze mną.

– Wiem.

Ktoś dwukrotnie zatrąbił i obejrzałam się w nadziei, że zobaczę siostrę.

Zamiast niej zobaczyłam jednak Cade'a.

– To moja podwózka – powiedziała Sasha z uśmiechem równie wrednym, jak jej ton.

Chyba chwilę za długo zwlekała z tym, żeby pobiec do samochodu, bo Cade wyskoczył z wozu i zaczął iść w naszą stronę. Sytuacja robiła się coraz gorsza.

– Cześć, dziewczyny – powiedział.

– Jedźmy już – zażądała Sasha.

Cade spojrzał na mnie.

– Fantastyczna fryzura, Lily.

Powstrzymałam się przed przyczesaniem jej. Po jego durnym uśmiešku poznałam, że to była drwina. Sasha wybuchnęła śmiechem.

– Koleżanki z odsiadki? – zapytał.

– W życiu – zapewniłam go, starając się wziąć w garść. Na szczęście już nie chciało mi się płakać. Byłam jedynie wściekła.

– To ją też zaliczasz do wrogów? – zapytał mnie, nadal z tym drażniącym uśmiechem.

– Nie udawaj, że nie wiesz – warknęłam. – Twoja dziewczyna właśnie przypomniła mi, dlaczego nie po drodze mi z takimi, jak wy dwoje.

– Nie po drodze ci z nami, bo nikt cię tu nie chce, ale co ci szkodziło spróbować.



Wyglądało na to, że Cade chce coś powiedzieć, ale się waha, jakby czekając na moją. Nie doczekał się. Miałam dosyć.

Odwróciłam się na pięcie i wyrwałam przed siebie. Pozwoliłam sobie tylko na jedno zerknięcie na nich i trafiłam niestety na to, jak Sasha obejmuje go w pasie. Gdy się oddalali, puściła mi oko, jakby łączył nas jakiś spisek. Jakby cokolwiek nas łączyło.

Może jednak trzeba było jej przylać?

## Rozdział 36

Do mojego pokoju weszła mama i położyła przede mną jakieś pudełeczko.

– Lily, proszę cię, zrób coś dla mnie – powiedziała.

Spojrzałam na nią błędnym wzrokiem znad zeszytu. Próbowałam zagłuszyć smutek pisaniem, ale to nie skutkowało. Wciąż jeszcze za bardzo byłam roztrzęsiona spotkaniem z Sashą na parkingu.

– Hmm... Okej – odparłam, zamykając zeszyt i odgarniając włosy z oczu.

– Chcę, żebyś doręczyła to w moim imieniu. – Mama skinieniem głowy wskazała pudełeczko.

– Co to takiego?

– Coś z biżuterii.

– Okej. Masz adres? – Podniosłam się. Mama prosiła mnie czasem o podrzucenie czegoś klientom. – Zapłacą przy odbiorze czy to już opłacone?

– Nikt nic nie będzie płacić. To prezent na przeprosiny.

– Nie rozumiem.

– Od ciebie.

– Ode mnie? Dlaczego?

Mama oparła ręce na biodrach.

– Dlatego że mieliśmy gościa, którego potraktowałaś bardzo niewłaściwie. Nie rozmawiałyśmy o tym wówczas, bo było Święto Dziękczynienia. Dlatego rozmawiamy teraz. Ten chłopiec cały czas był miły, a ty sprawiłaś, że poczuł się jak ktoś niepożądany.

Za bardzo mną to wszystko wstrząsnęło, bym mogła odpowiedzieć, ale w końcu odzyskałam głos.

– Wiem. Bardzo mi przykro. – Naprawdę to wiedziałam i naprawdę było mi przykro, ale prawdziwe było też to, że nie marzyłam mi się doręczanie tego pudełeczka i z całych sił pragnęłam, aby mama, widząc moją skruchę, oszczędziła mi tego wszystkiego. Bo chociaż nasz gość tamtego dnia nie zasługiwał na to, jak go potraktowałam, po tysiącokroć zasłużył na to innymi swoimi wyczynami.

A jego okropna dziewczyna zasługiwała na coś jeszcze gorszego.  
– To dobrze. A więc nie powinno ci to sprawić zbytnej trudności.  
– Mama poklepała wieczko pudełka i odwróciła się do wyjścia.

– Mamo! Zaczekaj!

Zatrzymała się.

– A Wyatt nie mógłby przekazać mu tego w czwartek na treningu bejsbola? Nie musiałabym brać tego teraz i zajmować ci samochodu.

– Samochód mamy był sfatygowany, brudnawy i bardzo maminy. Chociaż odzwierciedlał również dzieje mojego życia, za wszelką cenę starałam się unikać jeżdżenia nim, a już na pewno w superporządną okolicę, pod dom kolesia, któremu i bez tego nie brakowało powodów, by ze mnie kpić. – Albo dam mu to w szkole. – *Albo na święty nigdy.*

– Chciałabym, żebyś zawiozła to teraz, Lily. – Znowu wskazała pudełeczko. – Jedź już. A kiedy tam będziesz, nie zapomnij powiedzieć, że przepraszasz.

To akurat było niemożliwe.

\* \* \*

Minęły lata, odkąd ostatnio odwiedzałam dom Cade'a Jenningsa, i miałam nadzieję, że moja stopa już nigdy tam nie postanie. I oto znalazłam się przed ogromnymi dwuskrzydłowymi drzwiami.

Gdy dzwoniłam, modliłam się, żeby nie było go w domu. Albo żeby otworzył mi jakiś kamerdyner. Wtedy mogłabym rzucić mu pudełeczko i uciec.

Szczęście jednak ostatnio mi nie sprzyjało. Po tej całej historii z gitarą, aferze z odsiadką i sprawie z Sashą nie powinnam się spodziewać, że chociaż to pójdzie po mojej myśli.

Otworzył Cade. Metr osiemdziesiąt, z lekka wilgotne włosy i ten jego olśniewający uśmiech.

– Hej – powiedział, jakby to, że stoję na jego progu, było najzupełniej normalne.

– Cześć – wymamrotałam ze spuszczonej oczami.

– Wejdz.

Czyżby mama uprzedziła go, że przyjadę?

Wchodząc do wielkiego przedpokoju, myślałam, że może

wyolbrzymiła go moja wyobraźnia, ale jeżeli już, to był nawet większy, niż zapamiętałam. I bielszy – marmurowa posadzka, na niej duże białe wazony, na ścianie wielki abstrakcyjny obraz przedstawiający wyłącznie białe linie.

Wyciągnęłam przed siebie pudełeczko.

– To od mojej mamy.

– Co to takiego? – Otworzył pudełko i wyjął z niego bransoletkę, którą dopasowywała na jego nadgarstku w Święto Dziękczynienia.

– Oho! Ta męska bransoletka. Wydawało mi się, że mówiłaś, że byłem tylko modelem.

– Tak było do czasu, aż potraktowałam cię niemiło

– powiedziałam. – To prezent za to, że „córka zachowała się wobec ciebie niemiło”.

– Skoro tak stawia sprawę, to należy mi się jeszcze z pięćset takich.

– Po głosie Cade’a można było poznać, że się uśmiecha.

– Bardzo śmieszne. Nie musisz jej nosić. – Ta przynajmniej nie była ozdobiona piórkami. – Możesz dać ją mamie albo coś.

Udał oburzenie.

– Lily, to męska bransoletka. Moja mama nie jest mężczyzną. Sam ją będę nosił. A ilekroć ją włożę, będzie mi przypominała, jak przeprosiłaś mnie za to, że byłaś wredna.

– Nie przeprosiłam.

– Oo. – Uniósł brew. – A więc to twoja mama przeprasza za to, że byłaś wobec mnie wredna?

Zaśmiałam się.

– Tak.

– Ale ty nie?

– Dobra. Ja też. Do zobaczenia.

– Zaczekaj.

Już się wycofywałam, ale się zatrzymałam.

– Musisz mi pokazać, jak się jej używa.

– Używa?

– Jak się ją wkłada. – Cade odwrócił się i odszedł. Chyba miało to oznaczać, że powinnam za nim pójść. Pomyślałam, czy sobie tego nie darować, ale wtedy na pewno należałaby mu się ode mnie kolejna

bransoletka.

Znalazłam go w jego przestronnej kuchni. Pudełeczko i bransoletka spoczywały teraz na wyspie kuchennej, a on po jej drugiej stronie szykował sobie kanapkę. Najwyraźniej przyszedł w porze przekąski. Oddzielona od niego blatem zatrzymałam się przy pudełeczku.

Cade przykrył stos składników kolejną kromką chleba i odgryzł kawałek.

– Chcesz coś? – zapytał z pełnymi ustami.

– Nie. Nie jestem głodna. – Podniosłam bransoletkę. – A więc to typowe zapięcie. Otwiera się tutaj i zaczepia o to kółeczko.

– Zaczekaj sekundkę. Skończę jeść, to będziesz mi to mogła pokazać na ręce.

Nie zamierzałam dać się sprowokować, a oczywiste było, że do tego właśnie dążył – że mnie prowokował. Odłożyłam bransoletkę do pudełeczka, oparłam się o blat i czekałam. Za jego prawym ramieniem widziałam wielkie przeszklone drzwi, a za nimi basen.

Wróciłam myślą do jego czternastych urodzin. Kiedy już wszamaliśmy jedzenie z cateringu, wszyscy wyszli nad basen. Masa chłopaków pływała, a dziewczyny siedziały na jego skraju, jakbyśmy mogły się pod wpływem wody rozpuścić. Przebrałabym się w kostium kąpielowy, ale nie zamierzałam się kąpać, skoro nie robiła tego Isabel. Tym bardziej że kostium miałam po siostrze i był na mnie odrobinę za duży. Rozmawiając z Isabel, w pewnym momencie wsunęłam dłoń do kieszeni szortów i wymacałam tam kawałek papieru. Gdy go wyjęłam, okazało się, że to pięciodolarowy banknot. Poprzednio te szorty miałam na sobie dawno temu i tak mnie zaskoczyło to znalezisko, że wydałam okrzyk radości i oznajmiłam: „Najlepszy dzień wszech czasów!”. Cade, który właśnie podchodził do Isabel, spytał: „Tyle wystarczy ci do szczęścia? Może gdybym co rano dawał ci piątkę, byłabyś milsza”.

Stołek barowy obok mnie tak zazgrzytał na posadzce, że aż podskoczyłam, wyrwana z moich wspomnień. Cade siedział na nim bokiem, jakby się stąd nie ruszał cały dzień. Jak długo się wpatrywałam w okno? Jedną rękę trzymał na blacie wnętrzem dłoni do góry, drugą podawał mi bransoletkę.

Wzięłam ją z westchnieniem i owinęłam mu wokół nadgarstka.

– To nic trudnego, zwyczajne zapięcie. Otwierasz, odciągając tę małą dźwignię, zahaczasz o kółeczko i puszczasz. Koniec.

– Zrobiłaś to oburącz. Jak mam to zrobić jedną ręką?

– Nie wiem. Oprzyj rękę o ladę, żeby była nieruchomo.

Oddałam mu bransoletkę i przez kilka minut patrzyłam, jak wypróbowywał różne metody zapinania bransoletki jedną ręką. Zagryzłam wargę, żeby się nie śmiać.

– Uważasz, że to śmieszne? A ty zrobisz to jedną ręką?

– Tak.

– Udowodnij.

Owinęłam bransoletkę wokół nadgarstka, potem połączyłam jej końce.

– Okej. Wyglądało na łatwiznę, ale siedzisz w tym interesie, więc się przeskoliłaś i w ogóle.

Roześmiałam się.

– To żaden mój interes.

– To interes rodzinny.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakbyśmy byli gangsterami czy kimś takim.

Wrócił do prób połączenia końcówek zapięcia na nadgarstku. Po dłuższej chwili jęknął sfrustrowany.

– Daj mi rękę.

Podeszłam bliżej niego i już po chwili uświadomiłam sobie, że weszłam między jego nogi, rozchylone, gdyż siedział na stołku barowym. Niezręcznie było się wycofać, tak jakby na mnie w jakiś sposób działał, więc tego nie zrobiłam. On też tego nie zrobił. Ale bijący od niego piżmowy zapach utrudniał mi spokojne oddychanie.

Podniosłam bransoletkę za oba końce i spróbowałam zapiąć mu ją na nadgarstku. Jakoś jednak trzęsły mi się ręce.

– Ładnie pachniesz – powiedział cicho.

Na moment zamknęłam oczy, łapiąc oddech.

– Trzymaj nieruchomo.

– Ja się nie ruszam.

– Przestań.

– Co ja takiego robię?

– Utrudniasz mi.

– Mogę cię o coś zapytać?

Czemu on tak wspaniale pachnie? Postanowiłam go o to zapytać, gdy już zada to swoje pytanie.

– Tak.

– Dlaczego my tak ze sobą walczymy?

Zaskoczona otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam.

– Nie walczymy. Rzecz w tym... Ja po prostu... Nieciekawie się między nami poukładało.

– Nigdy nie potrafiłem pojąć dlaczego.

– Bo nadałeś mi okropne przezwisko w samym środku lekcji, na której już i tak zostałam upokorzona.

– Myślałem, że ci pomagam. Bombardowano cię piłką do kosza. Pomyślałem, że jak zamienię to w żart, ludzie będą się śmiać z niego zamiast z ciebie.

– Nie wypaliło.

– Chyba też to zauważyłem. A więc o to chodziło? Wymyśliłem przezwisko i tym zyskałem sobie śmiertelnego wroga?

– Wszystkich tak traktujesz – odparłam, patrząc mu w oczy.

– Upokarzasz ich w imię miłosierdzia. Potem rzucasz chamskie teksty i nigdy nie wiem, czy robisz to dla beki, czy nie masz świadomości, że są chamskie, bo naprawdę są. Nawet dzisiaj drwiłeś z moich włosów.

– Co takiego? Nie drwiłem z twoich włosów. Masz fantastyczne włosy.

Na moment odebrało mi mowę.

– No, skoro tak... Ale! A do tego wszystkiego okropnie traktowałeś Isabel.

– Ja okropnie traktowałem Isabel? Ja? A ty jak ją traktowałaś?

– Ja? Co niby takiego robiłam? – oburzyłam się. – Była moją najlepszą przyjaciółką. Nadal jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Nie mogła na ciebie liczyć. Umawiała się z tobą, a ty w ostatniej chwili to odwoływałaś, bo musiałaś posiedzieć przy dzieciach, i non stop widziałem, jaka jest zawiedziona.

Oburzyła mnie ta jego krytyka.

– Mam obowiązki domowe. Ona o tym wie.

– A potem to mnie się czepiasz, jakbym to ja zostawiał ją samą w restauracji czy w środku imprezy.

Popatrzyłam na niego ze złością.

– Przy tobie była samotna, nawet gdy stałeś obok niej. Tak bardzo się wyłączałeś. Skupiałeś się tylko na telefonie lub ignorowałeś ją na wszelkie inne sposoby.

Skrzywił się.

– Miałem wtedy... swoje sprawy.

– Sprawy? Nigdy jej nie opowiadałeś o tych swoich sprawach, prawda? Nigdy jej nic o sobie nie mówiłeś. Nikomu nic nie mówisz, chyba że... – urwałam zdumiona, że posunęłam się tak daleko. O mało się nie zdemaskowałam.

Wbił we mnie wzrok.

– Chyba że co?

– Twojej dziewczynie. Jestem pewna, że Sashy mówisz wszystko.

– Przestań ją tak nazywać. Nie jest moją dziewczyną.

– Wie o tym?

Otarł się kolanem o moje biodro, a mnie przeszedł prąd. Czemu wciąż jeszcze stałam tak blisko niego? Prawdopodobnie dlatego, że wciąż trzymałam w dłoniach końce bransoletki. Nie wiem, czy to ze złości, jaką cała teraz kipiałam, czy z czystej determinacji, udało mi się szybko zatrzasnąć zapięcie i cofnęłam się o krok.

– Możesz już się cieszyć tą przeprosinową męską bransoletką – warknęłam.

– Już uwielbiam tę moją męską bransoletkę!

Absurdalność tego stwierdzenia o mało nie doprowadziła mnie do śmiechu. Nie byłam pewna, czy Cade'owi też chciało się śmiać, ale coś takiego błysnęło w jego oczach. Wstał i nagle znaleźliśmy się jeszcze bliżej siebie niż przedtem. Gdy na niego patrzyłam, poczułam w oczach wilgoć i zorientowałam się, że wcale nie mrugam. Pragnienie śmiechu całkiem prysło, ustępując miejsca innym pragnieniom, których z całą pewnością ze mną nie dzielił. Właśnie wyraźnie powiedział, czemu mnie nienawidzi. Byłam zła na siebie za te swoje odczucia. Odwróciłam się i uciekłam.

Gdy wróciłam do minivana, musiałam odczekać prawie pięć minut



i dopiero uspokoiłam się na tyle, by ruszyć.

## Rozdział 37

Prawdopodobnie dlatego, by mnie wkurzać, przypominać, co symbolizowała ta bransoletka, a może z jakiegoś innego powodu Cade cały ranek obnosił się z nią w szkole, nie przejmując się koralikami. I chociaż Arizonę zaatakowała w końcu zima, a z nią temperatury najniższe od miesięcy, chodził w bluzie z rękawem trzy czwarte i bez kurtki, przez co bransoletka była jeszcze bardziej widoczna.

Spojrzałam na niego ze złością już na szkolnym parkingu.

Uśmiechnął się do mnie, ale nie takim prawdziwym uśmiechem, a wyzywającym.

Zdecydowałam się podjąć wyzwanie.

– Ładna bransoletka – stwierdziłam, zrównując się z nim, zamiast go jak zazwyczaj unikać.

– Dziękuję – odparł. – Dostałem ją od dziewczyny odczuwającej głęboki żal przez to, że niemiło mnie potraktowała.

– Głęboki żal? Tak ci powiedziała?

– Tak chciała powiedzieć. Widziałem to w jej oczach.

– A nie patrzyłeś przypadkiem w odbicie swoich? To bardziej do ciebie pasuje.

Przeczesał dłonią włosy, odgarniając je z czoła, opadły jednak z powrotem, gdy ledwie opuścił rękę.

– Coś w tym jest. Wszyscy cenimy piękno. A ona ostatnio powiedziała mi, że jestem przystojny.

– Hmm. Miejmy nadzieję, że od tamtej pory zmądrzała.

– Nie, bo gdy zobaczyła mnie dziś rano, wyczułem, że nie potrafi mi się oprzeć.

Zaśmiałam się, szukając w myślach kontry, ale z jakiegoś zatrwającego powodu żadnej nie potrafiłam znaleźć. *Co się ze mną dzieje?*

Uczniowie, których mijaliśmy, mówili mu „cześć”, a on odpowiadał im skinieniem głowy.

Ja natomiast potrząsnęłam głową.

– Tę rundę wygrałeś. – Widząc przed sobą Isabel, dodałam:

– Następną wygram ja. – Przyspieszyłam kroku, zostawiając go w tyle.

Minęłam Saszę, która idąc w stronę Cade'a, obdarzyła mnie tak nienawistnym spojrzeniem, że wiedziałam już, że sobie porozmawiali.

– Dzień dobry, słoneczko! – zawołałam do niej, nie bardzo wiedząc, co we mnie wstąpiło.

Zignorowała mnie.

Isabel pierwsza wyszła z naszym porannym powitaniem.

– Banany z polewą czekoladową.

– Przez ciebie robię się głodna. Zawsze przed snem myślisz o jedzeniu?

– Hej, zanim skomentujesz, musisz powiedzieć, o czym sama myślałaś.

– Męska bransoletka.

– Hej?

– Mama kazała mi wczoraj zawieźć ją Cade'owi za to, jak go potraktowałam w Święto Dziękczynienia.

Wcześniej już opisałam Isabel w SMS-ach całe zajście z Saszą podczas odsiadki, ale dotąd nie wprowadziłam przyjaciółki w szczegóły mojej wizyty u Cade'a.

Isabel wytrzeszczyła oczy.

– Twoja rodzina zmówiła się przeciwko tobie? Najpierw braciszek go zaprasza, a potem mama zmusza cię, byś go odwiedziła?

– Wiem. Widocznie nie przyswoili sobie listy moich wrogów, choć specjalnie ją dla nich wydrukowałam.

– Na tej liście jest więcej pozycji?

– Jak dotąd Cade i Sasha. Ale lista jest otwarta. – Umilkłam, myśląc o czymś, co Cade zarzucił mi poprzedniego dnia. – Iz?

– Słucham.

– Czy ja cię źle traktuję? Przepraszam za te wszystkie wypadki, gdy coś w ostatniej chwili odwołuję, bo wyskoczyły mi jakieś obowiązki domowe.

Natychmiast oparła ręce na biodrach.

– Co takiego? Lily, daj spokój. Nie musisz za to przepraszać.

Wiem, że masz dużą rodzinę. Czasem odczuwam rozczarowanie, gdy coś trzeba odwołać, ale się nie wkurzam. Jesteś wspaniałą siostrą i córką.

Byłabym egoistką, gdybym wściekała się o coś takiego.

Ulżyło mi.

– Cade coś takiego mówił? – zapytała podejrzliwie.

Przytaknęłam.

Przewróciła oczami.

– Grrr. Nie pozwól Cade’owi, by wypowiadał się za mnie. Już nigdy.

– Okej. Kochana jesteś.

– Ty też.

\* \* \*

Lista ludzi, którym mówiłam, że nie będę już korespondować z Cade’em, z każdym dniem się wydłużała – widniała na niej Isabel, ja sama, a teraz Sasha. I po moich kilku ostatnich spotkaniach z Cade’em taki właśnie miałam plan. Należało to przerwać.

Biorąc pod uwagę to, że za autorkę listów uważał Saszę, a także nasze nieustające spięcia, mój upragniony związek z Lucasem oraz reakcję Isabel na nieprawdopodobną przecież ewentualność, że Cade wpadł mi w oko... nie miałam innego wyjścia, jak położyć temu kres.

Zajęłam swoje miejsce na chemii. Nie chciałam zostawiać pod stolikiem nieprzeczytanego listu, żeby nie znalazł go nikt inny. A zwłaszcza Sasha. Skoro wiedziała już wszystko o listach, obawiałam się, że może chcieć je przechwycić. Choć nie przypuszczałam, by ona czy Lauren orientowały się, gdzie je chowamy, bo zawsze korespondencję znajdowałam.

Pan Ortega podniósł pudełko z arkuszami.

– Zaraz je rozdaję i przez tę lekcję nad nimi popracujecie indywidualnie lub w parach.

Salę natychmiast wypełnił gwar rozmów i szuranie krzeseł. Ucieszyło mnie, że dał nam możliwość pracy indywidualnej. Nie ruszając się z miejsca, patrzyłam, jak Lauren wstaje, żeby dołączyć do Sashy. W całym tym zamieszaniu wyjęłam spod stolika list.

Nawet nie próbowałam go rozłożyć; od razu wepchnęłam go do plecaka. Łatwiej byłoby mi przeczytać go w domu, a skoro i tak nie zamierzałam odpowiedzieć, nie miało znaczenia, kiedy po niego sięgnę.

Po dziesięciu minutach wiedziałam już, że nie uporam się z zadaniami, jeśli nie będę miała z głowy tego listu. Używając podręcznika do chemii jako osłony, przeczytałam go, podczas gdy reszta sali zajęta była nauką.

*Zapytałaś, czy są jakieś słowa lub gesty, których oczekuję od mojego taty. To dobre pytanie. W liście do niego (nie zawierał ani jednego zdania nadającego się do piosenki) o nic nie prosiłem. Mógłbym mieć nadzieję, że wszystko rzuci, pójdzie na samolot i przyleci do mnie. Ale w realnym świecie, bo w takim żyjemy, chciałbym tylko, żeby odebrał telefon i przyjął do wiadomości fakt mojego istnienia.*

*Żeby przyjął do wiadomości, że popełnił błędy. Jak się wydaje, pragnę przeprosin. I jeszcze zapewnienia, że będzie się bardziej starał. Jestem jego synem; potwierdź, że nie proszę o zbyt wiele. Wiem, że on myśli o mnie tylko wtedy, gdy mama przypomina mu o moich urodzinach. Sądzę, że i moją mamę zaczęło to już męczyć. Nie winię jej za to.*

*Od wielu listów tak nie marudziłem. Dajesz mi zielone światło, tak? Zawsze uważałem, że ciężkie sprawy trzeba zrównoważyć czymś lekkim, ale dziś jakoś nie jestem w nastroju. Przepraszam.*

Odłożyłam list. Musiał mi tak łamać serce? Moje wcześniejsza irytacja gdzieś się rozplynęła. Ucieszyłam się, że go przeczytałam, bo powinnam natychmiast odpowiedzieć. Swoją arkusz powtórkowy przykryłam czystą kartką. Pisząc, regularnie zaglądałam do podręcznika, żeby obserwujący mnie myśleli, że notuję coś, co wyczytałam. Nie byłam pewna, czy Sasha się na to nabierze, w tej chwili jednak mnie to nie obchodziło.

*Nie musisz przeproszać. Niejeden raz doprowadziłeś mnie do śmiechu. A nie masz przecież dostarczać mi gratisowej rozrywki czy coś takiego. Możesz marudzić, ile tylko chcesz. Dostajesz co najmniej zielone światło razy sto. I oczywiście prosić o coś takiego swojego ojca to nie za wiele. To Twój ojciec. Jeżeli Twój tata zdecyduje się kupić bilet na samolot i tu przylecieć, będę mogła mu przylać? Mam wielką ochotę.*

*Może to jednak niekorzystnie wpłynąć na relacje między wami,  
niewykluczone więc, że się powstrzymam. Nie wiem, co powiedzieć  
więcej, może tylko tyle, że bardzo Ci współczuję.*

## Rozdział 38

Następnego dnia nie mogłam się doczekać listu od Cade'a, mając nadzieję, że okaże się radośniejszy. W nocy wiele o nim myślałam, zastanawiając się, czy nie będę potrzebowała jakiegoś pretekstu, by znów go odwiedzić i sprawdzić, co u niego. Wybiłam to sobie z głowy, przypominając, jak marnie wypadła moja ostatnia wizyta w jego domu. Nie chciałam, by poczuł się jeszcze gorzej.

I gdy tylko zajęłam swoje miejsce na chemii, moja dłoń powędrowała pod blat stolika.

Niczego nie znalazłam.

Strategiczne upuszczenie ołówka przyniosło ten sam rezultat. Dzisiaj nie było listu. W pierwszej chwili pomyślałam, że zabrała go Sasha. Jeszcze się jednak nie pojawiła. Lauren przeglądała swój arkusz powtórkowy z poprzedniego dnia, a ostatni podejrzany, pan Ortega, pisał coś na tablicy.

Widocznie więc Cade nie przyszedł do szkoły. Rozważyłam kilka przerażających przyczyn jego nieobecności i zmusiłam się do przestania na hipotezie, że po prostu się rozchorował. Nie było więc się czym martwić. Stale ktoś zostawał w domu z powodu choroby.

Napisałam do niego list z życzeniami zdrowia, uzupełniony o rysunek talerza z zupą żółwiową. Następnego dnia wszystko wróci do normy.

A jednak następnego dnia się tak nie stało. Nie było też listu – jedynie mój wczorajszy. Korciło mnie, żeby zapytać Sashę, gdzie podziewa się Cade, ale uznałam, że lepiej tego nie robić.

Zostawiłam mu jeszcze jeden list, zarzucając, że psuje mi lekcje chemii swoją egoistyczną chorobą, i miałam nadzieję, że naprawdę tylko o to chodzi.

– Przypominam, że jutro egzamin końcowy – powiedział pan Ortega, gdy tylko wsunęłam pod stół najnowszy list. – Zadbajcie o to, by przestudiować wasze arkusze powtórkowe i dobrze się przygotujcie.

Czyżby Cade'owi miał przepaść egzamin końcowy? Czy w ogóle o nim pamiętał?

Sasha mu przypomni. To nie moja broszka.

Po lekcjach, gdy omawialiśmy z Isabel plany na nadchodzący weekend, zobaczyłam, że Cade wrzuca do szafki swój plecak i wyciąga z niej sportową torbę. Serce mi zabiło.

– Był dziś w szkole? – zapytałam głośno.

Isabel odwróciła się, żeby zobaczyć, na kogo patrzę.

– Kto? – zapytała.

– Cade. Na chemii go nie było.

– Był na chemii.

To stwierdzenie odebrałam jak cios w dołek. Był więc na chemii, najwidoczniej więc nie chciał mi odpisać. Czyżby się domyślił, że nie koresponduje z Sashą? Że chodzi o mnie?

Chwyciłam Isabel pod łokieć i wyciągnęłam ją ze szkoły, zanim Cade mnie zauważył.

\* \* \*

Hałasy dobiegające z podwórka za domem nie były niczym niezwykłym, ale nie dało się powiedzieć tego samego o towarzyszących im głosach. Byli tam razem mama i tata i walili w coś, posługując się młotkiem i gwoździami.

Otworzyłam tylne drzwi i zobaczyłam wzniesioną do połowy ogromną klatkę. Nie jakąś tam klatkę, a dwukondygnacyjny gmach wyposażony w rampy, półki i wszelkie inne cuda, jakie mogą uszczęśliwić królika. Klatkę, którą, jak pojęłam, tata specjalnie zaprojektował i zajęło mu to niemało czasu.

Tata wyprężył się dumnie przy konstrukcji swojego autorstwa. Uniosłam brwi.

– Serio? – zapytałam. – Ciebie też opętała miłość do królika?

Mama się roześmiała, odłożyła młotek i poklepała go po ramieniu.

– Naprawdę dobry z niego tatuś.

– Najwyraźniej nasza rodzina jest w stanie zapewnić miejsce wszystkim, którzy pragną tu rezydować – oświadczył tata, studiując trzymane w ręku papiery.

– A pytałeś królika, czy rzeczywiście chce tu rezydować?

– Uśmiechnęłam się.



– A kto by nie chciał? – Z jego tonu można by wnosić, że się przekomarzał, ja jednak wiedziałam, że tata święcie wierzy, iż nie było na świecie nikogo, kto nie chciałby stać się częścią naszej rodziny.

Roześmiałam się i popatrzyłam na królika, który wydawało się, że obserwuje z nadzieją tę budowę ze swojej dawnej małej klatki. Nie byłam już pewna, czy ten zwierzak kiedyś nie podbije i mojego serca.

Pomachałam rodzicom, wróciłam do domu i idąc do swojego pokoju, wzięłam z lady jabłko.

W domu panowała dziś cisza. Było mi ciężko na duszy i nie miałam pojęcia dlaczego. Może zresztą miałam, ale usilnie przekonywałam samą siebie, że nie o to chodzi. Że nie o niego chodzi.

Wyciągnęłam komórkę i przewijałam kontakty, aż znalazłam numer Lucasa. Od powrotu po feriach z okazji Święta Dziękczynienia nie widziałam go w szkole. Tak naprawdę to nawet go nie szukałam.

Napisałam: „Hej! Wyszukałeś mi może namiar na tę dziewczynę od naprawy gitar?”.

Odpowiedź przyszła w ciągu kilku minut.

„Tak. Pracuje w sklepie z gitarami. Jeśli chcesz, możemy się tam spotkać jutro po szkole”.

„Mam odsiadkę po lekcjach. Może być 16.30?”

„No to do zobaczenia”.

Jutro będę się więc widzieć z Lucasem. To mi pomoże. Musi.

Wyjęłam z futerału trupa mojej gitary. Przytrzymując struny tuż poniżej miejsca złamania, byłam w stanie wybrzdąkać melodię. Była poza jakąkolwiek tonacją i w niczym nie przypominała właściwego brzmienia, ale i tak odrobinę poprawiła mi humor.

– Bo w końcu się ocknąłem prawdą porażony, jednak rzeczywiście zostałem porzucony – zaśpiewałam cicho, robiąc naprawdę dobrą robotę, jeśli chodziło o uzalanie się nad sobą.

W tej samej chwili do pokoju weszła Ashley.

– Co robisz?

– Ćwiczę sobie piosenkę.

Przyjrzała się mojej gitarze – moim szczątkom gitary.

– Żałośniejszej sceny w życiu nie widziałam.

– Dzięki.

- Potrzebna ci jest interwencja siostry.
- Nieprawda. Potrzebna mi samotność. Pragnę tylko pobyć trochę sama.
- W tym domu? – roześmiała się, podnosząc mnie za rękę.
- W szałasie pośród lasu. W chatce na górskim szczycie. W łodzi podwodnej po dziesięciu tysiącach mil podmorskiej żeglugi.
- Wszędzie tam, gdzie to niemożliwe? – zauważyła Ashley. – Daj spokój. Jedziemy na pizzę. Powiem mamie i tacie.

\* \* \*

Pizza z Ashley pomogła. Nie zwierzyłam się jej ze sprawy z Cade'em i listami, ale miło było na trochę się od tego oderwać.

Następnego dnia już się nie przejęłam tym, że pod stolikiem nie ma nowego listu, chociaż rano znów widziałam Cade'a na parkingu. *Tak jest lepiej*, powiedziałam sobie. Kategorycznie ucinając kwestię korespondencji, wyświadczył mi przysługę.

Może Sasha wygadała mu, że to ja do niego piszę, a on się wystraszył. Bo w końcu chodziło o mnie, tę niezgrabę z szaloną rodziną i w dziwacznych ciuchach. Listy to jedno, ale jego reputacja mogłaby nie przetrwać czegoś więcej niż sporadyczne parkingowe pyskówki z Lily Abbott.

Zabrałam te moje dwa listy, które wciąż jeszcze tam tkwiły. Pan Ortega rozdawał właśnie końcowe testy, postarałam się więc zapomnieć o korespondencji oraz całej reszcie i skupić się na egzaminie.

Wymiana listów definitywnie się skończyła. Na amen.

## Rozdział 39

Stałam przy ladzie w sklepie muzycznym, czekając na wyrok w sprawie mojej gitary. Po odsiadce pojechałam do domu, zabrałam jej zwłoki i spotkałam się z Lucasem w sklepie. Stał teraz w innym dziale, oglądając paski do gitary, podczas gdy ja patrzyłam, jak pracownica przede mną uważnie studiuje uszkodzenia.

– Łał. Co się jej przytrafiło? – zapytała. Była ładna, z tatuażami na ramionach i w okularach w czarnych oprawkach.

– Młodszy brat – wyjaśniłam.

– Nie halo – stwierdziła, kiwając głową ze współczuciem. – Kiedy gryf się tak odłamie, chrzani się integralność całego pudła. Szkoda, że nie odłamał się tutaj. – Wskazała miejsce tuż przy główce. – Naprawa byłaby o wiele łatwiejsza. Nie oznacza to jednak, że sprawa jest kompletnie przegrana. Nie zagwarantuję, że brzmienie będzie takie jak kiedyś, ale możemy spróbować. – Odwróciła gitarę. – Zebrałaś wszystkie kawałeczki rozłupanego drewna?

– Nie wiem. Pozbierałam, ile się dało.

– Mogę spróbować.

Jej słowa dawały nadzieję, ale...

– Ile to będzie kosztowało? – To było kluczowe pytanie.

Ponownie przyjrzała się gitarze.

– To zależy, ile czasu mi to zajmie. Maksymalnie parę stówek.

Przełknęłam gulę, która momentalnie urosła mi w gardle.

– Okej, jeszcze się zastanowię. – Pozbierałam połamane kawałki, złożyłam gitarę z powrotem do trumny i zatrzasnęłam zamki.

– A to moje zamiary na wypadek, gdybyś się zdecydowała.

– Podała mi zwyczajną białą wizytówkę. Wepchnęłam ją do tylnej kieszeni dzinsów i pospieszyłam w stronę drzwi, zanim zebrało mi się na płacz.

Lucas miał spotkać się ze mną na zewnątrz.

Zrobił to kilka minut później, niosąc plastikową torbę.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami, ponieważ ze względu na ściśnięte gardło

mówienie nie wchodziło w grę.

– Co się stało?

Futerał z gitarą ciążył mi tak, jakby ważył pół tony.

Minivana mamy postawiłam z przodu parkingu, wskazałam go więc ruchem głowy i poszliśmy w tamtą stronę. Obok sklepu z gitarami była burgerownia In-N-Out, a w kolejce do niej czekał sznur samochodów. Otworzyłam tył minivana, włożyłam do środka gitarę i usiadłam pod otwartą klapą. Lucas zajął miejsce obok. Potrzebowałam jeszcze chwili, żeby cokolwiek z siebie wydusić. Wydawało się, że to rozumie i na szczęście sam też się nie odzywał.

Obserwowałam samochody podjeżdżające do burgerowni, próbując opisać to piosenką, tak jak zwykle to robiłam, kiedy się komuś przyglądałam. Niestety, od jakiegoś czasu nie przychodził mi do głowy żaden porządny tekst. To zresztą i tak nie miało teraz znaczenia. Konkurs był już poza moim zasięgiem. Należało się z tym pogodzić.

Kiedy ucisk w gardle zelżał, powiedziałam:

– Nie jest pewna, czy zdoła ją naprawić. A ja nie mam pewności, czy mogę wyłożyć tyle pieniędzy w nadziei, że jej się uda.

– To kicha.

– Zgadza się. Nie inaczej. – Chciałam gadaniem pozbyć się ciężaru w piersi, ale nie mogłam. Patrząc na Lucasa, uświadomiłam sobie, jak mało go znam i jak mało on zna mnie. Niezręcznie bym się czuła, dzieląc się z nim czymś więcej, niż już się podzieliłam.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał, kiwnięciem głowy wskazując In-N-Out. – Żeby już o tym nie myśleć?

Kilka tygodni wcześniej perspektywa wybrania się z Lucasem na hamburgery i shaki jawiłaby mi się jak spełnienie marzeń. Teraz potrząsnęłam głową.

– Właściwie to nie. Marzy mi się tylko powrót do domu.

– Rozumiem. Kiedy indziej?

Próbowałam to jakoś ogarnąć. Lucas chciał mnie gdzieś zaprosić. Kiedy mu odmówiłam, podjął kolejną próbę. Powinnam być w siódmym niebie, a czułam jedynie smutek. Smutek, który osiadł mi na ramionach i strasznie ciążył.

I miałam pewność, że przyczyną tego smutku jest coś więcej niż ta

moja głupia połamana gitara.

– Zrobiłam coś durnego – wypaliłam nagle.

Lucas zmarszczył czoło.

– Naprawdę?

– Umówiłam się z tobą z niewłaściwych przyczyn.

W obu przypadkach, gdy zdobyłam się na porozmawianie z Lucasem, robiłam to na złość Cade'owi. Od dwóch lat podziwiałam Lucasa z daleka. Podobało mi się moje wyobrażenie, w rzeczywistości jednak nic o nim nie wiedziałam. I teraz w końcu uświadomiłam sobie, że wcale tego nie chcę. Może byłoby inaczej, gdybym mogła wybić sobie z głowy kogoś innego, kto wcale nie miał powodu w niej siedzieć.

– Potrzebuję trochę czasu – powiedziałam, patrząc w ziemię. –

Przepraszam.

– Z jakich niewłaściwych przyczyn? – spytał Lucas.

– Żeby nie myśleć o kimś innym.

– Auć.

– Przykro mi. – Spojrzałam na niego z poczuciem winy w oczach.

– Naprawdę.

Wzruszył ramionami.

– Kumam. Wyślij mi SMS-a, kiedy definitywnie przestaniesz myśleć o tym kimś.

– Wyślę.

Lucas zostawił mnie z tyłu minivana. Patrzyłam, jak wsiada do swojego samochodu i odjeżdża. Nie wydawał się zaskoczony ani też zmartwiony. Ta myśl tyleż przyniosła mi ulgę, co mnie zasmuciła.

Wstając, walnęłam głową w klapę auta. W głowie mi się zakręciło i miałam mroczki przed oczami. Oparłam się o samochód, żeby nie upaść.

Na lewo ode mnie zatrąbił klakson, któremu zawtórowały okrzyki. Spojrzałam tam i zobaczyłam w kolejce do burgerowni beemwuchę Cade'a wypełnioną chłopakami. Tylko tego mi brakowało. Podniosłam rękę i opuściłam ciężką tylną klapę vana.

Trzasnęły drzwi, a potem następne. Cade i jeden z jego kolegów zamieniali się miejscami, kolega siadał za kierownicą. Potem Cade ruszył truchtem w moją stronę, a mnie serce zaczęło bić szybciej. Moje

własne serce okazało się zdrajcą?

– Fajna bryka – powiedział i poklepał bok minivana.

Chciałam go zapytać, dlaczego przestał pisać. Dlaczego zachowywał się tak normalnie, gdy na kilka ostatnich dni zostawił mnie na łodzi bez słowa wyjaśnienia. Ja pierwsza powinnam przestać pisać. Nie on.

– Nie chcę cię teraz widzieć – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. Cade był po prostu kolejnym uosobieniem czegoś, czego pragnęłam, ale nie mogłam mieć. I wiedziałam już na pewno – pragnęłam go. Od tygodni korespondowaliśmy ze sobą i zabujałam się w tym chłopaku. W tym z listów. A niekiedy nawet w tym nie z listów. Wiedziałam jednak też, że to, podobnie jak moja połamana gitara, nigdy dobrze nie zagra. Cade chodził kiedyś z moją najlepszą przyjaciółką. Nie dogadywaliśmy się. Traktował mnie okropnie. Obracał się w całkiem innych kręgach. Byłam dla niego zbyt dziwna. To by się nie mogło udać.

– Mam jedno pytanie – odezwał się Cade – a potem już zostawię cię samą.

Odwróciłam się do niego.

– Co jest? – warknęłam.

Podniósł ręce.

– Ej, nie musisz się na mnie złościć.

– Nie złościsz się. – *Lubię cię i dlatego złościsz się na siebie.*

– O co chodzi?

– Moi koledzy chcieliby męskie bransoletki. Po ile twoja mama je sprzedaje? Potrzebowałbym jeszcze cztery.

Oparłam się chęci przewrócenia oczami. Oczywiście, że za jego sprawą męskie bransoletki stały się czymś super.

– Zapytam ją.

Pociągnęłam za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Sięgnęłam do kieszeni i natrafiłam na pustkę. Gdzie podziałam kluczyki? Może na pace?

– Hej – powiedział cicho. – Coś nie tak?

– Nie. Wszystko gra.

– To przez Lucasa? Widziałem, jak odjeżdżał.

– Możesz już przestać?

- Co przestać?
- Przestać być teraz miły. To pomaga.
- W czym pomaga?

*Pomaga mi nie dać się ponieść uczuciom.*

- Wracaj do swoich kolegów, Cade. Czekaają.

Odszedł, tak jak chciałam. I chociaż nie chciałam, żeby odchodził.

A kiedy otworzyłam pakę, znalazłam kluczyki i otworzyłam zamek w drzwiach minivana, wrócił.

- Już nie czekają. Aha... I będę potrzebował podwózki do domu.

Staliśmy twarzą w twarz przy drzwiach od strony kierowcy, bryła minivana nie pozwalała nas widzieć czekającym w kolejce do burgerowni. Zadzwoił jego telefon, melodyjka, piosenka Crooked Brookes przypomniała mi o łączącej nas więzi. Przerwał ten utwór po kilku dźwiękach, ale nie odebrał. Nie dałam po sobie poznać, że znam tę piosenkę. W końcu było to tylko kilka dźwięków. Może więc nie chodziło o utwór, o jakim myślałam.

- Trzygodzinny rozejm? – zapytał.

Zebrało mi się na płacz i nie zdążyłam go już powstrzymać.

- Nie powinnam płakać.
- Czemu nie?

Tak brzmiała czyjaś zasada. Nie byłam już pewna, czyja. Żadnego płaczu przed trzecią randką. Mniejsza o to, i tak nie dociągniemy do trzeciej randki. Zresztą zasady to głupota. Nigdy się nie sprawdzają.

Podszedł do mnie tak blisko, że znów poczułam ten jego zapierający dech zapach.

- Porozmawiaj ze mną, Lily.

Nachyliłam się, oparłam czoło o jego pierś i pozwoliłam sobie na chwilę smutku spowodowanego tym, że nie mogę mieć tego, kto właśnie przede mną stoi. Nie pozwoliłam rękom go objąć, choć tego pragnęły. Nie przystałam na to, by reszta mojego ciała wtopiła się w niego ani żeby mój policzek dotknął tego, co kryło się pod jego miękką bawełnianą koszulą. Jedynie na oparcie czoła i kilka łez.

- Zanim odjadą, dojdę do siebie – obiecałam.

Zaśmiał się i wziął mnie w ramiona.

- Masz trzy godziny. Nie musisz się spieszyć.

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej, ale ręce wciąż miałam skrzyżowane na piersi, co tworzyło zdecydowanie teraz niezbędną barierę między nami. Napisałam mu w którymś liście, że uściski mają magiczną moc – i rzeczywiście miały. Słyszając w swoim uchu jego oddech, czując sobą bicie jego serca i to, jak ciepło jego ciała łączy się z moim, miałam wrażenie, że całą przechodzą mnie ciarki. Lekko się nachylił, jego głowa znalazła się tuż przy mojej. Mogłam na trzy godziny odpuścić sobie obiekcje. Życ tą idealną chwilą tak długo, jak się da. Nie myśleć o przeszłości, o Sashy czy Isabel...

Nie, musiałam myśleć o Isabel. Ona była dla mnie ważniejsza.

Naparłam na niego rękoma i mnie puścił. Otarłam policzki rękawami.

– Dzięki, już doszłam do siebie.

– Za późno. Już pojechali.

Zobaczyłam, że jego beemwucha wyjeżdża z parkingu i się oddala.

– Pozwalasz kolegom jeździć twoim samochodem?

– Nie jestem do niego aż tak przywiązany, jak mogłabyś sobie wyobrazić.

Bo został kupiony za pieniądze jego ojca, przypomniałam sobie z jednego z jego listów. Wiedziałam o nim więcej, niż przypuszczała.

– Okej. Odwiozę cię do domu. – Pociągnęłam nosem, zakłopotana tym, że przed chwilą się do siebie tuliliśmy.

– Możemy wcześniej jeszcze gdzieś się zatrzymać? – Obszedł minivana i wspiął się na miejsce obok kierowcy, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Kiedy i ja wsiadłam, zapytałam:

– A mam wybór?

– Rozejm. Ogłosiliśmy rozejm.

Zdobyłam się na lekki uśmiech.

– W porządku. To dokąd?



## Rozdział 40

W końcu będę musiała wrócić do domu.

– Już prawie jesteśmy.

Słuchaliśmy dobiegającej z radia okropnej muzyki. Nie mogłam puścić tej, której normalnie słuchałam, bo wszystko wyszło na jaw. Było ciemno i nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy, wiedziałam tylko, że od mojego domu dzieli nas co najmniej dwadzieścia minut drogi.

– Skręć tutaj na siódmkę – polecił Cade.

Skręciłam, a futerał z gitarą przesunął się na pace i rąbnął w ścianę.

– Co to było? – zapytał.

– Truposz, którego tam wożę.

– Fajnie. – Wskazał kierunek. – Okej, a tam po lewej skręć na podjazd.

– Pod Land's End? Zapraszasz mnie do hotelu? Nie jestem z tych dziewczyn.

Roześmiał się.

– Nie zapraszam cię o hotelu... No, zabieram cię do hotelu, ale nie tak całkiem.

Pokazał mi, gdzie zaparkować, i zgasiał silnik.

– Teraz idź za mną – szepnął Cade. – Jeśli ktoś nas zatrzyma, ja będę mówił.

– To coś nielegalnego?

– Właściwie to nie.

– Niezbyt pocieszająca odpowiedź.

– A szukasz pocieszenia?

Nie odpowiedziałam, ale poszłam za nim. W pewnej chwili uznał chyba, że idę za wolno, bo sięgnął po moją rękę i pociągnął mnie za sobą. Dotyk jego dłoni sprawił, że serce mi zatelepało.

Przeszliśmy przez główne wejście do hotelu. W recepcji był tylko jeden pracownik, tak zajęty telefonem, że nawet na nas nie spojrzął. Przemierzyliśmy niezliczone eleganckie sale i korytarze, aż wreszcie znów znaleźliśmy się na zewnątrz, na tyłach hotelu.

Cade przeprowadził mnie obok okazałego wodospadu

z podświetlonymi skałami, potem w górę jakichś schodów i ścieżkami w dół, aż doszliśmy pod zamkniętą bramę opatrzoną napisem PO ZAMKNIĘCIU WSTĘP WZBRONIONY. Przy kłamce była szczelina, w którą należało wsunąć kartę. Doszłam do wniosku, że jest zdecydowanie po zamknięciu. Pewnie nie przypuszczał, że będzie już nieczynne.

Spodziewałam się, że zawróci i poprowadzi nas gdzie indziej, on jednak obejrzał się przez ramię, a potem przeskoczył płot i otworzył bramę od tamtej strony.

– A więc tak należało rozumieć twoje „właściwie to nie”.

– Wzięłam głęboki oddech i przekroczyłam bramę. Długą wybetonowaną ścieżką wspięliśmy się na jakieś wzgórze, docierając do miejsca, które uznałam za nasz punkt docelowy – rozległego tarasu z widokiem na olbrzymią połąć trawy i drzew oraz pustynię.

– To są tereny golfowe – wyjaśnił Cade. – W dzień widać je lepiej. Chłonełam ten widok.

– Często tu przychodzisz?

– Ojczym zabiera mnie czasem na golfa. Samej gry nie znoszę, ale uwielbiam tu przychodzić i siedzieć.

– Twój ojczym ma na nazwisko Jennings, tak? Jak ta firma ubezpieczeniowa?

– Tak.

– I ty nazywasz się Jennings?

Potał czoło.

– Dłuższa historia o tym, że bardziej z powodu wkurzenia się na tatę niż z miłości do ojczyma przyjąłem nazwisko tego ostatniego.

– Kumam. – Miałam ochotę zapytać, czy ojciec odpowiedział już na jego list i czy kiedykolwiek zapytał ojczyma, czemu jest na niego taki cięty. Nie zrobiłam tego. Oparłam się o poręcz i zapatrzyłam na światła. Było tu naprawdę przepięknie. Na krańcu tarasu piętrzyły się jakieś krzesła i stoły, więc Cade wziął stamtąd dwa krzesła, jedno z nich stawiając za mną. Usiadłam, a on obok mnie na drugim.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam. Dlaczego teraz, kiedy ponownie obiecałam sobie, że dam sobie z nim spokój, i przywołałam jego przeszłość z Isabel, zdecydował się zachowywać jak osoba z jego

listów?

– Dlaczego to robię...? – Kilkakrotnie przekręcił swoją bransoletkę wokół nadgarstka, po czym zacisnął dłoń w pięść. – Dlatego.

– Nie rozumiem.

– Przez tę bransoletkę. Nosilem ją, żeby cię wkurzyć, a ona tylko przypominała mi rozmowę, którą odbyliśmy w mojej kuchni. Tę, kiedy tak trafnie wyliczyłaś wszystkie moje wady. Uświadomiłem sobie, że zasługuję na twoją wzgardę, choć zawsze uważałem, że jest nieuzasadniona.

Łał. Nigdy bym nie pomyślała, że usłyszę coś takiego z ust Cade'a.

– Nie zasługiwałaś... I nie zasługujesz – powiedziałam. – Przez lata zbyt pochopnie oceniałam twoje motywacje postępowania. Już tak mam.

Wzruszył ramionami.

– Trochę na to zapracowałem. Zawsze mówiłem sobie, że traktuję cię tak, jak ty potraktowałaś mnie, ale to była tylko wymówka. Nie byłem miły. Jak wtedy na kiermaszu jesiennym. Wiedziałem, że usłyszałaś, jak rozmawiam o tobie z Mikiem, więc celowo powiedziałem to, co powiedziałem. Choć wcale tak nie myślałem. Zachowałem się jak palant. Mam w każdym razie wrażenie, że ta bransoletka pomogła mi pojąć, że też jestem ci winien bransoletkę na przeprosiny. Tylko że nie mam mamy, która nakazałaby mi zrobić coś takiego.

Wyciągnęłam rękę.

– To gdzie ona jest?

Zaśmiał się.

– Mówiłem metaforycznie.

– Dostałam więc metaforyczną bransoletkę na przeprosiny, podczas gdy ty masz rzeczywistą? Totalnie nie fair. – Uśmiechając się, opuściłam rękę.

– Wiem. Słowa to nie do końca to samo co czyny, prawda?

– Ja uwielbiam słowa – zdradziłam trochę za szybko, myśląc o jego listach, tekstach piosenek, książkach i wszystkim innym, co powstawało dzięki słowom. Uniósł brew. – I przy Lucasie też – dodałam.

Jego brew opadła.

– Słucham?

– Byłeś wobec mnie wredny również wtedy, kiedy rozmawiałam z Lucasem.

– Kiedy?

– Na meczu. Odciągnąłeś go i pewnie powiedziałeś, żeby dał sobie ze mną spokój.

Cade pokręcił głową.

– Nie. Próbowałem pomóc. Twarz ci całkiem stężała. Myślałem, że czujesz się nieswojo.

– Przyszedłeś mi z odsieczą?

– Tak myślałem. Widocznie jednak nie.

– Wiesz, ludzie nie zawsze potrzebują tego, żebyś przychodził im z odsieczą.

Popatrzył na swoje dłonie, teraz splecione.

– Ale czasem tak, prawda?

Nie odpowiedziałam, więc mówił dalej:

– Nie ma w tym nic złego, że raz na jakiś czas potrzebuje się pomocy... Że prosi się o pomoc.

– Ja nie potrzebuję pomocy. I nie potrzebny mi ktoś, kto pomaga innym, żeby poczuć się ważny.

Wzdrygnęłam się. Po co to palnęłam? Czemu wciąż się go czepiam?

Wiedziałam czemu. Dlatego że nie był mi obojętny. I coraz bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że jemu nikt nie jest obojętny. Lubił pomagać innym i to właśnie z tego powodu siedział tu teraz przede mną. Myślał, że mi pomaga, choć w rzeczywistości jeszcze bardziej mi wszystko utrudniał.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Chyba masz rację – odparł z westchnieniem. – Próbuję pomagać ludziom po części dlatego, by poczuć... – Zawiesił głos, a ja nie miałam pojęcia, jak zamierzał skończyć to zdanie.

– Co poczuć?

Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. A czemu dzisiaj byłaś taka zmartwiona?

Z trudem przeszło mi to przez gardło.

– Pożegnałam się z czymś, co było dla mnie ważne. A potem

przekonałam się, że Lucas i ja nie jesteśmy jednak kompatybilni.

– *Głównie dlatego, że uznałam, iż tak naprawdę to ty mi się podobasz, choć nie możesz być mój.*

– Nie jesteście kompatybilni? Wydajecie się dla siebie stworzeni.

– Mam się obrazić? – Normalnie tak bym tego nie potraktowała, ale w ustach Cade’a tak to właśnie brzmiało.

– Nie. Chodziło mi tylko o to, że on nie należy do normalsów. Jest trochę inny. I chyba ci się to podoba.

– Podoba.

– To w czym problem?

– Problemu nie ma. Tyle że to chyba nie ten moment. Właściwie nic wielkiego. Serio.

– Na tyle wielkiego, żeby z tego powodu płakać.

Nie płakałam z powodu Lucasa. Z powodu mojej gitary, owszem. Z powodu niepisanego mi związku z Cade’em również. Ale nie przez Lucasa.

– Nie o to chodziło. Pozbieram się.

– Ale jeśli się kogoś wystarczająco mocno lubi, można coś takiego przełamać.

– I w tym problem. – Zaśmiałam się. – Aż tak to my się nie lubimy.

– Bo polubiłaś kogoś innego?

Spojrzałam mu w oczy. Czyżbym się jakoś zdemaskowała?

Wolałam zmienić temat, zanim prawda wyjdzie na jaw.

– A co u ciebie? – zapytałam szybko. – Jak leci?

– Od kiedy?

– No, nie wiem. Od Święta Dziękczynienia, kiedy to pewna nieuprzejma osoba wywaliła cię ze swojego domu.

Uśmiechnął się.

– Może być. Bejsbol nie pozwala mi się nudzić.

Usłyszałam trzaski z krótkofalówki i natychmiast się poderwałam.

– Ktoś idzie – szepnęłam.

Cade w pierwszej chwili mi nie uwierzył, potem jednak od strony ścieżki dobiegły nas głosy mówiące, że trzeba sprawdzić, czy nie doszło do wtargnięcia. Czyli mowa o nas. To my wtargnęliśmy.

Ruszyłam, ciągnąc Cade’a ku jedynym drzwiom mogącym kryć

zejście z tarasu. Wślizgnęliśmy się przez nie do pomieszczenia, które wbrew moim oczekiwaniom nie okazało się salą mogącą zapewnić nam drogę ucieczki, a komórką wypełnioną kolejnymi stosami krzesel. Wpasowaliśmy się między nie, a Cade zamknął drzwi, momentalnie pogrążając nas w ciemności.

Chyba przesunął się w lewo, bo nadepnął mi na stopę. Syknęłam cicho.

– Przepraszam – szepnął. – Gdzie jesteś?

Byłam tak blisko niego, że czułam żar jego ciała, nie potrafiłam więc pojąć, czemu on nie potrafi mnie znaleźć. Podniosłam ręce, myśląc, że dotknę jego pleców, zamiast tego jednak trafiłam na tors.

– Tutaj.

Przycisnął moje dłonie do swojej piersi.

– Już na ciebie nie nadepnę.

– Moglibyśmy powiedzieć im, że jesteśmy gośćmi, którzy zabłądzili – zasugerowałam.

– I musieli przejść przez płot? Obawiam się, że rozpoznaliby mnie i odebrali ojczymowi złotą kartę członkowską klubu golfowego. Domyślą się, że nie zabłądziłem.

– Pozbawiliby go członkostwa za taki drobiazg?

– Ujmijmy to tak: chętnie skorzystaliby z pretekstu. Nie jest najmilszym człowiekiem na tym świecie.

Kiwnęłam głową, choć Cade nie widział tego po ciemku. Za drzwiami słychać było głosy. Chociaż nie były przyciszone, z trudem rozróżniałam, co mówią, nie obawiałam się więc szeptania z Cade'em.

– Dogadujesz się z nim? – zapytałam.

– Z ojczymem?

– Tak.

– Nie. – Tylko tyle powiedział. Przyjęłam więc, że nie ma ochoty o tym gadać.

– Opuściłeś w tym tygodniu jakieś lekcje? – spytałam jeszcze.

– Nie, czemu?

– Aha. – Nie zamierzałam pozwolić, by świadomość tego faktu mnie uraziła. To już nie miało znaczenia. Przypominałam sobie, jak mnie uszczęśliwiło, że nie odpisał.

- Czemu? – powtórzył.
- Mało cię widziałam, i tyle.
- Szukałaś mnie? – Wyczułam w jego głosie uśmiech.
- Chciałbyś.

Zaśmiał się cicho, a ja pod dłońmi wyczułam związany z tym ruch. Zamknęłam oczy i nakazałam swym rękom znieruchomieć, nie przesuwać się, nie podejmować badań, o których tak bardzo marzyły.

- Sasha mi powiedziała.

To stwierdzenie rozwiązało problem pokusy.

Zabrakło mi tchu. Powiedziała mu. Dlaczego mu powiedziała? Co chciała w ten sposób uzyskać? Oczywiście, że musiała mu powiedzieć.

Tak oto wyjaśniła się zagadka, dlaczego przestał pisać.

Rozczarował się.

– Powiedziała? – Tyle tylko zdołałam wydusić. Brakowało mi tchu. Twarz miałam czerwoną. Dziwiło mnie, że jeszcze nie świecę w ciemności. Spróbowałam opuścić ręce, ale przytrzymał je przy piersi. – Kiedy?

- We wtorek, po rozmowie o męskiej bransoletce.

Racja. To miało sens. Widziała, jak rozmawialiśmy, obrzuciła mnie paskudnym spojrzeniem, a potem prawdopodobnie pomaszerowała do niego i wyjawiała prawdę.

- Och. – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– To dlatego się cieszę, że wpadliśmy na siebie wcześniej. Teraz chciałem tylko oczyścić atmosferę.

- I oczyściłeś. Widać teraz wszystko jasno i wyraźnie.

- Na pewno? Bo mnie ta sprawa nadal wydaje się odrobinę mętna.

– To może powiedzmy sobie to głośno i wyraźnie. Co dokładnie nagadała ci Sasha.

- Że mnie nienawidzisz.

- Aha... Czekał, co takiego?

– Nie było to dla mnie nic nowego, bo przecież dopiero co rozmawialiśmy na ten temat u mnie w domu, ale miałem nadzieję, że może już ten etap mamy za sobą. Że przegadaliśmy sprawę. Że możemy się zaprzyjaźnić.

- Nie.

- Nie możemy się zaprzyjaźnić?
- Nie, to znaczy tak, możemy. – Nie mogłam wyjść z szoku.
- Tylko niczego takiego jej nie mówiłam. Ona powiedziała mi to samo o tobie.
  - Tak ci napaplała? A więc mnie nie nienawidzisz?
  - Nie! Nie nienawidzę cię. Dawniej nienawidziłam. Teraz już nie. Rozmawiałam za głośno. Wiedziałam. Było już za późno na zakrywanie sobie ust, ale i tak to zrobiłam. Chociaż nie miało to już znaczenia. Drzwi otwarły się na oścież i jakiś mężczyzna zaświecił nam prosto w oczy latarką.
    - Cade Jennings? – zapytał.
    - We własnej osobie – odparł Cade.
    - Pozwól ze mną.



## Rozdział 41

Wieczór zakończył się marnie. Cade trafił do hotelowego aresztu. No dobra, do biura ochrony, gdzie zmuszono go, żeby zadzwonił po rodziców. Mnie puszczono wolno. Nie chciałam iść, ale powtarzał: „Lily, nic się nie stało, powaga. Nic mi nie będzie. Idź”. Znowu mnie ratował.

Poszłam więc sobie, choć prawdopodobnie powinnam tam zostać. Nie, nie powinnam. *Muszę go złożyć na ołtarzu przyjaźni*, powiedziałam sobie. Ważniejsza była Isabel.

Wróciłam do domu i wreszcie udało mi się dokończyć tekst *Porzuconego*. Piosenki, której z braku gitary nie mogłam nagrać. A gdybym nawet pożyczyła gdzieś instrument, i tak nie mogłabym zgłosić tego utworu. Mówił przecież o Cadzie. A ja nie miałam pewności, czy spodobałoby mu się, że wygrywam konkurs piosenką zainspirowaną jego życiem, które trzymał w tajemnicy. Bo jak mógłby pragnąć, żeby świat dowiedział się o nieobecności jego ojca, gdy z trudem pisał o tym nawet w anonimowych listach?

Siedząc na łóżku z moim zeszytem, wyśmiałam sama siebie. I myśl, że ta piosenka by wygrała, że zyskałaby światową sławę tylko dzięki temu, że wzięłam udział w konkursie. Szanse na to były bowiem bliskie zeru. Ale nawet przy tak nikłym prawdopodobieństwie nie mogłabym tego zrobić Cade'owi. Za bardzo go lubiłam.

\* \* \*

Przez cały poniedziałkowy rano wypatrywałam Cade'a. Chciałam się z nim zobaczyć, żeby się dowiedzieć, czy historia z hotelem i z jego ojczymem dobrze się skończyła. Jako że już do mnie nie pisał, musiałam liczyć tylko na to, że go gdzieś zobaczę. Nigdzie jednak na niego nie trafiłam. Na chemii modliłam się w duchu, żeby znaleźć list. Żeby teraz, gdy było już po egzaminach końcowych, napisał mi, że przeprasza za przerwę w pisaniu, ale za bardzo był zajęty nauką, obowiązkami szkolnymi lub czymś takim. Żeby podał jakiś naprawdę dobry powód przerywania naszej korespondencji.

A kiedy moja dłoń wędrowała na próżno pod stolikiem w poszukiwaniu listu, którego nie mogła tam znaleźć, jeszcze bardziej się podłamałam. Albo odkrył, że to ja jestem autorką listów, i daje mi bardzo wyraźnie do zrozumienia, co o tym sądzi, albo po prostu zostawia za sobą ten etap – Cade zawsze był krótkodystansowcem.

To już nieważne. On już nie był ważny.

\* \* \*

– Co chcesz dzisiaj na obiad? – zapytała Isabel.

Szarpnęłam za zamek, który zaciął się u dołu mojej bluzy z kapturem.

– Nie wiem. Coś gorącego. Zimno mi.

– Powinni postawić tu foodtrucka z zupami. Miałyby wzięcie.

– W Arizonie?

– Okej, to powinni podstawić tu foodtrucka z zupami na grudzień.

– Tu zgoda.

Warknęłam, bo zamek się nie poddawał. Prawie na oślep szłam za Isabel tam, gdzie mnie prowadziła, bo pomimo zmagania z zamkiem wciąż kątem oka widziałam jej buty.

– Jak myślisz, o co chodzi Sashy?

– Hę? – Podniosłam głowę i zobaczyłam Saszę kierującą się prosto na nas i jej twarz, na której złość mieszała się ze smutkiem. Nie bardzo wiedziałam, co z tego będzie. W prawej ręce trzymała plik papierów i kiedy je podsunęła mi pod twarz, dopiero po chwili skojarzyłam, że to moje listy. Wszystkie listy, jakie napisałam do Cade'a. Skąd się u niej wzięły?

– Przez ciebie to jest niemożliwe – burknęła Sasha. – Jesteś za bardzo dziwna. – Wepchnęła mi te listy w rękę, a kilka z nich spadło na ziemię. – To nie mogłabym być ja.

Gdy Sasha już się oddalała, Isabel pomogła mi pozbierać rozrzucone kartki.

– O co jej chodziło? – zapytała zaskoczona.

– To są listy ode mnie.

– Skąd je wytrzasnęła? Cade jej dał?

Poczułam, że ścisną mi się żołądek. Pojęcia nie miałam.

Otworzyłam plecak i zaczęłam dorzucać moją tajną korespondencję do tej, którą dostałam od Cage'a. Zawahałam się, wygarnęłam wszystkie, jego i moje, i podałam Isabel.

– Wezmiesz? Może po szkole urządzimy sobie u ciebie ognisko?

Uśmiechnęła się smutno.

– Skoro tego chcesz.

– Chcę.

Otworzyła plecak i walnęła je wszystkie do środka. Musiałam go raz na zawsze wymazać ze swojego życia.

\* \* \*

Gdy podchodziłam do minivana, stał przy nim Cade, rozmawiając przez otwarte okno z moją mamą. Czułam, że mam taką samą gniewnie smutną minę jak wcześniej Sasha.

– Hej, Lily – powiedział Cade, gdy otworzyłam boczne drzwi.

– Hej. – Wsiadłam i zamknęłam je za sobą.

Wyglądał na zaskoczzonego.

– Cóż, miło było z panią porozmawiać, dziękuję, proszę pani.

Wyatt, widzimy się w czwartek.

– Okej! – odezwał się Wyatt.

Potem Cade spojrział na mnie.

– Rozejm wygasł?

– Mhm. – Byłam w stanie to zrobić. Byłam w stanie znów zacząć go ignorować, mimo że całą sobą marzyłam, by zapytać go, czy w piątek wieczorem po incydencie w hotelu miał problemy z rodzicami. Czy ojczyma wywalili z klubu golfowego? Jak on sam się miewa?

Powoli oddalił się od samochodu, a mama, odjeżdżając, podniosła szybę w oknie.

– Nie pojmuję, Lil, co masz do tego młodego człowieka

– powiedziała – ale musisz z tym skończyć.

Pokiwałam głową.

– To już skończone.

## Rozdział 42

U Isabel pojawiłam się pół godziny później. Ubrałam się w czarny T-shirt, który miał symbolizować nie wiadomo co. Gdy otworzyła drzwi, na jej twarzy malowało się coś, czego nie rozumiałam – miks poczucia winy, smutku i jakby nadziei.

– Przepraszam – powiedziała.

– Co takiego? Za co? – Zaczęła mi drgać powieka w prawym oku.

Do czego zamierzała mi się przyznać?

– Przeczytałam je. Nie powinnam. To osobista sprawa. Ale przeczytałam.

Wytchnęłam powietrze.

– Iz, kiedy je pisałam, nie wiedziałam, że chodzi o niego.

– Wiem. – Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego pokoju, gdzie na biurku leżały skrzętnie ułożone moje listy. – Nie możemy ich spalić.

– Co? Ale ja już ubrałam się na czarno.

Roześmiała się.

– Te listy, Lil... Nic dziwnego, że się w nim zabujałaś.

– Wcale się... – zaczęłam protestować, ale nie mogłam skłamać.

– Wiem.

– Ale on nie wie, że z tobą korespondował?

– Nie.

– Myślał, że to Sasha? – Wskazała listy.

– Jestem tego pewna.

– W takim razie jest idiotą. W ogóle do niej nie pasują. Te listy to cała ty. On zabujał się w tobie.

Poczułam w gardle gulę.

– Nie zabujał się we mnie.

– A wygląda na to, że tak.

– Nawet gdyby to była prawda, choć nie jest, to już nieważne.

Wybieram ciebie. Wybieram nas. Ubrałam się na czarno.

Uśmiechnęła się i mnie przytuliła.

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– Zawsze byłam zazdrosna o ciebie i Cade'a.

Odsunęłam się od niej na tyle, żeby widzieć jej twarz.

– Zazdrosna? O nasze kłótnie?

– Tak. W mówienie o tym, co zrobiłaś, zawsze wkładał więcej pasji niż we wszystko, co robiliśmy lub o czym rozmawialiśmy we dwoje. Nigdy ci o tym nie wspomniałam, bo nie mogłam uwolnić się od myśli, że was dwoje łączy coś, do czego nie chcecie się przyznać.

– Iz. – Rozumiałam, o co jej chodzi, i nie chciałam, żeby czuła, że musi to zrobić.

– Wysłuchaj mnie do końca. – Zebrała listy i delikatnie włożyła mi je w ręce. – Chcę tego dla ciebie.

Uśmiechnęłam się.

– Za to cię uwielbiam, ale on mnie nie chce, on chce ją.

Dziewczynę z tych tutaj. – Podniosłam listy. – A przynajmniej chciał. Bo przestał pisać i nie mam pojęcia dlaczego. Może dlatego, że myślał, że to Sasha. Sama nie wiem.

– To mu powiedz, że to ty!

– Boję się.

– Jeśli nie spróbujesz, zawsze będziesz się tylko domyślać.

– Isabel...

– Lil, proszę. – Spojrzała mi w oczy. – Byłam samolubna. On nigdy nie był mój. Nie do końca mój. Próbowалаm obwinać o to ciebie, ale to nie była twoja wina. Chodziło o nas. O mnie i Cade'a. Nie byliśmy dla siebie stworzeni. Za to wy dwoje... – Położyła ręce na grzbietach moich dłoni, wciąż jeszcze trzymających listy. – Wy dwoje moglibyście... Jak on to określił w jednym z listów? Idealnie się dopełnić? Chyba coś takiego. W każdym razie zgadzam się z nim. Moglibyście. Zrobicie to. Lily, daj wam szansę.

Jej błaganie było tak szczere, tak bardzo z głębi serca, że mogłam tylko powiedzieć:

– Przemyślę to. – I jeszcze: – Dziękuję.

\* \* \*

Kiedy wieczorem weszłam do swojego pokoju, na poduszce coś

leżało. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Jonah znów był u mnie i ruszał moje rzeczy. Ale nie o to chodziło. Na poduszce ktoś położył wycinek z gazety, rozprostowany jak tylko się dało, dotyczący konkursu na piosenkę.

– Nie poddawaj się – powiedziała za moimi plecami Ashley.

– Przepraszam, że tak na ciebie naciskałam.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam moją siostrę w drzwiach i wychylające się zza niej głowy braci.

– Wy to zrobiliście? – zapytałam.

– Lil, jesteś dobra – oznajmiła Ashley. – Może ci się udać. Musisz tylko w siebie uwierzyć.

Podniosłam wycinek, żeby przypomnieć sobie termin zgłoszeń, ale moją uwagę przyciągnął jakiś srebrny błysk. Pod tym wycinkiem, na środku poduszki, leżały pieniądze. Pliczek banknotów i trochę monet.

– Wiem, że na nową gitarę nie starczy – stwierdziła Ashley – ale to już jakiś początek.

– Ja dołożyłem te ćwierćdolarówki – oświadczył z dumą Jonah.

Nie mogłam wydusić słowa. Z oczu pociekły mi gorące łzy.

Rodzeństwo wpadło do pokoju i całą paczką mnie wyściskało.

– Kocham was – wyznałam przez łzy. – Dziękuję.

– Brakowało nam tutaj muzyki – powiedziała Ashley.

– Jesteście najlepsi.

– Wiemy – odparł Wyatt.

– Co tu tak śmierdzi? – zapytała Ashley.

Jonah zachichotał.

– Fu! – Ashley rozerwała uścisk, roztrzając nas na boki i przy wtórze głośnych wrzasków wygoniła Jonaha z mojego pokoju. Mam najlepszą rodzinę we wszechświecie.

## Rozdział 43

Następnego ranka już od samego przebudzenia czułam paniczny lęk. Serce mi galopowało, w płucach mnie paliło, oczy piekły. Przeraziła mnie nawet myśl o wyznaniu Cade'owi, że to ja jestem autorką listów. Nadal nie miałam pewności, dlaczego przestał do mnie pisać, ale nie wróżyło to dobrze, jako że teraz obie wersje mnie, ta pisząca listy i ta w realu, niekoniecznie były przez niego mile widziane.

Nic mu nie wyjawię.

A właśnie, że wyjawię. Bo jak już powiem, przynajmniej sprawa zostanie zamknięta i moje życie wreszcie ruszy z miejsca.

Przewróciłam się na bok. Widok leżącej na mojej szafce kupki pieniędzy, podarowanych mi wieczorem przez rodzeństwo – a było tam prawie sto dolarów – dodał mi sił. Dam radę to zrobić.

\* \* \*

Jeśli potraktować współpracę włosów przy układaniu fryzury jako wróżbę na nadchodzący dzień, zapowiadały się problemy. Moje kudły nie dawały się poskromić. Gdy pojawiłam się w szkole, układały się w dzikie fale.

Z wyjątkowym zapałem szukałam Isabel, żeby się przekonać, czy nie zmieniła zdania i nie uznała za dziwaczne, że ja i Cade możemy zostać parą. Usilnie szukałam dobrego powodu, by się wycofać. Poszukiwałam pretekstu, by nie musieć przyznać, że Cade od dawna mi się podoba.

Ale kiedy znalazłam Isabel, promieniała jeszcze bardziej niż poprzedniego wieczoru.

– Wyglądasz, jakbyś miała puścić pawia – powiedziała, rezygnując z naszego normalnego powitania.

– I czuję się, jakbym miała puścić pawia. A tak przy okazji, to właśnie to, o czym myślałam przed snem.

Roześmiała się.

– Rozumiem więc, że podjęłaś decyzję.

– Tak.

Nie musiała pytać jaką. Wiedziała.

– Nie spinaj się. Czytałam te listy, Lil. Nigdy nie słyszałam, żeby w ten sposób się do kogokolwiek zwracał. Będzie świetnie.

\* \* \*

*Będzie świetnie. Będzie świetnie.*

Początkowo myślałam, że po prostu do niego podejść i powiem, że to ja. Ale to nie pasowało do mnie, nie pasowało do nas... Chociaż żadnych nas i tak już przecież nie było.

Jakoś tak w połowie czwartej lekcji wiedziałam już, że właściwą formą wyjawienia wszystkiego będzie list, pieczołowicie wsunięty pod stół w pracowni chemicznej. Dzięki temu będzie miał czas, by przyswoić sobie jego treść i ją przemyśleć. Nie będzie musiał spieszyć się z reakcją. Może i dla mnie stanowiło to jakiś rodzaj ochrony, ale wydawało się słuszne.

Nie zamierzałam jednak narażać się na to, że Sasha zobaczy, jak piszę list. Wyciągnęłam więc czystą kartkę jeszcze w sekretariacie, gdzie miałam segregować pocztę do przegródek przypisanym nauczycielom. List zaczęłam inaczej niż wszystkie poprzednie. Od jego imienia.

*Cade,*

*cześć. Jak widzisz, wiem, kim jesteś. Kilka tygodni temu przyniosłam panu Ortedze jakąś paczkę i zobaczyłam, jak do mnie piszesz. Przeżyłam szok i szczerze mówiąc, przeraziłam się. Zrozumiałbyś to, wiedząc, kim jestem. Nigdy się dobrze nie dogadywaliśmy. Głównie dlatego, że żywię do Ciebie urazę. Wynikającą, jak się okazuje, chyba z nieporozumień (o co do niedawna się nie podejrzewałam). Sądzę, że chciałabym zacząć od przeprosin. Poznałam Cię najpierw przez listy, które zawsze dawały mi tyle radości, że powinnam wiedzieć, że pisze je ktoś, kto będzie zarówno rzucał mi wyzwania, jak i mnie rozumiał. A potem poznałam Cię już nie w listach i zaskoczyłeś mnie. Pod każdym z licznych względów pozytywnie. Nie jestem pewna, dlaczego przestałeś odbierać moje listy i odpisywać, ale liczę na to, że ten przeczytasz, bo inaczej będę zmuszona zdobyć się na*



*odwagę i powiedzieć Ci to wszystko twarzą w twarz. Oszczędź mi tego. Mam też nadzieję, że powód, dla którego przestałeś pisać, to tylko kolejne z dzielących nas nieporozumień. (To jakoś prosi się o piosenkę. Chciałabyś się zmierzyć z jej pisaniem?). A teraz pora, żebym Ci powiedziała, kim jestem i żebyś też się przeraził.*

*Lily Abbott*

Złożyłam list bez ponownego czytania, gdyż po tym na pewno nie odważyłabym się go wysłać. Wetknęłam go do kieszeni i postarałam się o nim zapomnieć aż do lekcji chemii.

Na chemii nie tak prędko uwolniłam się od listu. Zaczekałam na chwilę, gdy ani Lauren, ani Sasha nie będą zwracać na mnie uwagi, i wtedy wsunęłam go na miejsce. Cofając rękę, trafiłam na krawędź jakiejś innej kartki. Nabrałam cicho tchu i wyjęłam ją. List. Po tygodniu wreszcie do mnie napisał.

Chociaż starałam się rozłożyć go ostrożnie, oberwałam rożek. Nakazałam dłoniom spokój i dokończyłam, rozprostowując kartkę na stoliku.

*Przepraszam, że do Ciebie nie pisałem. Oto powód. Naprawdę cieszę mnie, że do siebie piszemy, a Ty jesteś wspaniała, wesola i mądra, ale spodobała mi się pewna dziewczyna, dziewczyna rzucająca mi wyzwania jak nikt inny przedtem, i pisząc do Ciebie, czułbym się trochę, jakbym ją oszukiwał. Chociaż ona i ja nie jesteśmy parą. Ty i ja też nie jesteśmy. Ale mimo wszystko. Zaczęło mi się to wydawać nieuczciwe i wobec mnie, i wobec niej. Powinienem Ci to napisać już w zeszłym tygodniu, zamiast tak wszystko urywać. Ona jeszcze nie do końca wierzy, że nie jestem ciemnym typem, ale mam nadzieję, że wkrótce się przekona. Życz mi szczęścia.*

Krew powoli odpływała mi z twarzy. Ten list oznaczał jedno z dwojga. Jedną z możliwości było to, że podobam się Cade'owi. Ja. Ta wersja mnie z realu. Bo przecież spędziliśmy ze sobą trochę czasu, prawda?

Istniała też jednak inna możliwość – że pociągał go ktoś całkiem inny. W końcu w tych listach byłam cała ja. Gdybym więc spodobała mu się ja z realu, nie powinien czuć tego samego do tej mnie, która pisała listy.

Byłam w rozterce. Czy powinnam schować swój list i odczekać kilka dni, żeby sprawdzić, czy nie zobaczę go z inną dziewczyną? Czy jednak zostawić ten list w spokoju, licząc, że wyjdzie mi to na dobre?

Zostawiłam list, w znacznej mierze wbrew protestom mojego galopującego serca. Bo jeśli rzeczywiście spodobała mu się jakaś inna dziewczyna, to miałam najlepszą okazję, by go do siebie przekonać.

Po lekcjach pokazałam Isabel ten najnowszy list, a ona zapiszczała.

– Uważasz więc, że to dobrze wróży? – zapytałam.

– Podobasz mu się. Idź z nim pogadać.

Momentalnie odwróciłam głowę, wnioskując z jej tonu, że Cade jest gdzieś w pobliżu. Nie było go, więc odetchnęłam z ulgą.

– Prawdopodobnie jest na treningu bejsbola – powiedziała Isabel.

– Zdaje się, że dzisiaj zaczynają treningi przedsezonowe. Idź go poszukać. Zaczekaj na niego.

– Zostawiłam mu list. Jutro przeczyta. Do tego czasu zamierzam zjeść całe wiadro czekoladek i zapaść w śpiączkę.

– Czekoladki powodują śpiączkę? Cały ten cukier wywoła raczej przeciwny efekt, nie uważasz? – zapytała, jakbym poważnie brała pod uwagę zjedzenie wiadra czekoladek.

– Po takim haju na pewno nastąpi zjazd.

– Ale za długo trzeba będzie na to czekać.

– Masz rację. Co za szczęście, że przemówiłaś mi do rozsądku.

– Jeszcze jeden dowód, że masz ze mnie pożytek.

– Kolejny z miliona.

Ścisnęła mnie za rękę.

– Do jutra. Jutro będą dziać się wielkie rzeczy.

## Rozdział 44

Rano zobaczyłam Cade'a na parkingu. Szedł pogrążony w rozmowie z kolegą, z uśmiechem tak promiennym, że był w stanie zastopować ruch uliczny, a nawet ludzkie serca. Czego moje było najlepszym dowodem. Jak zniosę widywanie go, jeśli ten dzień skończy się fatalnie?

– Tam idzie Cade. – Ashley pomachała, ale tego nie zauważył, więc zaczęła opuszczać szybę w oknie.

Złapałam ją za ramię.

– Nie rób tego, proszę.

– O co chodzi?

– O nic. Możemy poczekać z tym powitaniem?

– Jak to poczekać? – Zrobiła wielkie oczy. – Aha! Trener Wyatta wpadł ci w oko? Jesteś na etapie „bycia tajemniczą”?

Jęknęłam, myśląc o liście czekającym pod stolikiem na lekturę.

– Przechodzę absolutne przeciwieństwo etapu tajemniczości.

– A więc nie rozgrywasz tego prawidłowo.

– Wiem. I pewnie przegrywam na całej linii. Złamałam wszelkie zasady. – Wysiadłam z samochodu, gdy Cade już dawno nas wyminął.

– Widzimy się po lekcjach.

\* \* \*

Chemia. Stolik czekał na mnie niczym nagrobek w filmie o zombie. Sterczałam w drzwiach, wpatrzona w niego, niepewna, czy gdyby kontynuować tę metaforę o zombie, okazał się tą dziewczyną, która przystąpi do natarcia z siekierą w ręku. Bliżej mi było raczej do kogoś, kto czmychnie w przeciwną stronę.

– Wchodzisz czy blokujesz drzwi? – zapytała za moimi plecami Sasha, przeciskając się siłą obok mnie i waląc ramieniem. Poleciałam do przodu, ale się nie przewróciłam. Nabrałam za to impetu, którego potrzebowałam, żeby ruszyć z miejsca.

Usiadłam, policzyłam do trzech i sięgnęłam po list. Moja dłoń natrafiła jedynie na kawałek świeżej gumy do żucia. A więc ziściła się

opcja numer dwa. Spodobała mu się jakaś inna szczęściara. Do tego wiedział już, że to ja. Tak mu przynajmniej napisałam w liście, żeby nie widzieć, jak się przeraził. Moje nadzieje legły w gruzach, zdruzgotane znacznie bardziej, niż się spodziewałam.

Jak w ogóle mogłam myśleć, że tak popularny normals jak Cade poczuje coś do takiej przeciwniczki utartych ścieżek jak ja? Oczy mi się zamgliły, ale kilkoma kategorycznymi mrugnięciami wymusiłam na nich ostrość widzenia. Po raz pierwszy od długiego czasu udało mi się sporządzić solidne notatki, mimo że pan Ortega dawno temu przestał żądać, żebym pokazywała mu je pod koniec lekcji.

Gdy zabrzmiał litościwy dzwonek, przynosząc szczęście w nieszczęściu, pan Ortega wywołał mnie po imieniu.

– Proszę, zaczekaj chwilę.

Sasha obrzuciła mnie tak pełnym satysfakcji spojrzeniem, że zaczęłam się zastanawiać, czy jakimś cudem znów mnie w coś nie wrobiła. Kiedy wszyscy wyszli, pan Ortega podniósł nierozłożony jeszcze list.

– Tego wcześniej szukałaś? – zapytał.

Serce zaczęło mi walić. To on miał w garści coś, co niosło mi nadzieję, i jego powinnam winić za jej odebranie. Kiwnęłam głową.

– Czy ty i Cade uważacie, że jestem ślepy?

Stężałam. Czyżby to oznaczało, że ukradł także mój wczorajszy list? Ten, w którym wyjawiałam Cade'owi, kim jestem?

– Nie.

– Miło mi to słyszeć, bo wasze postępowanie dowodzi czegoś innego.

– Przepraszam.

– Koniec z pisaniem listów na lekcji.

– Tego ostatniego nie napisałam na lekcji – sprostowałam, choć wiedziałam, że nie ma to znaczenia.

– Nieistotne.

– Mogę go już wziąć? – spytałam, wskazując list, który wciąż trzymał w górze jak niedostępną dla mnie nagrodę.

– Zamierzam go zatrzymać. Oddam ci go, kiedy zaliczysz chemię. Do tego czasu – wysunął szufladę biurka i wrzucił go do niej – należy do

mnie.

Tylko wysiłek woli sprawił, że nie padłam na kolana, by błagać pana Ortegę o litość nad moimi biednymi, skołatаныmi nerwami. Złapałam za plecak i ruszyłam do drzwi. Korytarze były puste, wszyscy wyszli już na przerwę obiadową. Gdyby Cade, wiedząc już, z kim ma do czynienia, odpowiedział na list pozytywnie, czyż nie czekałby teraz tu na korytarzu, by z tym swoim niesamowitym uśmiechem wyznać, że pragnie się ze mną ożenić i mieć dzieci gustujące w niezależnym rocku? Chyba że mój list do niego nie dotarł i nadal nie wie, że ja to ja.

Raz po raz odtwarzałam w pamięci ostatnie słowa pana Ortegi. Oczami wyobraźni widziałam list wpadający do szuflady biurka. Ten list był mi potrzebny. Postanowiłam go odzyskać. Mogłabym się z niego dowiedzieć, czy Cade otrzymał ten ode mnie. Mogłabym się dowiedzieć, czy mam go wiecznie unikać, czy też nie.

\* \* \*

Na ostatniej lekcji powiadomiłam siostrę SMS-em, że do domu odwiezie mnie Isabel. Potem napisałam do Isabel, w nadziei, że przystanie na tę podwózkę. Dodałam: „Zechcesz mi pomóc wykraść po lekcjach klucze z sekretariatu, żebym mogła odzyskać list???”.

Wcześniej, na przerwie, opowiedziałam jej, co się wydarzyło. Też nią to wstrząsnęło. Według niej wyjściem z tej sytuacji była rozmowa z Cade’em twarzą w twarz. Wyjście, które wybrałam, mogło – w zależności od tego, co zawierał list – oszczędzić mi dożywotnich upokorzeń.

Odpisała teraz: „Oczywiście, że pomogę. Ja odwracam uwagę, ty odzyskujesz”.

I właśnie tym byłam obecnie zajęta. Odzyskiwaniem.

Z przedniej części sekretariatu docierał do mnie głos Isabel klarującej coś pani Clark. Ja zakradłam się tylnymi drzwiami do głównego pomieszczenia i kierowałam się teraz w stronę długiego stołu. Zadanie Isabel było ciężkie. Miała odwracać uwagę pani Clark nie tylko wtedy, gdy będę wykradała klucze, ale i cały czas potem, żebym zdążyła odnieść je, zanim ich brak zostanie odkryty. Zapewniłam Isabel, że załatwię wszystko tak szybko, jak to będzie możliwe. Obiecałam jej też

duże lody, to jednak chwilowo miało mniejsze znaczenie.

Na siódmej lekcji pan Ortega nie miał zajęć, wiedziałam więc, że dawno już poszedł. Miałam tylko nadzieję, że nie zamknął biurka tak, jak drzwi za sobą.

Dostęp do kluczy był łatwy; korzystałam z nich przedtem, gdyż byłam godna zaufania i odpowiedzialna. Miałam pewność, że gdyby pani Clark zobaczyła mnie teraz, moja reputacja momentalnie ległaby w gruzach.

Upchnęłam klucze w kieszeni, tak żeby nie brzęczały, i wypadłam na zewnątrz. Ledwie stamtąd wyszłam, przyspieszyłam. Żadna ze mnie biegaczka, nawet nie lubiłam biegać. Ale pędziłam tak, jakbym to uwielbiała.

Może powinnam wstąpić do drużyny biegów przełajowych, bo jednak nie byłam taka kiepska. Przynajmniej przez połowę trasy. Gdy dobiegłam do budynku nauk ścisłych, przeklinałam nie tylko całą sekcję biegów przełajowych, ale i sport jako taki. Dostałam kolki, boleśnie dokuczające mi w boku, i ledwie łapałam oddech.

Przed drzwiami sali chemicznej zgięłam się wpół, żeby nabrać trochę powietrza. Wtedy przypomniałam sobie, że Isabel cały czas rozmawia z panią Clark, i wyprostowałam się, rozpoczynając proces znalezienia właściwego klucza drogą eliminacji. Wypróbowałam już pięć z tego kółka, choć wydawały mi się pięcioma setkami, gdy trzasnęły drzwi na końcu korytarza. Wsunęłam do zamka kolejny klucz i miałam szczęście, bo się przekręcił i chwilę potem byłam bezpieczna.

W sali panowała ciemność. Żaluzje były zaciągnięte i troszkę potrwało, nim oczy mi się do tego dostroiły. Skradałam się ku przodowi sali, wyciągając ręce przed siebie. Doszłam już do ostatniego rzędu stolików, gdy drzwi otworzyły się z impetem, odwróciłam się więc z jękiem, pospiesznie myśląc, jak wyjaśnić to panu Ortedze.

Tyle że nie był to pan Ortega. Tylko Cade rozświetlający salę swym olśniewającym uśmiechem. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

– Czyżbym pchnął cię na ścieżkę zbrodni? – zapytał. Ponownie próbowałam złapać oddech.

– Próbujesz sobie przypisać tę zasługę?

– Wołałem cię tam na zewnątrz, ale gnałaś, jakby cię kto gonił.  
– Ćwiczę biegi przełajowe.  
– Naprawdę?  
– Nie, nie naprawdę. Bieganie to mordęga. Jak ludzie mogą robić to celowo?

Uśmiechnął się.

– Te buty nie bardzo się do tego nadają.  
Spojrzałam na swoje fioletowe martensy. Miał rację, były za ciężkie do biegania.

Rozejrzał się po sali.

– To co tu robisz?  
– A nie masz teraz treningu bejsbola? – Starłam z czoła krople potu.

– Szedłem na niego, gdy cię zobaczyłem.

– Na treningach zdarza ci się biegać?

– Czasami.

– Współczuję.

Cade się uśmiechnął.

– Wiem, że nie należę do ludzi wyjątkowo spostrzegawczych, ale odnoszę wrażenie, że unikasz odpowiedzi na moje pytania.

Roześmiałam się.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Sam nie wiem...

Isabel mnie zabije. Jeśli czym prędzej się go nie pozbędę, nie wezmę się do roboty.

– Zmieniłaś zdanie? – zapytał.

– Czy zmieniłam zdanie? W jakiej sprawie?

– Odpisałaś, a teraz próbujesz się wycofać, cokolwiek tam napisałaś?

Moje spojrzenie, dotąd za wszelką cenę unikające jego wzroku, teraz się na nim skupiło. Wiedział więc, że to ja jestem autorką listów. Jednak otrzymał mój list. Miał nade mną przewagę, gdyż wiedział, że mi się podoba, podczas gdy ja nie miałam pojęcia, co czuje. Całkiem możliwe, że napisał mi wspaniały list o tym, jakimi moglibyśmy być wspaniałymi przyjaciółmi.

– Nie – odparłam.

– Co nie?

– Nie. Nie odpisałam ci. Może nawet bym to zrobiła, pewnie tak, ale twój list do mnie nie dotarł. Pan Ortega go ukradł.

Na jego ustach powoli pojawiał się uśmiech.

– Serio?

– Cade, nie kpij, proszę, z mojego spanikowania.

Znów się śmiał.

– Kiedy to takie zabawne.

Zrobiłam kilka kroków w bok, chcąc obejść ostatni rząd i dotrzeć do biurka pana Ortegi.

– Zaraz wyciągnę list z jego szuflady i odpowiem ci, jak go przeczytam.

Skręciłam, minęłam swój stolik... nasz stolik... i prawie już weszłam między rzędy, gdy mnie zatrzymał, mówiąc:

– Lily.

– Zaczekaj chwilę, dobrze?

– Lily. – Stał teraz za mną i położył mi dłonie na ramionach, odwracając twarzą do siebie. Ciepło jego rąk zdawało się wsączać w moją skórę, rozgrzewać mnie. – Nie musisz się włamywać do jego biurka. Mogę ci powiedzieć, co było w liście. Czytałem go milion razy. Powinienem znać na pamięć. – Ostatnie słowa wypowiedział prawie bezgłośnie.

Listy były bezpieczne. To słowa, którymi łatwo się cieszyć, jeśli dawały radość, lub przestać czytać, gdy bolały. Listy nie wpatrywały się we mnie tak, jak teraz Cade, z ogniem w oczach.

– Boję się – powiedziałam.

– Nie ma czego. – Odchrząknął. – Droga Lily – zaczął, nie odrywając ode mnie intensywnego spojrzenia. – Że to ty piszesz listy, wiem od tamtego wieczoru sprzed kilku tygodni, gdy zabrałem Wyatta na trening bejsbola. Usłyszałem muzykę, którą puszczasz. Piosenkę, którą poza nami zna może setka ludzi.

Oddech uwiązał mi w gardle.

– Co takiego? – weszłam mu w słowo. – Wiedziałeś o tym przed Świętem Dziękczynienia? Czemu nic mi nie powiedziałeś?



- Czemu ty nic mi nie powiedziałaś?
- Dlatego że mnie nie znosiłeś.
- Ja z tego samego powodu. Dlatego że mnie nie znosiłaś.

Myślałem, że gdy się dowiesz, że to ja, przestaniesz pisać.

Wróciłam myślą do naszych rozmów z kilku ostatnich tygodni. Do tego, jak uniósł brwi, gdy wspomniałam, żebyśmy unikali śpić, bo jest Święto Dziękczynienia – nawiązując do naszych listów, nie przypuszczałam wtedy, że też to skojarzył.

Święto Dziękczynienia. Tamtego dnia wiedział już, że listy są ode mnie. A ja go wywaliłam z domu. Nic dziwnego, że myślał, iż go nie znoszę.

Czegoś jednak nadal nie rozumiałam.

- A co z Sashą?
- Co z nią? Mówiłem ci, że nie jesteśmy parą.
- A byliście?
- Nie. Chciała się ze mną umówić. Uznałem, że muszę dać jej szansę, w końcu to moja koleżanka. Dałem. Okazało się, że nie jesteśmy... Jakiego słowa użyłaś? Kompatybilni?

Kiwnęłam głową.

- Ale jak to, dlaczego? Miała listy, które do ciebie napisałam.
- Miała? – Westchnął. – Trzymałem je w samochodzie, w schowku. Musiała je znaleźć. Ogromnie mi przykro.
- Nic się nie stało. Myślałam, że sądziłeś, że ja to ona.
- Myślałaś, że uznałem, że to ona pisze te listy? – I po głosie, i po wyrazie twarzy widać było, że jest zszokowany. – Sasha?

Roześmiałam się.

- Tak.
- Nie. W ogóle tak nie myślałem. Ani przez sekundę. Nawet wtedy, gdy wszedłem na chemię i zobaczyłem ją na naszym miejscu. Odbiorę od niej te listy.

- Oddała mi je.
- Oddała? To nie w jej stylu.
- Co masz na myśli?
- Kiedy jej powiedziałem, że nie jesteśmy kompatybilni, nie wyglądała raczej na zachwyconą. Dziwię się, że nie wykorzystała tych

listów przeciwko nam.

Nie pomyślałam wcześniej o tym, ale mnie to też dziwiło.

– Szczęściarze z nas.

– Niewątpliwie. A teraz ćśśś, przecież czytam ci list. – Wciąż trzymał mnie za ramiona, wciąż czułam jego ciepło.

– To kontynuuj.

– Tego dnia, gdy to odkryłem, byłem zaskoczony, ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej to zaskoczenie malało. Zacząłem za to odczuwać frustrację, bo tą wspaniałą dziewczyną z listów okazała się ta jedna w całej szkole, która nie chciała mieć ze mną w ogóle do czynienia.

– Ta jedna w całej szkole? Chyba trochę przesadzasz.

– Nie możesz wtrącać się w treść listu. Gdybyś go czytała, nie mogłabyś nic wtrącić.

– Przy tym zdaniu zdecydowanie przerwałabym lekturę, żeby uśmiechnąć się drwiąco.

Roześmiał się, podrywając moje serce do galopu.

– Pomyślałem więc – mówił dalej – że gdybyś mogła znać mnie wyłącznie z listów, nie wiedząc, kim jestem w realu, może z czasem będziesz skłonna zauważać nie tylko moje błędy. Kolejnym zaskoczeniem było odkrycie, że z twojej strony wygląda to tak samo. Tak oto nasze drogi się skrzyżowały.

Czekałam, żeby kontynuował, żeby dokończył. Nie zrobił tego. A więc to ja się odezwałam:

– Tak oto nasze drogi się skrzyżowały? W ten sposób zakończyłeś? Tak zagadkowo?

Zbliżył się do mnie o krok. Mimo że na ten krok nie było tutaj miejsca. Trafiłam nogami na stół.

– Myślę, że powinno być jeszcze postscriptum – powiedział.

Znowu nie mogłam oddychać, ale tym razem nie miało to nic wspólnego z bieganiem. Powodowała to jego bliskość, wywoływał to jego głos, który stał się cichszy, oraz sprawiały to oczy, które od jego przyjscia nie odrywały się od moich.

Ja też zniżyłam głos.

– Postscriptum? Dotąd z niego nie korzystaliśmy.

- Czuję, że tu by się przydało.
- Przydałoby się.
- PS. – Odgarnął mi z policzka kosmyk włosów. – Lubię cię. I to

bardzo.

Czułam, że oddech mam płytszy, a oczy zaczęły mi się szklić od zbyt długiego wpatrywania się w niego.

- To świetne postscriptum.
- Uważam, że jak na nasze pierwsze, wyszło porządnie.

Stał tak blisko, że wiele nie było trzeba. Musiałam tylko wspiąć się na palce i nasze usta się spotkały. Smakował gumą miętową, wszystkimi moimi nadziejami i marzeniami. No, może nie wszystkimi, ale niemałą ich częścią. Jego dłonie przesunęły się na moje plecy i przygarnęły mnie. Nasz pocałunek stał się głębszy. Moje ręce przedostały się jakoś pod ramionami Cade'a, odnajdując jego plecy. Czemu tak długo musieliśmy na to czekać? Jego oddech był ciepły, a pocałunek równie intensywny, jak wcześniej jego spojrzenie.

Coś szcęknęło o podłogę i ledwie skojarzyłam, że to klucze, które dotąd trzymałam. Póki trwała ta błoga chwila w jego ramionach, byłam zbyt skołowana, by o tym myśleć. Potem przypomniałam sobie o Isabel.

Jęknęłam i się odsunęłam. Zbyt szybko. Wpadłam na krzesło.

- Auć.
- Nic ci nie jest?
- Mnie nic. Klucze. Isabel. Muszę lecieć. – Wywinęłam się jakoś z jego ramion, zgarnęłam klucze z podłogi i ruszyłam biegiem.

– Lily!

– Później pogadamy! Ja też cię lubię! – Odwróciłam się i chwilę szłam tyłem, uśmiechając się do niego. – To tak na wypadek, gdyby to nie było oczywiste.

Potem wybiegłam.

Biegło się fajnie, swobodnie – tak lekko.

## Rozdział 45

Ja prowadzę. Ty mówisz. – To było pierwsze, co usłyszałam od Isabel, gdy wsiadaliśmy do jej samochodu.

Udało mi się podłożyć klucze w sekretariacie, dziękując bliżej nieokreślonymu szczęśliwemu losowi za sprawienie, że pani Clark cały czas rozmawiała z Isabel. Potem weszłam do sekretariatu przez główne drzwi.

– Tu jesteś – zwróciłam się do Isabel, jakbym szukała jej w całym kampusie.

Na dźwięk mojego głosu odwróciła się i ujrzałam w jej oczach chęć mordy. Już swoim spojrzeniem spróbowałam zasygnalizować, że ją przepraszam. Wzięła mnie pod rękę i powiedziała:

– Wspaniale mi się z panią rozmawiało, proszę pani. Dzięki za informacje o zasadach ubioru.

– Polecam się, kochana. Do zobaczenia.

Szliśmy potem w milczeniu, jakbyśmy były śledzone, w ogóle się nie odzywając, dopóki nie znalazłyśmy się w bezpiecznym wnętrzu samochodu.

– Przepraszam – powiedziałam, zapinając pas.

– Czemu tak długo? Co się stało? – Wyjechała z parkingu.

Na mojej twarzy rozlał się uśmiech.

– Nic takiego... Wszystko. Pojawił się Cade. Musiał widzieć, jak biegnę, i pognął za mną.

– Pognął?

– Tak. A do tego wiedział. Od tygodni wiedział, że to ja jestem autorką tych listów, tylko nie chciał mi nic mówić, bo myślał, że go nienawidzę.

Isabel roześmiała się ze zrozumieniem.

– Oboje więc byliście jednakowo durni.

– Owszem. A przy okazji, jak ci się udało zagadywać panią Clark tyle czasu?

– Co? Nijak. Nieważne. Po co zadajesz takie pytanie, skoro jeszcze nie skończyłaś swojej opowieści.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Łał. Mogłabym rzeczywiście zacząć ją rozwlekać i doprowadzać cię do szału.

Chwyciła mnie za rękę i ścisnęła.

– Ale nie pozwolisz sobie na to, bo masz u mnie dozgonny dług, że tak ci pomogłam.

– Racja. Ogromnie ci dziękuję.

– Nie potrzebuję twoich pochwał. Potrzebna mi reszta tej historii.

Opowiadaj.

Zagryzłam wargę, by znów się nie roześmiać. Idealnie odzwierciedlała to, co ja czułam, całe to podekscytowanie i wariacką radość.

– Okej, sorki, sorki. Na czym to ja skończyłam? A więc nie pozwalając mi odejść od stolika, wyrecytował cały swój list, który najwyraźniej znał na pamięć. Generalnie powiedział, że się bał, że jak się dowiem, o kogo chodzi, przestanę go lubić, a kiedy odkrył, że mam ten sam problem, odczuł ulgę. I wtedy powiedział mi, że mnie lubi. I się z nim całowałam. A potem sobie przypomniałam, że czekasz, więc wybiegłam.

– Czekaj, co? – zawołała Isabel, nie spuszczając z oczu drogi, bo samochód odrobinę się zakołysał. – Uważasz, że możesz zdawkowo wspomnieć o całowaniu się z nim i przejść dalej, jakby to było takie nic?

Nie zamierzałam zdawkowo traktować kwestii całowania się z Cade'em. Miałam ochotę zagłębić się w szczegóły, nagle jednak, gdy siedząca obok mnie Isabel chwyciła mnie za rękę, przypomniało mi się coś, o czym nie pamiętałam, gdy się z nim całowałam – że ona też kiedyś to robiła.

– Daj spokój – powiedziała, jakby czytała mi w myślach. – Tym się nie przejmuj. Od tamtej pory każda z nas całowała się już kilka razy i na pewno nigdy nie wyglądało to tak samo. Byłyśmy młode. Lil, nawet nie przyszło mi to do głowy. Zapewniam cię. Wy dwoje stanowicie uroczą parę. Nie ma porównania z tym, gdy ja byłam z Cade'em. A więc nadawaj.

Westchnęłam radośnie.

– Było idealnie.

Zajechała na jakiś parking i uświadomiłam sobie, że zamierza już teraz skorzystać z mojego zaproszenia.

– Przy lodach ta opowieść będzie jeszcze lepsza – oznajmiła.

\* \* \*

Była dziewiętnasta, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Przebrałam się już w piżamę i zmyłam makijaż. Ledwie zwróciłam uwagę na dzwonek, bo właśnie napisałam kilka wersów nowej piosenki, która nie żerowała już na tragicznym życiu Cade'a.

*Łatwo osądzać, nie chcąc znać powodów,  
Widzieć jedynie, jak mur w niebo sunie.  
Ciężko odkręcić, co psułam za młodu.  
Wierzyć się nie chciało, że ta wieża runie.  
Widzę cię, jak tam stoisz,  
taki słodki, a się boisz.  
Ty mnie widzisz, jak tu stoję.  
Choć z nadzieją, też się boję.*

Od tekstu oderwało mnie pukanie do drzwi.

– Tak?

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich twarz mamy.

– Hej, nasz gościa.

– Gościa?

Nie dała mi szansy na zadanie kolejnego pytania, zamiast tego do końca otworzyła drzwi, ukazując Cade'a. Stał z rękoma splecionymi z przodu, z jakąś rezerwą, ramiona miał zwieszane, a głowę lekko spuszczone, jakby nie był pewien, jak go przyjmę.

– Hej! – Zerwałam się momentalnie, szeroko się uśmiechając.

– Wchodź.

Popatrzył na mamę, żeby się upewnić, czy to będzie w porządku.

– Drzwi zostawcie otwarte – powiedziała tylko, a potem poszła.

– Nie mam twojego numeru – oznajmił, rozglądając się po moim pokoju, a jako miejsce, na którym mógłby klapnąć, wybrał sobie krzesło stojące w nogach łóżka. – Zresztą chciałem cię zobaczyć.

Znów opadłam na łóżko, nadal z uśmiechem na twarzy.

– Dam ci swój numer, żeby następnym razem lepiej przygotować się na twoje przyjście. – Przygładziłam włosy i obciągnęłam T-shirt.

– Wyglądasz uroczo. – Objechał z krzesłem łóżko, tak że siedzieliśmy, prawie stykając się kolanami. – Jesteś urocza. Mam ochotę cię pocałować. Mogę to teraz zrobić, prawda?

Zdażyłam tylko skinąć głową, a już trzymał moją głowę w dłoniach i przyciągał do siebie. Widząc w jego oczach pragnienie, pomyślałam, że zderzymy się ustami, ale zanim do tego doszło, znieruchomiał, zaczął chłonać mój zapach, a potem powoli przesunął swoimi wargami po moich. Pozbawiło mnie to tchu i chwyciłam go za koszulę, przyciągając do siebie. Pocałunek nie trwał wystarczająco długo, Cade zaraz się odsunął.

– Chciałem się tylko upewnić – powiedział z uśmiechem. – Po tym, jak wczoraj wyszłaś, nie byłem pewien, na czym stoimy.

– Myślisz, że całuję się z chłopakami dla zabawy?

– Nie wiem, co o tobie myśleć. Stale mnie zaskakujesz. Tak szczerze, to myślałem, że będziesz czekać na mnie po treningu.

Zdziwiłam się.

– Chciałbyś, żebym ponad godzinę kręciła się po szkole?

Roześmiał się.

– Nie, nie chciałbym. To byłoby nudne.

– Ach! – zawołałam, bo nagle coś do mnie dotarło. – Tak właśnie postępują dziewczyny. Przepraszam. Pewnie dobitnie bym tym pokazała, jak bardzo cię lubię czy coś w tym stylu.

– Nie miej wyrzutów sumienia. Podoba mi się, że twoje życie nie obraca się wokół tego. – Wskazał przestrzeń między nami, a ja złapałam go za palec.

– Jakiego znowu tego?

– Nas.

– Nas? Podoba mi się to nas.

Pocałował mnie w rękę, którą wciąż jeszcze trzymałam go za palec.

– Mnie też.

## Rozdział 46

Wracając myślą do kilku ostatnich tygodni, potrafiłam wskazać dni, kiedy pisanie tekstów przychodziło mi łatwo. Było tak, gdy emocje sięgały zenitu, kiedy list znaleziony na chemii okazywał się zabawny, serdeczny lub smutny. A także wtedy, gdy odkryłam, że autorem listów jest Cade. W takie dni teksty niemal same wylewały się ze mnie na fali emocji.

Teraz, w kilka zaledwie dni, po pierwszych pocałunkach z Cade'em, ale też mając niespełna tydzień na dokończenie piosenki na konkurs, emocje już nie wystarczały. Siostra też niezbyt mi pomagała. Na cały głos wyśpiewywała swoje ulubione popowe piosenki, mówiąc mi, że własną powinnam napisać bardziej w stylu śpiewanych przez nią utworów.

– Proszę cię. Błagam. Możesz się uciszyć?

Za pieniądze od niej kupiłam sobie gitarę przez internet i dlatego, pragnąc wywalić teraz Ashley z pokoju, czułam się straszną niewdzięcznicą. Gdy już udało mi się trafić w tonację, którą uważałam za dobrą, jej śpiew wciąż mnie wybijał. A przecież chodziło o skończenie piosenki.

– Jeśli na godzinę zostawisz mnie samą, przez tydzień będę robić ci pranie.

– I wszystko poskurczasz mi tak, żebyś sama mogła nosić  
– odparła Ashley.

Pomysł nie był zły. Wstałam, podniosłam ją za rękę, co okazało się trudniejsze niż przypuszczałam, i wystawiłam za drzwi.

– Godzinkę.

Nie broniła się; usłyszałam jej oddalający się śpiew w głębi korytarza. Klapnęłam na łóżko i znów podniosłam gitarę. Cisza powinna mnie zainspirować, ale w głowie miałam pustkę. Chwyciłam za komórkę i puściłam SMS-a: „Potrzebuję inspiracji”.

Cade odpowiedział, przysyłając selfie – takie z ogniem w oczach  
– a ja wybuchnęłam śmiechem.

„Cóż. Nie podziałało”.



„To wszystko, co mam do dyspozycji – odpisał. – Masz pecha. Piszesz piosenkę?”

„Próbuję. Został mi tydzień”.

„Coś wymyślisz. Czyżbyś nie miała zeszytu pełnego tekstów? Jest tam coś, co możesz wykorzystać?”

Spojrzałam na zeszyt leżący teraz na szafce. Moją ulubioną piosenką była ta napisana o nim. *Porzucony*. Nie mogłam jej jednak wykorzystać. Nie miałam prawa ubierać jego doświadczeń w emocje i słowa.

„Coś wymyślę – napisałam. – A teraz daj mi spokój, bo próbuję pisać!”

Przesłał mi kolejne selfie z miną modela, znów więc się roześmiałam, a potem odłożyłam telefon.

\* \* \*

W poniedziałek rano na szkolnym parkingu Cade zaszedł mnie od tyłu i podniósł, łapiąc w pól. Krzyknęłam zaskoczona. Pocałował mnie w policzek i postawił na ziemi. Zrobiło mi się gorąco, gdy chwycił mnie za rękę i poszliśmy razem.

– To było krępujące? – zapytał.

– Nie. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

Przez chwilę uważnie mi się przyglądał.

– Nie pasuje ci takie upublicznianie tego?

Bardziej martwiłoby mnie, gdyby niczego takiego nie robił. Mnie to odpowiadało.

– Oczywiście, że mi pasuje.

– Nie burzę twojej hipsterskiej aury?

– Mojej hipsterskiej aury? – zaśmiałam się. – Nie wiedziałam, że mam coś takiego.

– Oj, masz. Jesteś z natury wyluzowana. Jedyna w swoim rodzaju. A ja to wszystko totalnie psuję. – Wskazał na siebie. Uśmiech sugerował, że żartuje, zastanawiałam się jednak, czy naprawdę go to nie gryzie.

Przystanąłam, odwróciłam się i pocałowałam go na samym środku zatłoczonego parkingu.

– Na tym świecie jesteś moim ulubionym normalsem. Nie zapominaj o tym.

Tym razem to on się trochę zaczerwienił.

– To dobrze. Bo przecież jestem świetny. Chciałem się tylko upewnić, że to doceniasz. – Mrugnął do mnie, wróciła mu pewność siebie.

Przewróciłam oczami i pociągnęłam go za sobą.

– Pewnie, że tak.

– Udało ci się przez weekend znaleźć inspirację?

Warknęłam.

– Aż tak dobrze?

– Napisałam pięć wersów i je wymazałam.

– Kiedy usłyszę twoje piosenki?

– Kiedy Blackout zwróci się do mnie, żebym dla nich pisała.

Roześmiał się.

– Mam pomysł, jak cię zainspirować. A gdybyś tak przyszła na dzisiejszą galę?

– Na szkolną galę w sali gimnastycznej, gdzie ludzie wrzeszczą, śpiewają i emanują duchem szkoły? I... Zaczekaj, skąd wiesz, że nie chodzę na galę?

– Zwracam na ciebie uwagę, Lily Abbott.

Uśmiechnęłam się.

– I tak nie wybieram się na tę galę.

– Tylko dzisiaj. Będzie jakaś wielka feta dla drużyny futbolowej, a potem zaprezentują propozycje sportowe na ferie wiosenne. To moja działka. Chyba chcesz mnie wesprzeć i w ogóle, prawda? I serio się spodziewam, że wiosną będziesz chodzić na niektóre moje mecze bejsbola.

– Jestem superwsparciem. Przyjdę. I na galę, i na twoje mecze. Wypatruj mnie. Będiesz miał we mnie najlepszą dziewczynę wszech czasów. – Za szybko wyskoczyłam z tym słowem, więc się wycofałam.

– To znaczy, niekoniecznie zaraz dziewczynę. Koleżankę od randek. Osobę, z którą się chodzi... i całuje... i sorki, ale nadal jestem tą dziwną.

– Jesteś urocza. A ja nie myślałem, że muszę o to zapytać.

Uważałem, że to już postanowione. Ale zapytam. – I zrobił coś tak

krępującego, że trudno to sobie wyobrazić. Gdy wchodziliśmy na teren stołówki, wyrzucił w górę ręce i wrzasnął:

- Lily! Zostaniesz moją dziewczyną?
  - Po czymś takim na pewno nie – odpowiedziałam.
  - Naprawdę?
  - Oczywiście, że zostanę. A teraz opuść ręce i przestań tak...
  - Normalsować?
  - Hałasować.
- Zaśmiał się i dał mi szybkiego buziaka.
- Widzimy się na gali, moja dziewczyno.

\* \* \*

Gdybym dłużej się teraz uśmiechała, ktoś mógłby pomyśleć, że podoba mi się w szkole. Zająłam swoje miejsce na chemii, czując całkiem nową sympatię dla tych zajęć. Może powinnam się jakoś odwdzięczyć chemii za to, co dla mnie zrobiła? Postanowiłam zapracować na lepszą ocenę. Isabel mi pomoże.

Moja dłoń momentalnie powędrowała pod stolik, choć oboje z Cade'em wiedzieliśmy, że pan Ortega ma nas na oku i obiecaliśmy sobie, że kończymy z pisaniem. Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, bo coś tam wyczułam.

– A więc ty i Cade...? – odezwała się obok mnie Lauren, a ja lekko się wzdrygnęłam. Przesunęłam list na kolana, tak że tego nie zauważyła.

– Na to wygląda – odparłam. – To znaczy tak. Ja i Cade. Cade i ja. Nie całkiem do siebie pasujemy, ale... – Dlaczego tłumaczę się Lauren?  
– Tak. – Zmusiłam się, by na tym poprzestać.

Spojrzała gdzieś ponad moim ramieniem i skinęła głową. Obejrzałam się szybko i zobaczyłam plecy Sashy idącej na swoje miejsce. Zaskoczyło mnie, że nic nie powiedziała. Pewnie była zakłopotana. Przez kilka ostatnich tygodni i tak powiedziała za wiele. Ucieszyło mnie, że postanowiła w spokoju lizać swoje rany.

Odczekałam kilka minut, aż pan Ortega zaczął lekcję, a Lauren zajęła się robieniem notatek – i rozłożyłam list. Znajomy charakter pisma znów wywołał u mnie uśmiech.

*Cześć, wiem, że już do siebie nie piszemy, ale nie mogłem się*

*oprzeć. Myślę o Tobie. Poza tym rano zapomniałem Ci o czymś powiedzieć. Przypomnij mi później. A teraz uważaj, bo pan Ortega wykradnie nam i ten list.*

Wyciągnęłam z plecaka telefon i wysłałam mu szybkiego SMS-a: „Wiesz, jest takie coś, co w magiczny sposób zbiera słowa, przenosi je w powietrzu i dostarcza odbiorcy. To nowinka, może więc o niej jeszcze nie słyszałeś. Ale wykorzystuje się ją ze względu na szybkość”.

Odpisał natychmiast: „Jak wtedy, gdy do ogona samolotu przywiązuje się słowa? Myślałem, że to się sprawdza tylko przy reklamach i wyprzedazy. Ciekawe, ile liczą sobie za słowo?”.

Było mi gorąco w policzki. Musiał czytywać listy ode mnie równie często, jak ja te od niego.

„Jesteś najlepszy” – odpisałam.

„Przy okazji, oddaj mi listy od ciebie. Należą do mnie”.

W sali nagle zapanowała cisza i zaklęłam pod nosem. Podniosłam głowę, spodziewając się, że wszyscy się na mnie gapią, ale wcale tak nie było. Po prostu pan Ortega pisał coś na tablicy. To był mój szczęśliwy dzień.

Na myśl nasunęła mi się fraza: „Z tobą najlepiej spędza mi się czas. Czemu więc czas zamiera, gdy o tobie myślę”. Sięgnęłam do plecaka, żeby ją zapisać, ale nie mogłam znaleźć swojego zeszytu. Musiałam go poprzedniego wieczoru zostawić na szafce. Było to nowe doświadczenie, w jakiś sposób ożywcze. Uśmiechnęłam się pod nosem i zanotowałam te wersy na skraju notatek. Zegar powiadomił mnie, że zostało jeszcze pół godziny lekcji. A potem gala. Jeszcze jedna rzecz, o której nie myślałam, że kiedyś nie będę mogła się jej doczekać.

## Rozdział 47

Dawno nie byłam na żadnej gali. *Ale tu głośno.*

Isabel, z którą siedziałyśmy na trybunach, nachyliła się do mnie.

– Robimy to dla twojego chłopaka – powiedziała z uśmiechem.

– To samo sobie pomyślałam.

Miałyśmy za sobą już ten punkt gali, gdy drużynie futbolowej pogratulowano niesamowitego sezonu. Na estradzie stanęły już ekipy sportowców, ku którym powinniśmy teraz kierować cały nasz kibicowski zapał. Uśmiechnęłam się do Cade'a, gdy tylko spotkał się ze mną wzrokiem.

Jeden z trenerów zastukał w mikrofon i zapytał:

– Czy to działa?

Zdecydowanie działało.

Przez estradę przeszła teraz Sasha, zapewne tenisistka, pływaczka lub członkini jakiejś innej sekcji, zbliżając się do trenera trzymającego mikrofon. Powiedziała coś, ale zbyt cicho, byśmy to wszyscy usłyszeli.

– Nikt mi o tym nie mówił – odparł trener głośno i wyraźnie, do mikrofonu.

Znowu coś powiedziała.

– Konkurs poetycki?

Nachyliła się do mikrofonu, tak żeby ją też było słychać.

– Ta szkoła nie stawia wyłącznie na sport, prawda? Powinniśmy teraz ogłosić zwycięzcę konkursu poetyckiego.

– O czym ona gada? – zapytała Isabel.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może przewodniczy jakiemuś klubowi poetyckiemu. – Chociaż niezbyt mi to do niej pasowało.

– Tego nie ma w programie – stwierdził trener. – Sasha, wróć, proszę, na miejsce.

– Panie trenerze – odparła Sasha, tym razem głośniejszym głosem – nie chciałabym, żeby media społecznościowe rozdmuchały to, że liceum Morris High troszczy się wyłącznie o sekcje sportowe.

Trener się rozejrzał, jakby oczekiwał, że ktoś przyjdzie mu

z pomocą. Nie widząc nikogo takiego, przekazał mikrofon Sashy.

– Załatw to szybko.

Szeroko uśmiechnięta zwróciła się do sali:

– Morris High, witajcie!

Wywołała głośnie owacje.

– Jeśli czytujecie szkolną gazetkę, wielu z was wie, że od tego semestru wprowadziliśmy konkurs poetycki. Jestem tu po to, by przeczytać wam zwycięski wiersz. Wszystkich was zachwyci.

I wtedy zdjęła plecak, którego wcześniej nie zauważyłam, potem wyjęła z niego mój zeszyt. Poznałam go nawet z drugiego końca sali – dwubarwny, fioletowo-zielony, ozdobiony moimi czarnymi esami-floresami.

Żołądek podjechał mi do gardła.

*Nieeee.*

Isabel zapało dech. Widocznie też rozpoznała mój zeszyt.

– Wiersz napisała Lily Abbott z trzeciej klasy, dedykując go Cade’owi Jenningsowi.

Można było odnieść wrażenie, że cała sala zaniosła się zbiorowym „Ooo”.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Isabel.

Zamarłam w bezruchu, po części szykując się do poderwania z miejsca i obezwładnienia Sashy, po części zaś do ucieczki z sali gimnastycznej. Szybko spojrzałam na Cade’a. Uśmiechał się niepewnie.

– Rozumiem – kontynuowała Sasha. – To słodkie, prawda? Cóż, wielu z was o tym nie wie, ale tata Cade’a kilka lat temu zostawił go i jego rodzinę. Prawdziwa tragedia. A Lily napisała o tym niesamowity wiersz.

To było jak koszmary sen.

Imienia Cade’a nie napisałam na żadnej ze stron, poza tamtą, którą przeczytała podczas odsiadki po lekcjach. Założyła, że ta piosenka dotyczy Cade’a. Założyła to na podstawie innych tekstów. Na podstawie wszystkich notatek, jakie robiłam na marginesach. Założyła to, bo chciała mnie zranić... I jego prawdopodobnie też.

Potrząsnęłam głową, kierując to do Cade’a i bezgłośnie przekazałam mu: „Powstrzymaj ją”. Był o wiele bliżej Sashy niż ja.

Znajdował się razem z nią na estradzie. Tyle tylko, że nie patrzył na mnie. Wpatrywał się ze zgrozą w Saszę. Wydawał się równie zmartwiały, jak ja. Musiałam to przerwać.

Wstałam i zaczęłam przedzierać się w dół trybun – między uczniami i przez plecaki. Ale Sasha już czytała na głos mój tekst do *Porzuconego*. Bardzo osobiste sprawy Cade'a odbijały się echem w całkowicie uciszzonej sali gimnastycznej.

Kiedy wreszcie zeszałam na parkiet i ruszyłam w stronę estrady, czytała już ostatnie wersy. Napisane przeze mnie słowa rozbrzmiewały w sali pełnej ludzi. Ludzi, jak zauważyłam, jakby nimi urzeczonych. Gdy Sasha skończyła, zatrzymałam się. Stałam teraz samotnie na środku boiska do koszykówki. Na środku oka byka, naszej szkolnej maskotki namalowanej na parkiecie.

– A oto i ona – oznajmiła Sasha tak słodko, jak potrafiła.

– Podajcie jej rękę. Lily, wejdź tu i odbierz nagrodę.

Weszałam tam, bo chciałam odzyskać zeszyt, zamierzałam też wyciągnąć stamtąd Cade'a i wszystko mu wyjaśnić. Stało się jednak inaczej. Kiedy przy głośnym aplauzie pokonałam pięć schodków wiodących na estradę, Cade'a już tam nie było.

– Jesteś okrutna – powiedziałam prawie niesłyszalnie do Sashy. Wyszarpnęłam z jej rąk zeszyt. – On na to nie zasłużył.

Uśmiechnęła się, chwyciła mnie w ramiona i szepnęła:

– Oboje zasłużyliście.

Chciała, żebym zareagowała. Chciała, żebym ją walnęła lub popchnęła, i wtedy miałaby całą szkołę za świadka, że jestem wariatką, która tak źle ją potraktowała, choć obsypała mnie pochwałami. Poza tym, gdybym zrobiła z tego wielką sprawę, przerodziłoby się to w coś rzeczywiście wielkiego. Ludzie doszliby do wniosku, że wyjawiała na temat Cade'a coś, czego nie powinna wyjawić. Tego nie mogłam mu zrobić. Dlatego tylko się uśmiechnęłam, mruknęłam do mikrofonu wątle „dziękuję” i jak najszybciej zeszałam z estrady i wydostałam się na zewnątrz, gdzie zaczęłam bezskutecznie szukać Cade'a.

W ciągu następnych trzydziestu minut wysłałam mu chyba ze sto SMS-ów, z których wszystkie wyglądały mniej więcej tak: „Wykradła mi zeszyt”, „Nie startowałam w żadnym konkursie”, „Przepraszam”,

„Gdzie jesteś?”, „Możemy o tym porozmawiać?”, „To była jej zemsta. Wiesz, że tak. Wiedz, proszę, że nie chciałam, żeby tak się stało”.

Nie odpowiedział. Na żaden. Było już po wszystkim. Po wszystkim, choć jeszcze nic nie zaczęliśmy.

Po raz drugi okrążyłam boisko do bejsbola, w nadziei, że gdzieś się tam pojawi, gdy szukałam go w szatni chłopaków i kuchni przy barku. Zabrzęczał mój telefon. Czułam przypływ nadziei, aż zobaczyłam, że to wiadomość od Isabel.

„Gdzie jesteś?”

„Na boisku” – odpowiedziałam zdruzgotana.

Pojawiła się tam w kilka minut.

– Powinniśmy sprać ją teraz czy później? – zapytała, miotając z oczu błyskawice.

Zacisnęłam dłonie na skroniach.

– Boję się o niego.

– O niego się nie bój. Da sobie radę. Tak przy okazji, to naprawdę świetna piosenka. Wszyscy o niej gadali.

Poczułam się trochę dumna, tak samo jak przez ułamek sekundy wtedy, gdy stałam na środku sali gimnastycznej, wsłuchana w swój tekst. Zdusiłam to uczucie.

– Isabel – powiedziałam łamiącym się głosem – on trzymał to w największej tajemnicy, a przeze mnie i mój durny tekst wie już o tym cała szkoła.

– Nie przez ciebie. Przez Saszę.

– Przede wszystkim nie powinnam pisać o jego życiu.

– On wtykał listy o swoim życiu pod stolik! – zauważyła Isabel.

– Każdy mógłby je znaleźć. To mógł być ktokolwiek, Lily, niekoniecznie ty. Nie dobra, lojalna, godna zaufania ty. Miał szczęście. To samo mogło mu się przydarzyć tygodnie temu, przez niego samego.

– Ale się nie przydarzyło. Przydarzyło się teraz, przeze mnie.

– To mu to wytłumacz.

Znowu spojrzałam na telefon.

– Nie odbiera.

– A więc jedź go znaleźć. – Wygrzebała z kieszeni kluczyki i mi je podała. – Powiem Gabrielowi, żeby po mnie przyjechał.



Nie wahałam się. Chwyciłam kluczyki, uściskałam Isabel i ruszyłam biegiem.

## Rozdział 48

Byłam wszędzie. W domu Cade'a, na boisku bejsbolowym dla dzieciaków w parku, w In-N-Out oraz we wszystkich innych barach z fast foodami, w których go widywałam w przeszłości, a także w tych, gdzie go nie widywałam... Nigdzie go jednak nie było. Teraz już tylko jeździłam, rozglądając się. Ponieważ gdzieś niewątpliwie był, dobijało mnie to, że widocznie nie znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, jak znaleźć to gdzieś.

Lekcje skończyły się dawno temu. Wcześniej napisałam do siostry, żeby po mnie nie przyjeżdżała. Czyżby wrócił do szkoły na trening? Czy wybrał się gdzieś indziej, żeby wszystko przemyśleć? Pojechałam do domu. Możliwe, że poszedł do nas. Lubił mój dom.

Kiedy parkowałam, jego samochodu nie było przed domem, ale i tak sprawdziłam wszystkie pokoje i podwórko za domem. Nie znalazłam go. Nie rozumiałam zresztą, czemu pomyślałam, że mógłby schronić się u mnie, skoro to ja byłam osobą, od której chciał uciec.

W moim pokoju upuściłam kluczyki Isabel na podłogę i padłam na łóżko, nie mając pomysłu, co dalej robić. Jedynie czekać na SMS-a od niego? Miałam wrażenie, że jeśli chodzi o nas dwoje, za dużo było już czekania, i wątpiłam w to, czy zniosłabym kolejną jego dawkę.

W częściowo uchylone drzwi wetknął głowę Wyatt.

– Cześć.

– Hej.

– Możemy porozmawiać? – Wsunął się do mojego pokoju, ale zwlekał z odejściem od drzwi.

– Pewnie, wchodź. – Przesunęłam się na łóżku, nadal leżąc na plecach, i poklepałam miejsce obok siebie. Braciszek dołączył do mnie i położył się obok, wpatrzony w sufit. Nie odzywał się, więc zapytałam:

– Co się dzieje?

– Mam nadzieję, że mnie nie nienawidzisz.

Podniosłam się na łokciach, zaniepokojona.

– Nie nienawidzę cię. Co się stało?

Nie patrzył na mnie. Twardo gapił się w sufit, jakby było to coś

więcej niż pusta połać bieli. Jakby coś mu mówiła. Jakby go osądzała.  
W końcu wykrztusił:

– To ja połamalem ci gitarę. Przepraszam.

Westchnęłam i znowu opadłam na plecy.

– Teraz mnie nienawidzisz.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie potrafiłabym cię znienawidzić. Jestem zmęczona. Mam za sobą długi dzień.

– Nie jesteś zła?

Byłam zła, smutna i zrozpaczona oraz obarczona wielkim poczuciem winy za to, że przez cały czas oskarżałam Jonaha o coś, czego nie zrobił.

– Musimy przeprosić Jonaha, nie sądzisz?

– Tak.

– Razem? – Wyciągnęłam rękę i Wyatt przybił mi piątkę. Palce miał prawie tak samo długie jak ja. Kiedy tak wyrósł? – A w ogóle jak ją połamales?

Może nie należało pytać. To wspomnienie mogło rozbudzić gniew, na który nie miałam teraz siły.

– Upadłem na nią.

– Co takiego? A czemu była wyjęta z futerału?

Wyatt wyglądał na zakłopotanego.

– Chciałem się nauczyć grać... tak jak ty.

Uśmiechnęłam się i poczochnęłam mu włosy.

– Kto nauczył cię, że trzeba prawić komplementy?

– Tata.

Chwyciłam go za rękę i pomogłam mu zejść z łóżka.

– Posłuchaj. Zanim nauczysz się grać, będziesz musiał nasłuchać się całej muzyki, jaka jest na świecie.

– Całej? To strasznie dużo.

– Będziesz musiał określić, jaka ci się najbardziej podoba. Ale najpierw chodźmy porozmawiać z Jonahem, a potem dam ci kilka utworów na dobry początek.

Stopa Wyatta trafiła na leżące na dywanie kluczyki, które z brzękiem walnęły w ścianę. Podniósł je i mi podał.

– Czemu wzięłaś od Isabel samochód?

- Żeby załatwić coś ważnego.
- Aha. Musisz pojechać to zrobić?
- Schowałam kluczyki do kieszeni.
- Później. Teraz mamy do załatwienia coś równie ważnego.

\* \* \*

Znowu siedziałam w samochodzie. Razem z Wyattem przeprosiliśmy Jonaha. Wyszukałam Wyattowi kilka doskonałych piosenek. I napisałam list do Cade'a. Tylko to przyszło mi do głowy. Teraz jechałam, żeby zostawić ten list u niego w domu.

Opowiedziałam w nim, jak bardzo żałuję i jak błędnie go przez całe lata osądzałam. Że zrozumiałam, dlaczego tak się zachowywał na swoich urodzinach – że czekał na telefon od taty i bolało go, że nie dzwoni. Zrozumiałam, że ludziom, których uważał za atakowanych, próbował pomóc odwracaniem uwagi przez rozśmieszanie atakujących, ponieważ właśnie tak radził sobie ze swoimi problemami. Zakończyłam list stwierdzeniem, że nie zamierzam od niego odejść. Że tak łatwo się mnie nie pozbędzie.

Zacisnęłam dłonie na kierownicy, a oczekujący na przeczytanie list zajmował miejsce dla pasażera. Żałowałam, że zamiast niego nie siedzi tam Cade.

Byłam w połowie drogi do jego domu, gdy przypomniałam sobie pewne miejsce, którego nie sprawdziłam. Jedyne miejsce, do którego mnie zabrał – hotel z polem golfowym.

Zawracając, przecięłam trzy pasy ruchu, za co jakiś czarny suburban skarcił mnie przeciągłym trąbieniem. Machnęłam w geście przeproszającym do kierowcy, ale wolałam nie nawiązywać kontaktu wzrokowego.

Cade na pewno tam pojechał. Nie mogło być inaczej.

Dotarłam do hotelu, zaparkowałam i poszłam trasą, którą prowadził mnie tamtego wieczoru. Parę razy pobłądziłam, ale w końcu znalazłam bramę. Tę, na którą się wspiał. Była zamknięta, tak samo jak wtedy. Księżyc dziś świecił jasno i ścieżkę za bramą oświetlał jeszcze lepiej niż tamtego wieczoru.

Oparłam się o bramę i znów wyciągnęłam komórkę.

„Jesteś może w hotelu? – napisałam. – Jeśli tak, ja też tu jestem i za pięć minut przeleżę przez bramę, nawet jeśli mają mnie złapać... Chociaż nie jestem pewna, czy umiem wspinać się na bramy. Do tego jestem w spódnicy. Proszę cię, nie zmuszaj mnie do tej wspinaczki”.

Wspięłam się na palce i spróbowałam wypatrzeć choć zarys tarasu, na którym wtedy siedzieliśmy. Widziałam jedynie barwne czubki jakiejś rośliny doniczkowej. Szarpnęłam za pręty. Brama nie raczyła się otworzyć. U góry była prosto zakończona, bez szpikulców, jakie widywało się na wielu bramach. Takich kolców, na które człowiek może się nadziać. To był jakiś plus. Tyle tylko, że wiodących w górę prętów nie przecinały poprzeczne. Jak Cade’owi udało się wtedy wspiąć?

– Dam radę – wymamrotałam. – Skoro już jestem najlepszą biegaczką świata, to powinno być łatwe. – Wepchnęłam stopę między pręty, żeby ułatwić sobie podciągnięcie się.

– Mówisz sama do siebie?

Ogromnie mi ulżyło, gdy po drugiej stronie płotu usłyszałam jego głos. Już nie tak wdzięcznie wyswobodziłam stopę spomiędzy prętów i spojrzałam przez nie na jego tak bliską mi twarz. Miałam ochotę chwycić go w ramiona, dzieliło nas jednak ogrodzenie.

– Tak bardzo przepraszam.

– Czemu? – zapytał z normalnym Cade’owym uśmiechem. – Ja często gadam do siebie.

– Nie o to chodzi. Wiesz, dlaczego. – Zacisnęłam obie dłonie na prętach, wykorzystując je jako oparcie.

Pokręcił głową.

– Nie musisz. To przez Sashę. – W jego głosie nie czuło się złości, ale też się nie ruszył, by mnie wpuścić.

– Zamierzasz to otworzyć? Muszę cię uściskać. Bo chyba mogę cię uściskać?

– Jeśli potrafisz wspiąć się na to ogrodzenie, potrafisz też zrobić wszystko, czego zapragniesz, kociaku. – Mrugnął, bawiąc się teraz we flirt. Widziałam, o co mu chodzi: wznosił wokół siebie ten swój mur i nie mogłam tego znieść. Nie mogłam znieść, że czuje potrzebę ogrodzenia się ode mnie.

– Nie rób tego.

– Czego mam nie robić?  
– Nie traktuj mnie jak wszystkich innych. Nie chowaj się przede mną.  
– A ty niczego przede mną nie ukrywałaś? – W jego głosie pojawiła się teraz nuta gniewu.  
– Co masz na myśli?  
– Tamtą piosenkę. Kiedy zamierzałaś mi ją pokazać? Jak już wygra konkurs?  
– Nie! Oczywiście, że nie. W ogóle nie zamierzałam zgłaszać jej na ten konkurs.  
– Czemu nie? Jest naprawdę dobra.  
– Nie była przeznaczona dla niczyich uszu. A już na pewno nie dla całej szkoły.  
– Wydaje mi się, że na pewno nie dla moich uszu.  
Zaczęłam już kręcić głową, ale miał rację. Nie zamierzałam prezentować mu tej piosenki.  
– Nadal mi nie ufasz?  
– Ufam.  
– Wciąż widzisz we mnie gościa, który źle traktował Isabel. Gościa, który pewnego dnia skrzywdzi i ciebie. Nie chcesz się całkiem przede mną otworzyć.  
– Nie. To nieprawda. Cade, mówię ci więcej niż komukolwiek innemu. – Ścisnęło mnie w gardle. – To ty pomogłeś mi znaleźć słowa. Mój własny głos. Nie czułam jednak, że słowa tej piosenki należą do mnie. Nie czułam, że mam do nich prawo. – Wyjęłam zza paska spódnicy list, który do niego napisałam, i wrzuciłam między pręty.  
Zaśmiał się cicho.  
– Kolejny list?  
– Dawno żadnego nie dostałeś.  
Podniósł go z miejsca, na które przed nim upadł.  
– Od ciebie nie.  
Uniosłam brwi.  
– Ktoś jeszcze do ciebie pisze? – Nie spieszył się z odpowiedzią i przez to zaparło mi dech. – Czekał. Twój tata?  
Wbił we mnie wzrok i zobaczyłam w jego oczach ból, który

ukrywał od mojego przyjścia.

Zniżyłam głos.

– Wpuścisz mnie, Cade? Możesz?

Podszedł bliżej i otworzył bramę. Przebiegłam czym prędzej i chwyciłam go w ramiona.

– A miałem już przeczytać list – powiedział tuż przy moim uchu. – Strasznie się lubisz przytulać.

Uśmiechnęłam się.

– Przestań sobie żartować, bo chcę być tu dla ciebie.

\* \* \*

Siedzieliśmy na tarasie nad polem golfowym. Każde z nas miało w ręku list. Ja trzymałam ten przysłany Cade'owi przez jego tatę, on kartkę, którą wcześniej do niego napisałam.

– Nie powinnam tego czytać – powiedziałam znowu – jeśli jest osobisty.

– Chcę, żebyś przeczytała. Potrzebuję obiektywnego spojrzenia.

– Okej. – Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam kopertę.

Wyjęłam z niej arkusik papieru złożony na trzy części i ostrożnie rozprostowałam. List wyglądał na pisany w pośpiechu, nie znałam jednak charakteru pisma jego taty, możliwie więc, że napisał go najstaranniej, jak potrafił.

*Cade,*

*miło, że napisałeś, Synu. Życie z całą pewnością zostawia nam obu mało czasu dla siebie.*

Od razu odniosłam wrażenie, że jego tata rozmywa winę, na chwilę przerwałam czytanie i przesunęłam dłoń na kolano Cade'a. Nie podniósł wzroku. Skupił go na liście ode mnie. Wróciłam do lektury.

*Nowa praca, gdzie muszę od zera zapoznać się z całym systemem komputerowym, bardzo mnie absorbuje, a gdy dodać do tego obowiązki rodzinne, każdego dnia ścigam się z czasem.*

Auć. Tak jakby Cade nie mieścił się w sferze obowiązków rodzinnych.

*Jestem pewien, że to rozumiesz, bo praktycznie sam jesteś już dorosłym człowiekiem. Jak tam szkoła? Jak bejsbol? Jakieś plany związane ze studiami? Zobaczę, może w przyszłym roku uda mi się odwiedzić wasze strony, żebyśmy mogli się spotkać jak należy. Do tego czasu na pewno pozostaniemy w kontakcie telefonicznym.*

*Kocham Cię*

*Tata*

Na chwilę zamknęłam oczy, potem zaczekałam, aż Cade przeczyta mój list. Kiedy skończył, uśmiechnął się do mnie i pocałował.

– Tego potrzebowałam – powiedział.

Złożyłam list od jego taty i wsadziłam do koperty, opierając się chęci podarcia go na strzępy.

– Współczuję – szepnęłam, oddając mu ten list.

– Nie musisz. Nie trzeba. On ma rację. Mogłem się bardziej postarać.

– Nie pozwalaj mu, żeby ciebie też obwiniał.

– Co mam zrobić? – westchnął Cade.

– Albo do niego zadzwoń, albo go sobie odpuść.

Cade przyciągnął mnie na krzesło i wtulił twarz w moją szyję. Mocno mnie trzymał. Pomyślałam, że wcześniej mogłabym mu pomóc, gdybym tak długo go nie odpychała. Ale teraz jestem tu przy nim i to chyba dobrze, że ma się na kim oprzeć.

– Zwabiłeś mnie tutaj, żebyśmy mogli się całować? – zapytałam.

– Tak, właśnie tak.

Pocałował mnie, a ja odpowiedziałam tym samym.

– Chyba mógłbym do niego zadzwonić – uznał między pocałunkami.



Uśmiechnęłam się.  
– Mogę być przy tym?

## Rozdział 49

Gdy weszłam do kuchni, zobaczyłam, że Cade wpatruje się intensywnie w dwa naszyjniki leżące na ladzie. Tata siedział przy stole, udając, że nie zwraca na to uwagi.

- Tato, nie. – Chwyciłam Cade’a za rękę i go odciągnęłam.
- Chodziło o niezależny i bezstronny głos! – zawołał do nas tata.
- Przepraszam pana! – odkrzyknął Cade. – Zostałem porwany.
- Raczej wybawiony – powiedziałam pod nosem.
- Twoi rodzice są tacy zabawni.
- Owszem, są. – Otworzyłam drzwi do pokoju i podniosłam gitarę.
- A teraz potrzebuję twojej pomocy. W naszej kapeli ty będziesz tekściarzem, prawda? Mam dwa dni na skończenie tej piosenki, a natchnienie się wyczerpało.

Cade wyszczerzył się w uśmiechu.

- Jak mi się wydawało, mówiłaś, że to ja cię inspiruję.
- I na to liczę. A teraz usiądź tak, żebym widziała twoją słodką buźkę, i pomóż mi wymyślić tekst.

Usiadł na krześle, z tym swoim olśniewającym uśmiechem na właściwym miejscu.

- Okej. Bierzmy się do roboty.

\* \* \*

Godzinę później odłożyłam gitarę.

- Poszło tak samo kiepsko jak z moją siostrą – jęknęłam. – Twoje teksty podawane osobiście wcale nie są lepsze od tych z listów.

– A to już niezły tekst: Nie jesteś lepszy osobiście, niż byłeś w swoim liście.

Roześmiałam się.

- Daruj sobie. No weź. Wiem, że serio możesz mi pomóc. Chodzi mi o refren, który będzie wpadał w ucho.

Zeszyt leżał obok mnie na łóżku. Próbując dopracować piosenkę, używałam luźnych kartek, żeby nie zapisywać w nim słów, które i tak skreślę.

Cade nachylił się i sięgnął po mój zeszyt.

– Mogę zajrzeć?

Serce mi się rozkołysało. Jakoś to zniosę. Najgorsze już się stało.

Sasha przeczytała mój tekst w obecności całej szkoły i nawet się ludziom spodobał. Pewnie nie przypuszczała, że jej próba zranienia mnie sprawi, że w efekcie stanę się pewniejsza siebie.

– Tak.

Cade uśmiechnął się, jakby wiedział, jakie to dla mnie trudne.

– Dziękuję.

– Nie kpij ze mnie.

– Przecież jestem w tym dobry.

– Aha, jest tam też taka wredna piosenka o tobie. Byłam wkurzona.

Rozbawiony siadł na podłodze naprzeciw mnie, opierając się plecami o łóżko Ashley.

– Oczywiście, że musi być. – Przerzucił kilka kartek, podczas gdy ja pisałam dalej. – Potwory w drzewach?

Też przeniosłam się na podłogę, siadając przy łóżku i wyciągając nogi przed siebie, przeplatając je z jego nogami.

– Powiedziałam: nie kpij.

Zaśmiał się tak, że odebrało mi dech. Przyglądałam się, jak czyta, z łagodnie zarysowaną teraz linią szczęki, włosami spadającym na czoło i palcami gotowymi przewrócić kartkę. I zaczęłam pisać. Ołówek sam mknął po leżącej obok mnie kartce.

*Połączyły nas słowa, choć też dzieliły przedtem.*

*Powierzyłeś mi swe sekrety, a potem skradłeś mi serce.*

*Podobno miłość jest rzadka jak...*

– Co jest rzadkie? – zapytałam.

– Co takiego? – Podniósł głowę znad kartki i spojrzał mi w oczy.

– Podpowiesz jakąś rzecz, która jest rzadka?

– Kupa?

Wybuchnęłam śmiechem.

– Jesteśmy podobni do siebie bardziej, niż przypuszczasz.

Kiedy patrzył na mnie, spojrzenie mu złagodniało.

– Miłość?

Uśmiechnęłam się i dotknęłam go kolanem.

– Właśnie piszę o miłości, próbuję ją teraz z czymś porównać. –  
Stuknęłam ołówkiem w kartkę, zagryzając wargę. Jego spojrzenie znów skupiło się na moim zeszytcie.

– Jest naprawdę dobra.

– Która?

– Wiesz która. Ta, którą powinnaś wysłać na ten konkurs.

– Nie mogę, Cade. Należy do ciebie.

– Jest surowa. Jest prawdziwa. Jest doskonała. Masz już do niej muzykę?

Przytaknęłam, momentalnie słysząc w głowie tę melodię.

– Zagrasz ją dla mnie?

Zarumieniłam się.

– Właściwie to nie śpiewam. Tylko piszę. Te teksty powstawały zawsze z myślą o tym, że wykona je ktoś inny.

– Zagrasz ją dla mnie? – zapytał ponownie.

Wyciągnęłam rękę, a on podał mi zeszyt.

– Mam nawet drugą zwrotkę, choć nie tutaj. – Wyciągnęłam z szuflady kartkę, denerwując się nagle, że będę się tym dzielić.

– Jeśli to pomoże, nie będę na ciebie patrzył – powiedział Cade, jakby czytał mi w myślach.

Wyciągnęłam spod łóżka gitarę.

– Tak. To pomoże.

Ale kiedy zaczęłam grać, nie mogłam się powstrzymać od patrzenia na niego, a gdy spotkaliśmy się wzrokiem, to mnie tylko uspokoiło. Śpiewałam z pamięci.

*W sztuce czekania osiągnąłem szczyty.*

*Ciasno obwiązałem swe serce rozbite.*

*Żeby być na chodzie także i w tym dniu.*

*Uśmiech krzywy nalepię na pysk.*

*A na suszarce porozwieszam łzy.*

*Wiedząc, że będziesz ze mną znów.*

*Tylko że... w objęciach nic.  
Tylko że... me serce drży.  
Tylko że... ma dusza wrze.  
Tylko że... me gardło schnie.  
Bo w końcu się ocknąłem prawdą porażony:  
jednak rzeczywiście zostałem Porzucony.*

Gdy zaczęłam drugą zwrotkę, z emocji trochę ścisnęło mnie w gardle i mój głos stał się chrapliwy.

*Na zawsze skończyłem z grą w czekanie,  
sercu nic gorszego już przecież się nie stanie.  
Bo nadeszła pora, bym żył swoim życiem.  
Chyba to nawet mnie wzmocniło,  
choć sam nie wiem, gdzie znalazłem siłę.  
Może to i dobrze, że już nie brak mi cię.  
Teraz już... wyciągam ręce.  
Teraz już... lecę serce.  
Teraz już... nadzieja w duszy.  
Teraz już... głos w gardle ruszył.  
Bo w końcu się ocknąłem prawdą porażony:  
że wcale nie czuję się Porzucony.*

Zrobiłam przejście, jego czułe spojrzenie dodawało mi otuchy.  
*Potrzebowałam cię, szukałam,  
chciałam cię ucieszyć,  
lecz tak się nie da żyć.  
To wszystko mam za sobą,  
a jeśli znów się spotkamy,  
to może zechcesz zostać...*

Przestałam grać, by na moment zapadła cisza, a potem zaśpiewałam końcówkę.

*Teraz już... silniejsze ręce.  
Teraz już... gorące serce.  
Teraz już... dusza w górę frunie.  
Teraz już... gardło mówić umie.  
W końcu się ocknąłem prawdą porażony:  
że nigdy nie będę czuł się Porzucony.*

Ostatnie tony wybrzmiały w powietrzu, a potem wszystko ucichło. Ze zdenerwowania miałam jeszcze bardziej ściśnięte gardło.

Cade wciąż jeszcze wpatrywał się we mnie, ale w jego oczach znów pojawił się wesoły błysk.

– Wydaje mi się, że cię kocham.

Zrobiło mi się gorąco na sercu.

– Takie... Takie ważne wyznania jak to powinniśmy czynić w listach – wyjąkałam.

– Albo w piosenkach.

– Tak. To by dobrze wyglądało w piosence.

– Napiszę taką – oznajmił. – Będzie dobra.

Roześmiałam się.

– Nie, powaga. Kto ci powiedział, że nie powinnaś śpiewać? Jesteś niesamowita.

Policzki mi poczerwieniały.

– I ta piosenka, Lily. Proszę, zgłoś ją. Jest doskonała. Zgłosisz tę piosenkę do konkursu?

Wzięłam głęboki oddech. Ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, do pokoju wpadł Jonah.

– Wyatt ukradł mi pieniądze od Wróżki Zębuszki! – krzyknął.

– Wcale nie! – zawołał Wyatt, wbiegając za nim. – Zgubiły mu się.

Potem pojawiła się Ashley.

– Mogę już wejść do swojego pokoju?

Pośród tego chaosu uśmiechnęłam się do Cade'a.

– Wystartujesz w tym konkursie? – zapytał bezgłośnie, nie przejmując się hałasem.

Kiwnęłam głową. Wystartuję. Już się nie mogłam doczekać. Nie

liczyło się nawet, czy moja piosenka wygra; sama świadomość, że mogę to zrobić i zrobię, była dla mnie wielkim krokiem naprzód.

A potem powiedziałam również bezgłośnie:

– Mnie też się wydaje, że cię kocham.

## PODZIĘKOWANIA

Wydawałoby się, że z każdą książką powinno być łatwiej, według mnie jednak jest trudniej. Może dlatego, że lepiej teraz widzę, jak wielu ludzi pomagało mi w tej wędrówce. Może też i przez to, że im dalej się posuwam, tym więcej osób uczestniczy w tym procesie. Nie wiem, może to też dlatego, że uważam za wielkie szczęście, że mogę pisać i nadal są ludzie czytający to, co piszę. Jakkolwiek by było, czuję się bardzo poruszona, wdzięczna, a zarazem przerażona, że nie odczuwam tego wszystkiego tak mocno, jak powinnam. Ale i tak chciałabym na tych kilku stronach wyrazić ogrom mojej wdzięczności.

Przede wszystkim chcę podziękować mojej rodzinie. Myślę, że dopiekły im moje starania o dotrzymanie terminu, zarwane noce, a czasem całe tygodnie wyłączania się z życia po to, by skończyć konspekt. Choć właściwie nie dają tego po sobie poznać. Są bardzo wyrozumiali, wspierają mnie i pomagają mi niemal zawsze, gdy jestem zmuszona zaangażować się intensywnie w pracę, ze względu na goniące mnie terminy. Kieruję więc teraz do mojego męża, Jareda, i moich dzieci, Hannah, Autumn, Abby i Donavana te szczególne słowa: ogromnie was kocham. Jesteście dla mnie wszystkim.

W następnej kolejności chcę podziękować mojej agentce, Michelle Wolfson. To istna petarda. Czyta moje konspekty z prędkością światła i za każdym razem, gdy tego potrzebuję, służy doskonałą radą i dba o mój zdrowy rozsądek. Dzięki, Michelle, jesteś najlepsza.

Przy tej książce pracowałam z Aimee Friedman, która jest wspaniałą redaktorką. Czułam, jakby miała bezpośrednie połączenie z moim mózgiem. Dzieliłyśmy te same pomysły. Dzięki temu praca z nią była i wesoła, i łatwa. Cieszę się bardzo, że na nią trafiłam. Dzięki Aimee. Ta książka jest lepsza dzięki tobie. Jesteś niesamowita. Dziękuję też reszcie zespołu Scholastic Inc. – Davidowi Levithanowi, Emily Rader, Yaffie Jaskoll, Ingrid Ostby, Janelle DeLuise, Annie Swenson, Ann Marie Wong, Tracy van Straaten, Monice Palenzueli, Bess Brawell, Lauren Festa i wielu innym – za to, co zrobiliście: za fajną okładkę, wspaniałą redakcję książki, marketing i w ogóle.



Mam w życiu to szczęście, że trafiłam na najlepsze przyjaciółki. To bardzo pomaga, gdy ma się bratnie dusze zarówno w kręgach pisarskich, jak i poza nimi. Jako pisarka cieszę się, że mogę wyładować swój stres w obecności ludzi, którzy to rozumieją. Cieszę się też, że mam przyjaciół pomagających mi przez czytanie, redagowanie i w wielu innych sprawach, niekiedy zaskakujących w ostatniej chwili. Świadomość, że mogę liczyć na to, iż w tych sytuacjach pomogą mi ludzie, których kocham i którym ufam, jest bezcenna. Takimi osobami w moim życiu są: Candi Kennington, Jenn Johansson, Renee Collins, Natalie Whipple, Michelle Argyle, Bree Despain i Julie Nelson. Bardzo was kocham, moje drogie. Pragnę też podkreślić, że posiadanie niepiszących przyjaciółek zapewnia mi poczucie równowagi. Drogimi osobami, które pozwalają mi oderwać się od moich myśli, są: Stephanie Ryan, Rachel Whiting, Elizabeth Minnick, Brittney Swift, Mandy Hillman, Jamie Lawrence, Emily Freeman, Misti Hamel i Claudia Wadsworth.

Chcę też podziękować wam, moi czytelnicy. Wiele dla mnie znaczy, że na całym świecie są ludzie zainteresowani czytaniem tego, co piszę. To wciąż wydaje mi się czymś nie z tej ziemi. Coś sobie wymyślam, a ludzie chcą to czytać. Czy to nie jest niesamowite? To najbardziej obłędne zajęcie we wszechświecie (poza kolonizowaniem Marsa) i właśnie mnie przypadło w udziale. Uwielbiam je. I was uwielbiam za to, że mi je umożliwiacie. Dziękuję!

Na koniec, choć to nie mniej ważne (bo przecież jest ich zbyt wielu, by uznać, że są „mało ważni”), dziękuję mojej licznej rodzinie. Ludzie często pytają, jak to jest (i dlaczego), że udaje mi się opisywać w książkach wieloosobowe szalone rodziny. Jest to możliwe dzięki temu, że sama mam wieloosobową szaloną rodzinę. Oto ci wszyscy, którzy ją tworzą (ludzie, z którymi zresztą często się widzimy, a więc nie są rodziną tylko z nazwy): Chris DeWoody, Heather Garza, Jared DeWoody, Spencer DeWoody, Stephanie Ryan, Dave Garza, Rachel DeWoody, Zita Konik, Kevin Ryan, Vance West, Karen West, Eric West, Michelle West, Sharlynn West, Rachel Braithwaite, Brian Braithwaite, Angie Stettler, Jim Stettler, Emily Hill, Rick Hill i dwadzieścioro pięcioro dzieci żyjących w ich gronie. Kocham was wszystkich niezmiernie.



## O AUTORCE

ma w swoim dorobku wiele powieści dla młodzieży, w tym *Chłopaka na zastępstwo* i *Chłopaka z sąsiedztwa*. Za swe książki otrzymała liczne dowody uznania, takie jak rekomendacje ALA Quick Pick Selection i YALSA Best Books for Young Adults, a także nominacje do nagród i nagrody Whitney Award i Goodreads Choice. Mieszka wraz z rodziną we Fresno, w Kalifornii, a w internecie znajdziecie ją pod adresem [www.kasiewest.com](http://www.kasiewest.com)

